



TEGO POPOŁUDNIA ZATRZYMAŁ SIĘ CZAS.

Joan Lindsay

Piknik pod
Wiszącą Skalą

»Książnica«



Joan Lindsay

Urodziła się w roku 1896 w East St. Kilda, kształciła w Melbourne. W roku 1922 poślubiła sir Daryla Lindsaya, szanowanego australijskiego artystę. Państwo Lindsayowie podróżowali razem po Europie i Stanach Zjednoczonych — podczas tych podróży Daryl malował, Joan zaś nie rozstawiała się z maszyną do pisania. Opublikowała kilka książek, m.in. *Through Darkest Pandelayo* (1936, wydana pod pseudonimem Serena Livingstone Stanley). *Time Without Clocks* (1962), *Facts Soft and Hard* (1964). Międzynarodową sławę przyniosła jej powieść *Piknik pod Wiszącą Skalą* (1967, wyd. pol. 1991), spopularyzowana znakomitym filmem w reżyserii Petera Weira.

Joan Lindsay po śmierci męża (1976) osiadła w wiejskim domu na półwyspie Mornington (Australia). Zmarła w grudniu 1984 roku.



Joan Lindsay

Piknik pod Wiszącą Skalą

Przełożył z angielskiego
Wacław Niepokólczycki



Wydawnictwo „Książnica”

OSOBY

Pani Appleyard, przełożona pensji
Panna Greta McCraw, nauczycielka matematyki
Mile Dianne de Poitiers, nauczycielka języka francuskiego i tańca
Panna Dora Lumley i *panna Buck*, *młodsze nauczycielki*
Miranda, *Irma Leopold*, *Marion Quade*, *starsze pensjonarki*
Edyta Horton, osiołek klasowy
Sara Waybourne, najmłodsza pensjonarka
Rosamunda, *Blanche*, *inne pensjonarki*
Kucharka, *Minnie* i *Alicja*, *służba domowa*
Edward Whitehead, *ogrodnik pensji*
Irlandczyk Tom, majster do wszystkiego na pensji
Pan Ben Hussey, ze Stajni Husseya w Woodend
Doktor McKenzie, lekarz rodzinny z Woodend
Posterunkowy Bumpher, z komisariatu w Woodend
Pani Bumpher
Jim, młody policjant
M. Louis Montpelier, zegarmistrz z Bendigo
Reg Lumley, brat Dory Lumley
Jasper Cosgrove, opiekun Sary Waybourne
Pułkownik i pani Fitzhubert, letni rezydenci w Lake View w Górnym Macedonie
Wielmożny Michał Fitzhubert, ich bratanek z Anglii
Albert Crundall, woźnica w Lake View
Pan Cutler
Major Sprack i jego córka *Angela*, *goście angielscy w letniej rezydencji rządowej* w Macedonie
Doktor Cooling, lekarz z Dolnego Macedonu
oraz wielu innych, którzy nie występują w tej książce.

Czytelnicy muszą sami zdecydować, czy wypadki opisane w „Pikniku pod Wiszącą Skałą” są zmyślane czy prawdziwe. Ponieważ ów fatalny piknik odbył się w roku tysiąc dziewięćsetnym i wszystkie postaci występujące w książce dawno już nie żyją, wydaje się to nieistotne.

1

Wszyscy się zgadzali, że dzień jest wymarzony na piknik pod Wiszącą Skalą – roziskrzony letni ranek, ciepły i bezwietrzny, a za oknami na drzewach niesplika przez całe śniadanie dzwoniące cykad i brzęczenie pszczoł nad bratkami okalającymi podjazd. Ciężkogłowe dale płomieniły się omdlewająco na nieskazitelnych grządkach, strzyżone trawniki parowały w blasku wspinającego się na niebo słońca. Ogrodnik już zaczął podlewać hortensje, wciąż jeszcze skryte w cieniu kuchennego skrzydła na tyłach domu. Pensjonarki z Pensji Pani Appleyard dla Młodych Dam były na nogach i spoglądały w jasne bezchmurne niebo już od szóstej, a teraz fruwały w swoich świątecznych muślinach niby chmara podnieconych motyli. Była to bowiem nie tylko sobota i zbliżał się od dawna oczekiwany piknik, ale i dzień świętego Walentego, tradycyjnie czczony w czternastym dniu lutego wymianą wyszukanych kart i życzeń. Wszystkie te karty, szalenie romantyczne i ściśle anonimowe, uchodziły za milczące hołdy cierpiących z miłości wielbicieli, aczkolwiek pan Whitehead, podeszły wiekiem ogrodnik angielski, oraz Tom, irlandzki stajenny, byli jedynymi mężczyznami, do jakich dziewczęta mogły się choćby uśmiechnąć w okresie nauki.

Przełożona była zapewne jedyną osobą na pensji, która nie otrzymała żadnej karty. Dobrze wiadano, że pani Appleyard nie pochwała świętego Walentego i jego śmiesznych kart z życzeniami, zaśmiecających półki nad kominkami aż do Wielkanocy i przysparzających pracy pokojówkom. I to jakie półki! Dwie białe marmurowe w długim salonie, podparte parami kariatyd o biustach twardych jak sama przełożona, inne z rzeźbionego i giętego drewna, ozdobione tysiącem mrugających, połyskujących lustreczek. Pensja pani Appleyard była już wtedy, w roku tysiąc dziewięćsetnym, anachronizmem architektonicznym w australijskim buszu – beznadziejnym dziwologiem. Niezgrabne piętrowe dworzyszczce należało do tych wymyślnych budowli, które po odkryciu złota wyrosły jak egzotyczne grzyby w całej Australii. Nikt się nigdy nie dowie, czemu właśnie ten kawałek ziemi w rzadko porosłej drzewami okolicy, o kilka mil od wsi Macedon, przycupniętej u podnóża góry, został obrany na miejsce budowy. Nikły strumyk, który meandruje z boczem tworząc liczne płytkie rozlewiska na tyłach dziesięcioakrowej posesji, stanowi zbyt małą zachętę jako oprawa dla dworu w stylu włoskim. Nie mógł nią być również prześwitujący gdzieniegdzie przez zasłonę eukaliptusów o włóknistej korze mglisty szczyt góry Macedon na wschodzie, po przeciwnej stronie gościńca. Jednakże dwór został wzniesiony, i to z kamienia, aby się oprzeć zębowi czasu. Pierwotny właściciel, którego imię dawno zostało zapomniane,

mieszkał w nim zaledwie rok czy dwa, po czym ogromny brzydki dom opustoszał i został wystawiony na sprzedaż.

Rozległe tereny, a na nich ogrody warzywne i kwiatowe, chlewnie, kurniki, sad i korty tenisowe utrzymywane były we wzorowym porządku dzięki panu Whiteheadowi, angielskiemu ogrodnikowi. W pięknej kamiennej wozowni stało kilka powozów w idealnym stanie. Szkaradne wiktoriańskie wyposażenie domu było jak nowe, z marmurowymi półkami nad kominkami, sprowadzonymi prosto z Włoch, oraz grubymi puszystymi dywanami z Axminsteru. Lamy naftowe na cedrowych schodach były podtrzymywane rękami klasycznych posągów, w długim salonie stał fortepian, a nad dachem górowała kwadratowa wieża, do której wiodły okrągłe schody, gdzie wywieszało się flagę w dzień urodzin królowej Wiktorii. Na pani Appleyard, posiadającej znaczne oszczędności oraz listy polecające od kilku wybitnych rodzin australijskich, ów dwór usytuowany w sporej odległości od gościńca do Bendigo, za niskim kamiennym murem, od razu wywarł wrażenie. Brązowe niczym kamyki oczy, zawsze wypatrujące zyskownego interesu, oceniły owo zdumiewające miejsce jako idealne na ekskluzywną i odpowiednio kosztowną szkołę z internatem – a raczej pensję – dla młodych dam. Ku ogromnemu zachwytowi pośrednika handlu nieruchomościami, który oprowadzał ją po domu, z miejsca kupiła całą posiadłość, włącznie z usługami ogrodnika, ze zniżką za opłacenie gotówką, i wprowadziła się.

Czy przełożona Pensji Appleyard (jak ów miejscowy biały słoń został natychmiast przemianowany złotymi literami na pięknej tabliczce u wielkiej żelaznej bramy) miała jakiegokolwiek doświadczenie na polu edukacji, nigdy nie zostało ustalone. Nie było potrzeby. Z siwiejącymi włosami ułożonymi à la Pompadour i obfitym łonem w równie sztywnych ryzach jak jej prywatne ambicje, z kameą przedstawiającą zmarłego męża, zawieszoną na szacownej piersi, ta pełna godności nowo przybyła wyglądała w oczach rodziców dokładnie tak, jak winna wyglądać angielska przełożona pensji. Ponieważ zaś właściwy wygląd jest, jak wiadomo, połową wygranej we wszelkich przedsięwzięciach, począwszy od całkiem błahych, a na rozpisaniu na giełdzie londyńskiej pożyczki skończywszy, pensja pani Appleyard była od pierwszego dnia swego istnienia sukcesem, z końcem zaś pierwszego roku przynosiła zadowalające zyski. Wszystko to wydarzyło się blisko sześć lat przed rozpoczęciem niniejszej kroniki wydarzeń.

Święty Walenty jest bezstronny w rozdzielaniu swoich łask, toteż nie tylko kto młody i piękny był zajęty otwieraniem kopert z kartami tego ranka. Miranda jak zwykle miała pełną szufladę ozdobionych koronkami przysiąg miłosnych, choć domowego chowu kupidynek z rządkiem wyrysowanych ołówkiem krzyżyków na oznaczenie pocałunków małej Jonnie, w kopercie zaadresowanej czułym pismem ojca, z Queensland, zajmował honorowe miejsce na marmurowej półce nad kominkiem. Edyta Horton, brzydka jak ropucha, z zadowoleniem przyznawała się do jedenastu i nawet drobna panna Lumley wyjęła przy śniadaniu kartę z nieco stetryczalym gołąbkim i napisem JESTEM TWOIM DOZGONNYM WIELBICIELEM. Stwierdzenie to pochodziło zapewne od jej ponurego ohydneho brata, który przyjeżdżał do niej w odwiedzinach w ostatnim okresie. Któż inny, rozumowały młodziutki dziewczęta, mógłby uwielbiać tę krótkowzroczną wychowawczynię, wiecznie ubraną w brązową serżę i pantofle na niskim obcasie?

– On ją lubi – powiedziała Miranda, jak zawsze wszystkim życzliwa. – Widziałam, jak całowali się na pożegnanie przy drzwiach hallu.

– Ależ, kochana Mirando... Reg Lumley jest takim ponurym stworem! – zaśmiała się Irma, potrząsając granatowoczarnymi lokami i zastanawiając się jednocześnie, czemu obowiązujące w szkole słomkowe kapelusze są tak niegustowne. Ta promieniująca urodą siedemnastolatka, dziedziczka znacznej fortuny, była zupełnie pozbawiona próżności i dumy posiadania. Uwielbiała pięknych ludzi, piękne rzeczy i z taką samą przyjemnością przypinała do żakietu bukietek polnych kwiatów, jak zapierającą dech w piersi brylantową broszę. Czasem sam widok spokojnej owalnej twarzy Mirandy i jej pszenicznych włosów przeszywał ją uczuciem rozkoszy. Kochana Miranda właśnie spoglądała w rozmarzeniu na zalany blaskiem słońca ogród.

– Jaki cudowny dzień! Nie mogę się doczekać, kiedy się wreszcie znajdę na wsi!

– Słyszycie, dziewczęta? Ktoś mógłby pomyśleć, że pensja pani Appleyard mieści się wśród slumsów Melbourne!

– Wśród lasów – powiedziała Miranda – pełnych ptactwa i paproci... jak w moich rodzinnych stronach.

– I pajaków – rzekła Marion. – Szkoda, że nikt mi dziś nie przysłał mapy Wiszącej Skały, bo zabrałabym ją ze sobą na piknik.

Irmę zawsze uderzała niezwykła pomysłowość Marion Quade, toteż i teraz zapragnęła się dowiedzieć, komu są potrzebne na pikniku mapy.

– Mnie – odparła szczerze Marión. – Lubię dokładnie wiedzieć, gdzie jestem. – Opanowawszy jakoby sztukę dzielenia już w kołysce, Marión Quade spędziła większość swojego siedemnastoletniego życia na nieugiętym dążeniu do zdobywania wiedzy. Nic dziwnego, że przy swych drobnych inteligentnych rysach, wrażliwym nosie, który jakby wciąż wietrzył coś z dawna oczekiwanego i poszukiwanego, oraz szczupłych rącznych nogach przypominała charta.

Dziewczęta zaczęły rozmawiać o otrzymanych kartach.

– Ktoś miał tupet posłać pannie McCraw kartę z kratkowanego papieru całą zapisaną liczbami – powiedziała Rosamunda. W rzeczywistości ta karta była natchnionym dziełem Irlandczyka Toma, podpuszczonego dla żartu przez Minnie, pokojówkę. Czterdziestopięcioletnia wykładowczyni tajników wyższej matematyki przyjęła tę kartę z suchą aprobatą, liczby bowiem w oczach Grety McCraw miały więcej uroku od róż i niezapominajek. Sam widok kartki papieru upstrzonej cyframi wywoływał w niej tajemną radość, poczucie siły, gdyż wiedziała, jak paroma ruchami ołówka posegregować je, podzielić, pomnożyć, przekształcić w cudowne nowe kategorie. Kartka Toma, choć ten wcale o tym nie wiedział, bardzo jej się spodobała. Natomiast ta, którą wyrysował dla Minnie, przedstawiała leżące wśród róż skrwawione serce, najwyraźniej w ostatnim stadium jakiejś śmiertelnej choroby. Minnie była zachwycona, tak samo jak Mademoiselle, starą francuską odbitką samotnej róży. W taki to sposób święty Walenty przypomniał mieszkankom pensji pani Appleyard barwy i różnorodność miłości.

Mademoiselle de Poitiers, która uczyła tańca i francuskiej konwersacji, a także zajmowała się garderobą pensjonarek, uwijała się w gorączce rozkosznego oczekiwania. Podobnie jak jej podopieczne miała na sobie prostą muślinową sukienkę, która zyskała na elegancji przez dodanie paska z szerokiej szarfy i słomkowego kapelusza z dużym

rondem. Zaledwie o kilka lat starsza od najstarszych pensjonarek, była tak samo jak one oczarowana perspektywą ucieczki na cały długi letni dzień od dławiącej rutyny życia na pensji, toteż biegła wśród dziewcząt gromadzących się na werandzie w oczekiwaniu na ostatni apel.

– *Dépêchez-vous, mes enfants, dépêchez-vous. Tais-toi, Irma* – szczebiotał kanarkowy głosik Mademoiselle, dla której *la petite Irma* była uosobieniem dobroci. Zmysłowe piersiątko dziewczynki, jej dołki w policzkach, pełne czerwone wargi, psotne czarne oczy i lśniąco czarne loki były dla nauczycielki niewyczerpanym źródłem doznań estetycznych. Czasem w obskurnym pokoju lekcyjnym Francuzka, wychowana wśród wielkich galerii europejskich, podnosiła wzrok znad biurka i widziała tę dziewczynkę na tle wiśni, ananasów, cherubinków i złotych dzbanów, w otoczeniu młodych mężczyzn w aksamitach i satynach. – *Tais-toi, Irma... mademoiselle McCraw vient d'arriver.* – Z ogrodowego klozetu wyszła chuda kobieta w ciemnobrązowym płaszczku i ruszyła ścieżką obsadzoną begoniami. Szła swoim zwykłym jakby odmierzonym krokiem, z królewską swobodą i z niemal królewską godnością. Nikt jej nigdy nie widział spieszącej się lub bez okularów w drucianej oprawie.

Greta McCraw podjęła się roli kierowniczką wycieczki, z Mademoiselle jako pomocnicą, z czystego poczucia obowiązku. Ta znakomita matematyczka – dalece za dobra na licho płatną posadę na pensji – wolałaby zapłacić pięć funtów, aby móc spędzić ten świąteczny dzień, chociażby nie wiadomo jak piękny, w zaciszu swojego pokoju z fascynującą nową rozprawką na temat rachunku różniczkowego. Wysoka, o suchej żółtawej cerze i szorstkich siwiejących włosach przypominających rozgrzebane ptasie gniazdo na czubku głowy, pozostawała nieczuła na dziwy australijskiego krajobrazu pomimo trzydziestoletniego pobytu w tym zakątku świata. Nic nie miało dla niej znaczenia: ani klimat, ani moda, ani niekończące się mile gumowców i suchej żółtej trawy. Niewiele bardziej docierały one do jej świadomości niż mgły i góry rodzinnej Szkocji, gdy była małą dziewczynką. Nawykłe do jej cudacznej garderoby dziewczęta już się z niej nie śmiały i wybór na dzisiejszy piknik znanego z wyjazdów do kościoła toczka i czarnych sznurowanych bucików, a do tego ciemnobrązowego płaszczka, w którym koścista postać nabierała kształtu jednego z jej własnych trójkątów euklidesowych, oraz para dosyć wyświechtanych ciemnobrązowych rękawiczek z kozłej skóry, przeszedł bez komentarzy.

Mademoiselle natomiast jako podziwiany arbiter elegancji została pilnie obejrzana, aż po turkusowy pierścionek oraz białe jedwabne rękawiczki, i zyskała wielkie uznanie.

– Chociaż dziwi mnie – powiedziała Blanche – że pozwoliła Edycie ustroić się w te niesforne niebieskie wstążki. Na co Edyta tak patrzy? – Czternastoletnia dziewczynka o ziemistej twarzy w kształcie nadmiernie wypchanej poduszki z kanapy stała o kilka kroków dalej i wpatrywała się w okno pokoju na piętrze. Miranda odrzuciła w tył swoje pszeniczne włosy i z uśmiechem pomachała bladej ostrej twarzyczce dziewczynki, która spoglądała przygnębiona na pełną życia scenę w dole.

– To niesprawiedliwe – rzekła Irma też machając i uśmiechając się – ostatecznie ona ma dopiero trzynaście lat. Nigdy nie myślałam, że pani A. potrafi być taka podła.

– Biedna mała Sara – westchnęła Miranda – tak bardzo pragnęła pojechać na piknik.

Poprzedniego dnia mała Sara Waybourne nie umiała wyrecytować z pamięci „Rozbicia Hesperusa”, więc została skazana na samotne pozostanie na górze. Później spędzi piękne

letnie popołudnie w pustym pokoju lekcyjnym, ucząc się znienawidzonego arcydzieła na pamięć. Pensja mimo swojego krótkiego istnienia już zdążyła zastąpić dyscypliną, dobrymi manierami i opanowaniem literatury angielskiej.

I oto ogromna, pełna zdecydowania postać odziana w szarą taftę spłynęła faliście po płytkach okolonej kolumnami werandy niczym galeon pod rozwiniętymi żaglami. Na łagodnie falującej piersi unosiła się i opadała zgodnie z rytmem pracy potężnych płuc, spiętych pancerzem stalowych fiszbinów i sztywnej szarej tafty, oprawna w złoto i granaty podobizna dżentelmena z bokobrodami.

– Dzień dobry, pani – zahuczał wdzięczny głos, specjalnie importowany z Kensington.

– Dzień dobry pani – odpowiedziało dygając półkole dziewcząt, które się zebrały przy drzwiach hallu.

– Jesteśmy wszystkie, Mademoiselle? Dobrze. No więc, pani, poszcęściło nam się z pogodą na piknik pod Wiszącą Skałą. Poinstruowałam Mademoiselle, że ponieważ dzień prawdopodobnie będzie ciepły, możecie zdjąć rękawiczki, gdy tylko powóz minie Woodend. Obiad zjecie na Terenach Piknikowych koło skały. Przypominam jeszcze raz, że sama skała jest niezmiernie niebezpieczna, a zatem pod żadnym pozorem nie wolno robić głupstw. Nie próbujcie jej badać, nawet niższych zboczy. Jest ona jednak geologicznym fenomenem, o którym w poniedziałek rano każda z was napisze krótkie wypracowanie. Pragnę wam również przypomnieć, że okolica tamtejsza słynie z jadowitych węży oraz różnych gatunków jadowitych mrówek. To już chyba wszystko. Życzę wam miłego dnia i proszę, abyście się zachowywały w sposób przynoszący chlubę naszej pensji. Będę was oczekiwała, panno McCraw i Mademoiselle, około ósmej na lekkiej kolacji.

Kryty powóz ze stajni Husseya w Dolnym Macedonie zaprzężony w piątkę pięknych gniadoszy zdążył już zajechać przed bramę pensji z samym panem Husseyem na koźle. Pan Hussey osobiście woził „pensję” przy różnych ważniejszych okazjach od dnia uroczystego otwarcia, kiedy to z Melbourne zjechali wszyscy rodzice, by pić szampana na trawnikach. Był on, ze swymi dobrotliwymi niebieskimi oczyma i wiecznie kwitnącymi niczym ogrody różane na górze Macedon policzkami, ulubieńcem mieszkańców całego okręgu. Nawet pani Appleyard nazywała go „pocziwcem” i wdzięcznie zapraszała do swojego gabinetu na kieliszek kseresu.

– Spokojnie, Marynarzu... hoo, Księżniczko... Belmonte, sprawię ci takie lanie... – Pięć świetnie wytresowanych koni stało jak posągi, lecz takie uwagi należały do rytuału. Pan Hussey, jak wszyscy dobrzy woźnice, miał miłe poczucie stylu i efektu dramatycznego. – Proszę uważać na rękawiczki, panno McCraw, koło jest zakurzone... – Dawno już zrezygnował z prób uczenia swoich pasażerek tej podstawowej zasady przy wsiadaniu. W końcu ku zadowoleniu obu nauczycielek wszystkie usadowiły się uwzględniając przy tym wzajemne sympatie i antypatie. Trzy najstarsze dziewczęta, Miranda, Irma i Marion Quade, nierozłączne przyjaciółki, usiadły na najbardziej pożądanym miejscu, obok woźnicy, z czego pan Hussey był bardzo zadowolony. Miłe i pełne życia dziewczyny, wszystkie trzy...

– Dziękujemy, panie Hussey... możemy jechać – powiedziała panna McCraw gdzieś z głębi powozu, nagle świadoma swoich pozamatematycznych obowiązków.

Ruszyli. Zabudowania pensji znikły im z oczu i tylko czasem spomiędzy drzew widać było jej wieżę, gdy powóz toczył się równym gościńcem Melbourne – Bendigo wibrującym cząsteczkami drobnego czerwonego pyłu.

– Bujaj się, Marynarzu, ty leniu... Książniczko, Belmonte, do roboty... – Przez pierwsze mile krajobraz był znajomy dzięki codziennym spacerom parami. Pasażerki wiedziały doskonale, nawet bez patrzenia, że po obu stronach drogę obrzeża las drzew o poszarpanej włóknistej korze, tu i ówdzie rozstępujący się i ukazujący nieco jaśniejszy spłacheć wykarczowanego gruntu. Dalej chata Comptonów, gdzie rosły pigwy, z których robiło się dzemy i galaretki jadane na pensji, oraz kępa przydrożnych wierzb, gdzie prowadząca dziewczęta nauczycielka nieodmiennie nakazywała się zatrzymać i ruszać z powrotem ku domowi. To samo było w „Gościńcach Historii” Longmana, gdzie ze śmiercią króla Jerzego IV klasa wracała celem rekapitulacji, aby w następnym okresie rozpocząć od Edwarda III... Teraz dziewczęta radośnie minęły wierzby pyszniące się bujną letnią zielenią. Owładnięte przecuciem oczekującej je przygody zaczęły wyglądać przez podpięte brezentowe klapki w ścianach powozu. Droga lekko zakręcała, wśród ciemnobrązowego listowia zaczęły się pojawiać świeższa zieleń i raz po raz kępa granatowoczarnych sosen oraz widok góry Macedon oznaczona jak zwykle białymi puszystymi obłoczkami nad południowymi stokami, gdzie romantyczne letnie wille nasuwały na myśl odległe dorosłe rozkosze.

Hasło MILCZENIE JEST ZŁOTEM widniało wypisane na korytarzach pensji pani Appleyard i często było wymuszane. Szybki, równomierny ruch powozu i ciepłe pyliste powietrze owiewające twarze dziewcząt wywołały uczucie rozkosznej swobody, co sprawiło, że pasażerki szczebiały i paplały jak papużki.

Na koźle trzy starsze dziewczęta siedzące obok pana Husseya błogo rozprawiły zupełnie bez związku o snach, haftach, brodawkach, fajerwerkach oraz nadchodzących feriach wielkanocnych. Pan Hussey, który sporą część swojego dnia pracy spędzał na słuchaniu rozmaitych rozmów, patrzył na drogę przed sobą i nie mówił nic.

– Proszę pana – zagadnęła go Miranda – czy wie pan, że dziś mamy świętego Walentego?

– Nie wiedziałem, panienko. Ja tam niewiele się znam na świętych. Od czego on jest?

– Mam'selle mówi, że jest patronem zakochanych – wyjaśniła Irma. – Jest bardzo kochany... przysyła ludziom wspaniałe kartki z szychem i najprawdziwszymi koronkami... Chce pan karmelka?

– Dziękuję, ale nie wtedy, kiedy powożę. – Wreszcie pan Hussey sam zaczął podtrzymywać rozmowę. W ubiegłą sobotę był na wyścigach konnych i widział, jak koń należący do ojca Irmy przyszedł pierwszy do mety.

– Jak się nazywał ten koń i jak długa była gonitwa?

– pragnęła się dowiedzieć Marion Quade. Nie interesowała się zupełnie końmi, ale lubiła gromadzić pożyteczne informacje, tak jak jej zmarły ojciec, wybitny doradca królowej.

Edyta Horton, która musiała we wszystko wścibić swój nosek, a nade wszystko pragnęła pochwalić się swymi wstążkami, pochyliła się nad ramieniem Mirandy, żeby zapytać pana Husseya, czemu nazywa swojego wielkiego gniadosza Książniczką. Pan

Hussey, mający swoje sympatie i antypatie wśród pasażerów, nie okazał się jednak rozmowny.

– Jak już tak mówić, panienko, to czemu panienka nazywa się Edyta?

– Bo to imię mojej babci – wyjaśniła dziewczynka afektowanym tonem. – A przecież konie nie mają babć tak jak my.

– Akurat! – rzekł pan Hussey i odwrócił się szerokimi plecami do głuptaska.

Dzień stawał się coraz gorętszy. Słońce mocno przygrzewało czarny i lśniący dach powozu, pokryty teraz miłąkim czerwonym pyłem, który wdzierał się przez luźno zapięte zasłonki, dostając się do oczu i włosów jadących.

– I pomyśleć, że my to robimy dla przyjemności – mruknęła Greta McCraw w mrocznym wnętrzu powozu – aby się wkrótce znaleźć na łasce jadowitych węży i mrówek... jacy niemądrzy potrafią być ludzie! – Nie warto było też wyjmować książki przy takim szczebiotaniu uczennic.

Droga do Wiszącej Skały skręca ostro w prawo tuż za miasteczkiem Woodend. Tutaj pan Hussey zatrzymał konie przed hotelem, aby je napoić i dać im odpocząć przed ostatnim etapem podróży. Upał we wnętrzu powozu był niemiłosierny i nastąpiło ogólne ściąganie rękawiczek.

– Czy możemy zdjąć również kapelusze, Mam'selle? – spytała Irma, której czarne jak atrament loki wypływały ciepłą falą spod ronda sztywnego słomkowego kapelusza. Mademoiselle uśmiechnęła się i spojrzała na siedzącą naprzeciwko pannę McCraw, czujną i sztywno wyprostowaną, lecz z zamkniętymi oczami i dłońmi w ciemnobrązowych rękawiczkach z koźlęcej skóry splecionymi na kolanach.

– Stanowczo nie. Fakt, że jesteśmy na wycieczce, wcale nie oznacza, że musimy zaraz wyglądać jak wóz pełen Cyganek. – Po czym wkroczyła ponownie w świat czystego rozumu.

Rytmiczny stukot końskich kopyt w połączeniu z dusznością panującą wewnątrz powozu sprawił, że pasażerki poczuły się senne. Ponieważ była dopiero jedenasta, a więc miały mnóstwo czasu, żeby zdążyć na Tereny Piknikowe na obiad, nauczycielki porozumiały się ze sobą i pan Hussey otrzymał polecenie opuszczenia stopni powozu w jakimś dogodnym miejscu przy drodze. W cieniu starego białego gumowca wyjęto z powozu wyłożony cynfolią kosz wiklinowy, w którym mleko i lemoniada zachowały miły chłodek, pozdejmowano bez dalszych uwag kapelusze i rozdano biszkopty.

– Dawno już nie próbowałem czegoś podobnego – rzekł pan Hussey sącząc lemoniadę.

– Nie pijam jednak nic mocnego, kiedy mam taką robotę jak dziś.

Miranda wstała i wzniosła kubek z lemoniadą wysoko nad głowę.

– Za świętego Walentego!

– Za świętego Walentego! – Wszyscy, nie wyłączając pana Husseya, wzniesli kubki i dźwięk ślicznego imienia potoczył się po pylistej drodze. Nawet Greta McCraw, której byłoby wszystko jedno, gdyby pito zdrowie Toma z Bedlam czy szacha Persji, i która trwała zasłuchana w muzykę sfer we własnej głowie, podniosła w roztargnieniu pusty kubek do bladych warg.

– A teraz – rzekł pan Hussey – jeżeli pani święty nie ma nic przeciwko temu, panno Mirando, zbierajmy się do drogi.

– Ludzi – zwierzyła się panna McCraw sroce dziobiącej okruszki u jej stóp – prześladowuje myśl o całkowicie zbędnym ruchu. Przecież tylko idiota może pragnąć siedzieć nieruchomo! – i wdrapała się niechętnie z powrotem na swoje miejsce.

Ponownie spakowano kosz, policzono pasażerki, ażeby żadnej przypadkiem nie zostawić, podciągnięto schodki pod spód powozu i znów ruszono w drogę poprzez rozproszone srebrzyste cienie prostych młodych drzew, gdzie konie parły naprzód wśród plam złotego blasku załamującego się na wytężonych barkach i ciemnych, wilgotnych od potu zadach. Pięć koni szło niemal bezdźwięcznie po miękkiej nawierzchni wiejskiej drogi. Nie napotkali po drodze żadnego podróznego, żaden ptak nie zakłócił okrytej przeblyskami słońca ciszy, szare spiczaste listki młodych drzewek zwisały bezwładnie w południowym skwarze. Poprzednio rozszczebiotane i śmiejące się dziewczęta milczały teraz w nagrzanym wnętrzu powozu, póki nie wyjechali znów w pełny blask słońca.

– Chyba już będzie prawie dwunasta – powiedział pan Hussey spoglądając nie na zegarek, lecz na słońce. – Jak dotąd nieźle się spisujemy, panienki... Przysiągłem na wszystko waszej kierownicze, że przywiozę was z powrotem na pensję na ósmą wieczorem. – Na słowo: „pensja” powiało dziwnym chłodem w ciepłym powozie i nikt nie wyrzekł ani słowa.

Tym razem Greta McCraw musiała przysłuchiwać się ogólnej rozmowie, co rzadko czyniła nawet w salonie nauczycielskim.

– Nie ma powodu, abyśmy się mieli spóźnić, gdybyśmy nawet zamarudzili z godzinę pod skałą. Pan Hussey wie równie dobrze jak ja, że dwa boki trójkąta są w sumie dłuższe od trzeciego. Teraz jedziemy po dwóch bokach trójkąta... Mam rację, panie Hussey? – Woźnica skinął głową lekko oszołomiony. Wielka dziwaczka z tej panny McCraw. – Więc bardzo dobrze... po południu musi pan tylko zmienić trasę i wrócić wzdłuż trzeciego boku. W naszym przypadku, skoro wjechaliśmy na tę drogę w Woodend pod kątem prostym, podróż powrotna odbędzie się wzdłuż przeciwprostokątnej.

Tego już było stanowczo za wiele dla praktycznego umysłu pana Husseya.

– Ja tam nie wiem, proszę pani, ale wtedy trzeba byłoby jechać wzdłuż Wielbłądziego Garbu – wskazał batem na wyniosłości góry Macedon, gdzie Garb rysował się wyraźnie na tle nieba – jest to droga o wiele dłuższa od tej, którą przyjechaliśmy, bez względu na jakiegokolwiek wyliczenia. Może panią zaciekawi, że tam nie ma nawet prawdziwej drogi... a tylko coś w rodzaju rzadko uczęszczanego szlaku prowadzącego na tamtą stronę góry.

– Ja myślałam o czymś innym, panie Hussey. Ale mimo to dziękuję za wyjaśnienie. Mało się znam na drogach i koniach, więc mówię tylko teoretycznie. Marion, słyszysz mnie tam w przedzie? Sądzę, że rozumiesz, co miałam na myśli? – Marion Quade, jedyna w klasie z łatwością radząca sobie z Pitagorasem, była jej ulubioną uczennicą, w tym znaczeniu, w jakim dzikus, który rozumie parę słów w języku rozbitka, jest jego ulubionym dzikusiem.

Podczas tej rozmowy kąt widzenia stopniowo się zmieniał – i nagle ich zdumionym oczom ukazała się Wisząca Skała. Na wprost przed nimi wznosił się nad płaską żółtawą równiną szary wulkaniczny masyw, pocięty na płyty i zwieńczony wieżycami jak forteca. Trzy dziewczęta siedzące na koźle widziały pionowe linie skalnych ścian, tu i ówdzie rozciętych indygowym błękitem cienia, spłachcie zielonoszarego derenia, odkrywki spiętrzonych głazów, nawet z tej odległości ogromnych i budzących grozę. U szczytu,

pozbawionego jakiegokolwiek wegetacji roślinnej, poszarpany zarys skały wrzynał się w pogodny błękit nieba. Woźnica wskazał Wiszącą Skałę swoim długim batem.

– Oto i ona, panienki... Jeszcze tylko z półtorej mili!

Pan Hussey miał na podorędziu mnóstwo liczb i faktów.

– Ponad pięćset stóp wysokości... wulkaniczna... złożona z kilku monolitów... liczy sobie tysiące lat. Przepraszam, panno McCraw, powinienem powiedzieć: miliony.

– Góra przyszła do Mahometa. Wisząca Skała przyszła do pana Husseya. – Ta bardzo dziwna nauczycielka uśmiechała się do niego jakimś sekretnym uśmieszkiem, który dla pana Husseya miał jeszcze mniej sensu niż te słowa. Mademoiselle, przychwyciwszy spojrzenie zdezorientowanego poczciwca, o mało nie mrugnęła do niego. Doprawdy biedna Greta z każdym dniem staje się bardziej ekscentryczna!

Powóz skręcił w prawo, konie przyspieszyły kroku i z kozła zahuczał głos wyrażający sam zdrowy rozsądek:

– Pewnie panie teraz będą chciały zjeść obiadek. Co do mnie, to mam już ochotę na ten pasztet z kurcząt, o którym tyle słyszałem. – Dziewczęta znów się rozszczebiały i nie tylko Edyta skupiła swoje myśli na wspomnianym przez pana Husseya pasztecie. Głowy zaczęły się wychylać zza zasłonki, by jeszcze raz spojrzeć na skałę, która z każdym zakrętem to ukazywała się, to znów znikąca. Czasem rysowała się tak wyraźnie, że trzy dziewczęta siedząc na przedzie widziały dwa ogromne głazy jakby zawisłe pod szczytem, chwilami znów zupełnie kryła się za krzakami i wysokimi drzewami.

Na tak zwane Tereny Piknikowe u podnóża Wiszącej Skały wiodła chyląca się drewniana brama, obecnie zamknięta. Miranda, doświadczony otwieracz bram we włościach rodzinnych, zeskoczyła nieproszona z kozła i jęła wprawnie manipulować przy wypaczonym drewnianym zamku ku podziwowi pana Husseya, który zauważył pewne ruchy rąk i zręczne podparcie ciężkich wrót biodrem. Gdy tylko otwarły się na swych zardzewiałych zawiasach na tyle, by powóz mógł bezpiecznie przejechać, z gałęzi drzewa zerwało się z wrzaskiem stadko papug i mieniąc się zielenią i błękitem poszybowało nad trawiastą równiną ku górze Macedon.

– Spokojnie, Marynarz... opanuj się, Księżniczka... Belmonte, co ty wyprawiasz?... Rany, panno Mirando, można by pomyśleć, że one nigdy w życiu nie widziały żadnej piekielnej papugi. – I tak pan Hussey w najlepszym ze swoich świątecznych nastrojów wyprowadził piątkę koni ze znanej i pewnej terażniejszości i powiódł w nieznaną przyszłość z tą samą radosną ufnością, z jaką codziennie wjeżdżał na własne podwórko przez wąską bramę swoich Stajni Macedońskich.

2

Jedynym ulepszeniem, które człowiek wprowadził do natury na Terenach Piknikowych, było kilka płaskich kamieni służących za paleniska oraz drewniana wygodka w kształcie pagody. Strumień pod koniec lata płynął leniwie wśród wysokich suchych traw raz po raz niemal zanikając, aby się znów pojawić w kształcie płytkiego rozlewiska. Obiad podano na dużych białych obrusach rozłożonych w pobliżu jednego z nich, w miejscu osłoniętym przed żarem słonecznym przez kilka rozłożystych gumowców. Oprócz pasztetu z kurcząt, biskopta, galaretek i ciepławych bananów, nieodzownych na australijskich piknikach, kucharka przygotowała śliczny tort w kształcie serca, na który Tom wykonał formę z blachy. Pan Hussey zagotował dwa wielkie kociołki herbaty na ogniu z kory i liści, po czym pykał sobie fajeczkę w cieniu powozu, skąd mógł mieć oko na spętane pod drzewami konie.

Poza nimi na Terenach Piknikowych była jeszcze grupka osób, która rozłożyła się obozem w pewnej odległości po drugiej stronie strumienia, koło kępy czarnych drzew, gdzie duży gniady koń i biały kuc arabski pożywiały się z dwóch toreb z obrokiem przy odkrytym breku.

– Strasznie tu cicho – zauważyła Edyta nabierając sobie obficie kremu. – Nie rozumiem, jak można chcieć mieszkać na wsi. Chyba oczywiście, że się jest okropnie biednym.

– Gdyby wszyscy ludzie w Australii myśleli jak ty, nie tuczyłabyś się teraz tłustym kremem – zwróciła jej uwagę Marion.

– Gdyby nie ci ludzie, którzy przyjechali brekiem, mogłoby się zdawać, że jesteśmy jedynymi żywymi istotami na tym świecie – rzekła Edyta beztrąsko pomijając cały świat zwierzęcy.

Słoneczne zbocze i cienisty las, tak dla Edyty nieruchomy i milczący, w rzeczywistości wrzał ledwie słyszalnymi szelestami, świergotami, szuraniami, skrobaniem, leciutkimi muśnięciami niewidocznych skrzydeł. Liście, kwiaty i źdźbła traw lśniły i drżały pod baldachimem blasku. Cienie chmur ustąpiły miejsca złotym plamkom igrającym na powierzchni rozlewiska, po której śmigają, prześlizgiwały się w błyskawicznym tempie wodne owady. Na skałach i wśród traw pracowite mrówki przemierzały miniaturowe Sahary suchego piasku, dżungle wysiewającej się trawy w nigdy nie kończącym się zadaniu zbierania i gromadzenia pożywienia. Tutaj, wokół górzystych kształtów ludzi, leżały zesłane przez niebiosy różne okruszki, kminek, odrobina kandyzowanego imbiru – dziwne, egzotyczne, lecz zdecydowanie jadalne łupy. Batalion mrówek cukrowych, z wysiłku niemal zgiętych w pół, dźwigający pracowicie drobinę lukru w stronę podziemnej spiżarni, znalazł się w niebezpiecznej bliskości blond główki Blanche, wspartej o kamień.

Jaszczurki wygrzewały się na najgorętszych kamieniach, niezdarny żuk w chitynowej zbroi przewrócił się wśród zeschniętych liści na grzbiet i przebierał bezradnie nóżkami w powietrzu. Tłuste białe larwy i szare płaskie stonogi wołały wilgotne bezpieczeństwo warstw butwiejącej kory. Senne węże leżały zwinięte w swoich tajemnych kryjówkach wyczekując zmierzchu, aby wysliznąć się ze spróchniałych pni i napić się wody ze strumienia, zaś w głębokich zakamarkach buszu ptaki czekały na zelżenie upału...

Izolowane od naturalnego kontaktu z ziemią, powietrzem i słońcem przez gorsety uciskające splot słoneczny, przez obfite spódnice, pończochy bawełniane i buciki z koźłej skóry, senne i najedzone dziewczęta, które odpoczywały w cieniu, były w takim samym stopniu częścią swego otoczenia jak postaci z fotografii w albumie, upozowane sztucznie na tle draperii ze skałami z korka i z tekturowymi drzewami.

Zaspokoiwszy głód i zjadłszy rzadkie łakocie do ostatniego okruszka, dziewczęta opłukały w strumieniu kubki oraz talerze i jęły się zastanawiać, jak by tu najmilej spędzić resztę popołudnia. Jedne, surowo pouczone, aby się nie oddalały poza pole widzenia dostępne z powozu, udały się parami lub trójkami na spacer, inne, odurzone sytym jadem i słońcem, drzemały i marzyły. Rosamunda wyjęła ręczną robótkę, Blanche zasnęła. Dwie pomysłowe siostrzyczki z Nowej Zelandii szkicowały ołówkami pannę McCraw, która w końcu zdecydowała się zdjąć rękawiczki z koźłej skóry. Jeszcze przed chwilą zaczęła w roztargnieniu jeść w nich banana z katastrofalnym rezultatem. Siedząca prosto na zwałonym pniu ze swoim ostrym jak nóż nosem w książce i z okularami w drucianej oprawce była niemal aż za łatwa do karykaturowania. Obok niej leżała wyciągnięta na trawie Mademoiselle z twarzą zasłoniętą jasnymi włosami. Irma pożyczyła od niej scyzoryk w oprawie z masy perłowej i obierała nim dojrziałą brzoskwinię z lubieżną delikatnością godną bankietu Kleopatry.

– Jak to się stało, Mirando – szepnęła – że taka śliczna, urocza istota mogła ze wszystkich ponurych zawodów świata wybrać zawód nauczycielki?... Och, właśnie nadchodzi pan Hussey, jaka szkoda, że trzeba ją zbudzić.

– Ja wcale nie śpię, *ma petite*... ja tylko marzę – powiedziała nauczycielka z uśmiechem wspierając głowę na łokciu. – O co chodzi, panie Hussey?

– Przepraszam, że przeszkadzam, panienko, ale chcę mieć pewność, że wyruszymy nie później jak o piątej. A nawet wcześniej, jeżeli moje konie będą gotowe.

– Oczywiście. Jak pan sobie życzy. Dopilnuję, aby panienki nie kazały na siebie czekać. Która godzina?

– Właśnie o to chciałem spytać. Mój stary cykacz stanął na dwunastej. I to właśnie w taki wyjątkowy dzień, jedyny w całym tym zakochanym roku.

Tak się złożyło, że mały francuski zegareczek Mademoiselle był właśnie w Bendigo w naprawie.

– U mesje Montpeliera, panienko?

– Zdaje się, że właśnie tak się nazywa ten zegarmistrz.

– Przy Golden Square? No to, jeżeli mi wolno powiedzieć, bardzo mądrze pani postąpiła. – Słaby, lecz niewątpliwy rumieniec wystąpił na policzki udającej chłód francuskiej damy.

– Ach tak? – Jednakże pan Hussey przypiął się do „mesje” Montpeliera niczym pies do kości i nic nie zdołałoby go zniechęcić.

– Powiem pani coś, panienko. Mesje Montpelier, a przed nim jego ojciec – to najlepsi ludzie w swoim fachu w całej Australii. A do tego on jest wielki pan. Nie mogłaby pani znaleźć nikogo lepszego.

– Podobno, Mirando... ty masz swój śliczny zegareczek z brylantami... Możesz nam powiedzieć, która jest godzina?

– Niestety, mademoiselle. Już go nie noszę. Nie mogę znieść tego cykania tuż nad sercem przez calutki dzień.

– Gdyby był mój – powiedziała Irma – nigdy bym go nie zdejmowała... nawet w kąpielu. A pan, panie Hussey?

Porwana do nie chcianej akcji panna McCraw zamknęła książkę, włożyła ostrożnie kościste palce w ciemnobrązowe fałdy na płaskiej piersi i wyjęła staromodny złoty repetier na łańcuszku.

– Stał na dwunastej. Nigdy dotychczas nie stawał. Mam go po ojcu. – Tak więc pan Hussey musiał spojrzeć ze znajomością rzeczy na cień Wiszącej Skały, który już od obiadu pełzł wolno ku Terenom Piknikowym.

– Czy mam postawić kociołek na ogniu, żebyśmy się napili herbaty przed odjazdem? Powiedzmy: za godzinę?

– Za godzinę – powiedziała Marion Quade biorąc kartkę papieru w kratkę i linijkę. – Chciałabym zrobić kilka pomiarów u podnóża skały, skoro mamy czas. – Ponieważ zaś Miranda i Irma też chciały się bliżej przyjrzeć skale, wystąpiły z prośbą o pozwolenie na krótki spacer przed herbatą do pierwszych pochyłości. Po chwili wahania uzyskały je od Mademoiselle, ponieważ panna McCraw znowu zatonała w książce.

– Jak to daleko w prostej linii, Mirando?

– Tylko kilkaset metrów – rzekła Marion Quade.

– Ale będziemy musiały pójść wzdłuż strumienia, więc to zajmie trochę więcej czasu.

– Mogę pójść z wami? – spytała Edyta wstając z przeciągłym ziewnięciem. – Zjadłam tyle ciasta, że muszę walczyć ze snem.

Dziewczęta spojrzały pytająco na Mirandę i Edyta otrzymała pozwolenie na pójście z nimi.

– Proszę się o nas nie martwić, kochana Mam'selle – rzekła Miranda z uśmiechem. – Idziemy tylko na króciutko.

Nauczycielka stała i patrzyła na cztery dziewczęta oddalające się w stronę strumienia. Miranda wysunęła się trochę do przodu i prześlizgiwała przez wysokie trawy, które ocierały się o jej jasną sukienkę. Marion i Irma szły obok siebie, a Edyta dreptała opieszale za nimi. Gdy dotarły do kępy sitowia, gdzie strumień zakręcał, Miranda zatrzymała się, odwróciła lśniąca główkę i uśmiechnęła się z powagą do Mademoiselle, która odpowiedziała jej uśmiechem i pomachała ręką. Stała tak machając, póki dziewczęta nie znikły za zakrętem.

– *Mon Dieu!* – wykrzyknęła w pusty błękit – już wiem...

– Co wiesz? – zapytała Greta McCraw spojrzawszy nagle znad książki, przytomnie i rzeczowo, na swój niepokojący sposób. Francuzka, której rzadko brakowało słów, nawet w angielszczyźnie, stała milcząca i zażenowana. Komu jak komu, ale pannie McCraw nie była w stanie wytłumaczyć swego podniecającego odkrycia, że Miranda to anioł Botticellego z Uffizi... nie była w stanie jasno myśleć w to letnie popołudnie o rzeczach

prawdziwej wagi. Na przykład o miłości, choć ledwie przed chwilą myśl o ręce Louisa obracającej wprawnym ruchem kluczyk małego sewrskiego zegarka sprawiła, że o mało nie zemdląca. Ułożyła się znowu na ciepłej wonnej trawie patrząc, jak cienie gałęzi ponad nią z wolna odsuwają się od kosza z pokrywą, w którym było umieszczone mleko i lemoniada. Wkrótce znajdzie się w pełnym blasku słońca, trzeba więc wstać i przenieść kosz do cienia. Minęło chyba dziesięć, może więcej minut od odejścia czterech dziewcząt. Nie było potrzeby spoglądać na zegarek. Rozkoszna ociążałość popołudnia powiedziała jej, że oto nadeszła pora, gdy ludzie znużeni banalnymi zajęciami skłaniają się do drzemki i marzeń, jak obecnie ona. Na pensji pani Appleyard w czasie późnopołudniowych lekcji trzeba było uczennicom ciągle przypominać, aby siedziały prosto i uważały. Otworzywszy jedno oko Mademoiselle zobaczyła, że dwie pomysłowe siostry odłożyły szkiełeczki i zasnęły. Rosamunda kiwała się nad haftem. Ogromnym wysiłkiem woli Mademoiselle zmusiła się do przeliczenia dziewiętnastu dziewcząt powierzonych jej pieczy. Wszystkie, z wyjątkiem Edyty i trzech starszych dziewcząt, były widoczne i w zasięgu głosu. Zamknawszy oczy pozwoliła sobie na dalszy luksus niezakłóconego snu.

Tymczasem cztery dziewczęta wciąż podążały wzdłuż krętego strumienia w kierunku przeciwnym do jego biegu. Ze źródła ukrytego gdzieś wśród płataniny derenia i paproci u podnóża skały wypływał on na równinę Terenów Piknikowych jako niemal niewidoczna strużka, a potem nagle na przestrzeni mniej więcej stu metrów robił się głębszy i przejrzystszy, biegnąc dość bystro po gładkich kamieniach, następnie tworzył małe rozlewisko obrzeżone trawą o lśniącej, wilgotnej zieleni. Pewnie dlatego miejsce to obrali sobie ludzie przybyli na piknik brekiem. Leżał tam na plecach, śpiąc twardo, tęgi starszawy mężczyzna z bokobrodami i w nasuniętym na otyłą szkarłatną twarz hełmie tropikalnym, z rękoma skrzyżowanymi na brzuchu przewiązanym szkarłatną szarfą. Nie opodal drobna kobieta w jedwabnej eleganckiej sukni siedziała z zamkniętymi oczyma, wsparta o drzewo i stos poduszek z breku, i wachlowała się wachlarzem z liścia palmowego. Szczupły, jasnowłosy młody człowiek – a raczej bardzo młody – w angielskich bryczesach był pochłonięty lekturą jakiegoś magazynu, inny zaś, mniej więcej w tym samym, a może w nieco starszym wieku, równie krzepki i opalony jak tamten delikatny i różowy na twarzy, zajmował się płukaniem kieliszków po szampanie na skraju rozlewiska. Jego czapka stangreta i granatowa kurtka ze srebrnymi guzikami leżały ciśnięte beztrudno na kupę badyli, nie zakrywały więc bujnej czupryny ciemnych włosów i pary silnych, opalonych na miedziano rąk, z mnóstwem wytatuowanych rusałek.

Chociaż cztery dziewczęta podążające wzdłuż nieskończonych zakoli i zakrętów niesforne strumienia znalazły się już niemal naprzeciwko piknikującej grupki z breku, Wisząca Skała pozostawała wciąż dręcząco ukryta za zasłoną wysokiego lasu.

– Musimy znaleźć odpowiednie miejsce, żeby się przedostać na drugą stronę strumienia – rzekła Miranda wyteżając wzrok – bo inaczej nic nie zobaczymy, a trzeba będzie wracać. – Bliżej rozlewiska strumień stawał się szerszy. Marion Quade wyjęła linijkę.

– Blisko półtora metra i żadnych kamieni, po których można by stąpać.

– Ja jestem za tym, żeby spróbować go przeskoczyć – powiedziała Inna, unosząc spódnicę.

– Potrafisz przeskoczyć, Edyto? – spytała Miranda.

– Nie wiem. Nie chcę zamoczyć stóp.

– Czemu? – zainteresowała się Marion Quade.

– Bo mogłabym dostać zapalenia płuc i umrzeć, a wtedy wy nie miałybyście z kogo żartować i byłoby wam przykro.

Przeskoczyły szczęśliwie bystrą lśniąca wodę, zyskując tym aprobatę młodego woźnicy, który powitał ich nadejście cichym przeszywającym gwizdem. Gdy tylko dziewczęta znalazły się poza zasięgiem głosu i oddaliły się w stronę południowych zboczy skały, młodzieniec w bryczesach odrzucił na bok „Illustrated London News” i podszedł nad skraj rozlewiska.

– Mogę ci pomóc w tym zmywaniu? – zapytał.

– Nie trzeba, ja tylko płuczę kieliszki, żeby kucharka mnie nie złażała, jak wrócę do domu.

– Aha... rozumiem... Obawiam się, że i tak nie bardzo się znam na zmywaniu... Posłuchaj, Albercie... Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe tego, co ci powiem, ale wolałbym, żebyś więcej tego nie robił.

– Czego, proszę pana?

– Gwizdnąłeś na dziewczęta, kiedy zabierały się do przeskoczenia strumienia.

– To wolny kraj, o ile mi wiadomo. Co w tym złego, że zagwizdałem?

– Tylko to, że jesteś przyzwoitym chłopcem, a dobrze wychowane panienki nie lubią, kiedy nieznajomi na nie gwizdzą.

Albert uśmiechnął się.

– Niech pan w to nie wierzy. Dziewczyny są wszystkie jednakowe, jak chodzi o chłopaków. Myśli panicz, że one są z pensji pani Appleyard?

– Do licha, Albercie, przecież jestem w Australii dopiero od kilku tygodni... jakże więc mam wiedzieć, skąd są? Poza tym widziałem je tylko przez mgnienie, gdy usłyszałem twój gwizd i uniosłem wzrok.

– Niechaj mi panicz wierzy na słowo – rzekł Albert – a wałęsałem się trochę po świecie... że wszystko jedno, czy one są z tej cholernej pensji czy z sierocińca w Ballarat, gdzie mnie wsadzono z moją małą siostrzyczką.

– Przykro mi – rzeki wolno Michał – nie wiedziałem, że jesteś sierotą.

– Tak jakby. Bo jak mamusia uciekła z jednym facetem z Sydney, a tata nas zostawił, to nas zamknęto w tym cholernym sierocińcu.

– Sierocińcu? – powtórzył Michał, który się czuł, jakby słuchał opowieści z pierwszej ręki o życiu na Diabelskiej Wyspie. – Powiedz mi... jeśli nie sprawi ci to przykrości... jak się żyje w takim sierocińcu?

– Parszywie. – Albert ukończył mycie kieliszków i zręcznie układał srebrne kubeczki pułkownika w skórzanym futerale.

– Boże, jakie to okropne!

– Tam było nawet dość czysto. Żadnych wszy ani niczego takiego, czasami tylko przysyłano jakiegoś biedaczynę z gnidami we włosach. Wtedy siostra przełożona brała wielkie nożyce i strzygła go do gołej skóry. – Michał słuchał tego zafascynowany.

– Opowiedz mi coś więcej... Czy pozwalano ci widywać się z siostrą?

– No cóż, za moich czasów we wszystkich oknach były kraty... chłopcy przebywali w jednych pomieszczeniach, dziewczęta w drugich. Jezu, nie myślałem o tej cholernej ochronie diabli wiedzą ile lat!

– Mów ciszej. Jeżeli stryjenka usłyszy, jak klniesz, powie stryjowi, żeby cię odprawił.

– Nie ma mowy! – Albert uśmiechnął się. – Pułkownik wie, że się opiekuję jego końmi jak cholera i nie wypijam mu whisky. No, w każdym razie bardzo rzadko. Prawdę mówiąc, nie znoszę tego zapachu. Te tutaj francuskie bąbelki stryja panicza są dla mnie w sam raz. Smaczne i lekkie na żołądek. – Mądrość życiowa Alberta była niezgłębiona. Michał czuł dla niego podziw.

– Słuchaj, Albercie... wolałbym, żebyś skończył z tym paniczem. To nie pasuje do Australii i tak czy owak jestem dla ciebie po prostu Michałem. Chyba że stryjenka słucha.

– No to niech tak będzie! Michał. Zamiast Wielmożny Pan Michał Fitzhubert, jak jest napisane na listach do ciebie. Rany! Pełna gęba słów! Swego nazwiska też bym pewnie nie rozpoznał, gdybym je zobaczył wydrukowane na kopercie.

Angielski młodzieniec, którego stare nazwisko było cenioną własnością osobistą, wędrującą wszędzie razem z nim podobnie jak walizka ze świńskiej skóry i dobrze wypchany portfel, potrzebował kilku minut, aby przetrwać w milczeniu tę nieco zaskakującą uwagę, tymczasem młody stangret zdumiewał go coraz to nowymi.

– Mój tata zmieniał swoje nazwisko co jakiś czas, kiedy popadał w tarapaty. Już nawet zapomniałem, jak nas zapisali w sierocińcu. I guzik mnie to obchodzi. Dla mnie, czy ktoś ma takie czy inne nazwisko, nie ma żadnego znaczenia.

– Lubię z tobą rozmawiać, Albercie. Zawsze dajesz mi coś do myślenia.

– Myślenie jest dobre, kiedy się ma na nie czas – odparł Albert sięgając po kurtkę. – Pójdę zaprząć Dawną Chwałę, bo zaraz twoja stryjenka zacznie się ciskać. Ona chce wcześniej wracać.

– Dobra. A ja trochę rozprostuję nogi. – Albert stał i patrzył, jak szczupły chłopiec przeskakuje z wdziękiem przez strumień i oddala się w kierunku skały. Rozprostuje nogi, co? Mogę się założyć, że chce sobie jeszcze raz popatrzeć na te dziewczuchy... Na tę malutką pięknotkę z czarnymi lokami.

Wrócił do koni i zaczął układać kieliszki oraz talerze w trzcinowym koszyku.

Gdy Michał minął pierwszy pas drzew, cztery dziewczęta już znikły z pola widzenia. Spojrzał na pionowe lico skały i zastanowił się, jak daleko zajdą, nim zawrócą. Wisząca Skała, zdaniem Alberta, była trudnym zadaniem nawet dla doświadczonych wspinaczy. Jeśli więc Albert miał rację, to czy możliwe, by młodym dziewczętom, jeszcze uczennicom, będącym mniej więcej w wieku jego siostr w Anglii, pozwolono na taką wyprawę bez żadnej opieki? Przypomniał sobie jednak, że jest w Australii, gdzie wszystko może się zdarzyć. W Anglii, cokolwiek by chciał zrobić, zostało już zrobione, nawet po wielokroć, często przez jego własnych przodków. Usiadł na zwalonym kamieniu, usłyszał wzywające go wołanie Alberta i zdał sobie sprawę, że to jest kraj, w którym on, Michał Fitzhubert, będzie żył. Jak ona może mieć na imię, ta wysoka blada blondynka o długich prostych włosach, która prześliznęła się ponad powierzchnią strumienia jak jeden z białych łabędzi na jeziorze wuja?

3

Ledwie dziewczęta przekroczyły strumień, nagle wprost przed nimi stanęła Wisząca Skała rysująca się wyraźnie za krótkim trawiastym wzniesieniem. Miranda zobaczyła ją pierwsza.

– Nie, nie, Edyto! Nie pod twoimi stopami! Tam wysoko... pod niebem – wspominał później Michał, jak zatrzymała się i wykrzyknęła te słowa przez ramię do małej tłuścioszki wlokącej się z tyłu.

Widok podniebnych szczytów skłaniał do milczenia tak przesyconego potężnym majestatem, że nawet Edyta oniemiała. To wspaniałe widowisko jakby za specjalnym porozumieniem pomiędzy niebiosami i przełożoną pensji lśniło pełnym blaskiem, aby dziewczęta mogły je podziwiać. Gra złotego światła i głębokiego fioletowego cienia na stromej południowej fasadzie ukazywała zawiłą konstrukcję długich pionowych płyt, z których jedne były gładkie niczym olbrzymie kamienie nagrobne, inne żłobione i rowkowane przedwiekową architekturą wiatru i wody, lodu i ognia. Ogromne głązy, niegdyś czerwone z gorąca, wypłute z wrących wnętrzości Ziemi, spoczywały teraz schłodzone i zaokrąglone w leśnym cieniu.

W zetknięciu z tak monumentalnymi konfiguracjami natury ludzkie oko staje się żałośnie bezradne. Któż mógłby powiedzieć, jak wiele lub niewiele jej cudowności zostało dostrzeżonych, wyodrębnionych i zarejestrowanych przez cztery pary oczu utkwionych teraz i rozszerzonych w zachwycie na widok Wiszącej Skały? Czy Marion Quade widzi, jak poziome półki przecinają pionowe linie głównego zarysu, którego formacje geologiczne muszą być zapamiętane do poniedziałkowego wypracowania? Czy Edyta zdaje sobie sprawę, że trątuje stopami całe setki kwiatków delikatnych niczym gwiazdeczki, podczas gdy Irma dostrzega przebłysk szkarłatu skrzydła papugi i sądzi, że to płomień wśród listowia? A Miranda, której stopy jakby same obierają władną drogę przez paprocie, gdy trzyma głowę uniesioną ku lśniącym szczytom, czy czuje się już kimś więcej niż tylko widzem zapatrzonym w świąteczną pantomimę? Podążają wszystkie w milczeniu gęsiego do podnóża skały, każda zamknięta w swoim własnym świecie postrzegania, nieświadoma napięć i nateżeń w tej stopionej masie, nieświadoma zgrzytów, drzeń, błędzących prądów powietrza, znanych jedynie mądrym nietoperzom wiszącym do góry nogami pod stropami zimnych i wilgotnych jaskiń. Żadna z dziewcząt nie widzi ani nie słyszy węża wlokącego swe miedziane sploty po kamieniach. Ani panicznej ucieczki pajaków, gąsienic i stonóg z butwiejących liści i kory. Nie ma ścieżek w tej części góry. Jeśli zaś nawet kiedyś były, dawno zostały zatarte. Minęło wiele, wiele czasu, odkąd

jakakolwiek żywa istota oprócz zabląkanego czasem królika lub kangura wdarła się na jej spieczony grzbiet.

Marion pierwsza rozerwała sieć milczenia.

– Te szczyty... muszą mieć z milion lat.

– Milion! Jakie to straszne! – wykrzyknęła Edyta. – Słyszałaś, Mirando? – Gdy się ma lat czternaście, mowa o milionach brzmi wręcz nieprzyzwoicie. Miranda promieniejąca niemą radością tylko się uśmiechnęła. Edyta nie dawała za wygraną. – Mirando, powiedz, że to nieprawda.

– Mój tata zarobił kiedyś w Brazylii cały milion na kopalni – powiedziała Inna. – Kupił mamie pierścionek z rubinem.

– Pieniądze to co innego – zauważyła słusznie Edyta.

– Czy się to Edycie podoba, czy nie – stwierdziła Marion – jej tłuste ciało składa się z miliona milionów komórek.

Edyta zatkała dłońmi uszy.

– Przestań, Marion! Nie chcę słuchać takich rzeczy.

– A co więcej, mała gąsko, sama przeżyłaś już miliony milionów sekund.

Edyta pobladła na twarzy.

– Przestań! Bo mi się od tego robi słabo.

– Nie dokuczaj jej, Marion – powiedziała Miranda widząc, że zwykle odporna na kpinki Edyta jest tym razem jakaś zgaszona. – Biedne dziecko jest przemęczone.

– Tak – potwierdziła Edyta – a na dodatek te paskudne paprocie kłują mnie w nogi. Czy nie mogłybyśmy sobie usiąść na tamtym zwalonym pniu i stamtąd patrzeć na tę paskudną starą skałę?

– Nie – odparła Marion Quade. – Uparłaś się, żeby iść z nami, a my trzy jesteśmy starsze i chcemy przed powrotem przyjrzeć się Wiszącej Skale z bliska.

Edyta zaczęła skamleć:

– Tu jest paskudnie... gdybym wiedziała... że tu tak paskudnie, wcale bym nie szła z wami...

– Zawsze przypuszczałam, że to głupie dziecko, a teraz jestem już tego pewna – zauważyła głośno Marion. Zupełnie jakby wygłaszała twierdzenie o trójkącie równoramiennym. Marion nie miała w sobie prawdziwej złośliwości, tylko szczerą pragnienie prawdy we wszelkich dziedzinach.

– Nie martw się, Edyto – pocieszyła koleżankę Irma.

– Wkrótce wrócisz do domu, zjesz jeszcze kawałek tego wspaniałego tortu i będziesz szczęśliwa. – Było to prostym lekarstwem nie tylko na obecną niedolę Edyty, ale na większość nieszczęść całej ludzkości. Jeszcze w dzieciństwie Irma Leopold pragnęła nade wszystko uszczęśliwić każdego człowieka takim tortem, na jaki miał ochotę. Czasami pragnienie to stawało się wręcz nieznośne, jak wówczas kiedy patrzyła na Mademoiselle śpiącą tego popołudnia na trawie. Później zaś miało znaleźć wyraz w niemal fantastycznych dotacjach czynionych z wezbranego serca i portfela, dotacjach niewątpliwie miłych niebu, jeśli nie jej prawnym doradcom – hojnych darach dla poparcia spraw straconych, jak trędowaci, upadające trupy teatralne, misjonarze, kapłani, chore na gruźlicę prostytutki, święci, kulawe psy i próżniacy na szerokim świecie.

– Mam wrażenie, że tam w górze była kiedyś dróżka – rzekła Miranda. – Pamiętam, jak ojciec pokazywał mi obraz przedstawiający ludzi w staromodnych strojach na pikniku pod Wiszącą Skałą. Szkoda, że nie wiem, gdzie był malowany.

– Może z przeciwnej strony – powiedziała Marion wyjmując ołówek. – W tamtych czasach przyjeżdżało się tu zapewne od strony góry Macedon. Ja chciałabym się przyjrzeć tym spiętrzonym gładom, które widziałyśmy dziś rano z powozu.

– Nie możemy pójść daleko – przypomniała Miranda. – Pamiętajcie, że obiecałam Mademoiselle niedługo wrócić.

Z każdym krokiem widok robił się coraz bardziej urzekający, wzbogacony w skalne blanki i wzorzyste porosty na gładach. Tutaj lśnił wawrzyn górski nad matową srebrzystością derenia, ówdzie ciemniała szczelina pomiędzy dwiema skałami, gdzie na podobieństwo zielonej koronki drżał złotowłos włoski.

– Cóż, zobaczymy chociaż, jak jest tuż za tym pierwszym niewielkim wzniesieniem – rzekła Irma podkasując obszerną spódniczkę. – Ten, kto wynalazł tę damską modę na tysiąc dziewięćsetny rok, powinien przejść się w trójwarstwowej spódnicy przez te paprocie. – Paprocie wkrótce ustąpiły miejsca pasmu gęstych kłujących krzaków, zakończonemu wysoką do pasa półką skalną. Miranda pierwsza przedostała się przez krzaki i uklękła na skale, aby pomóc wdrapać się na nią koleżankom, z wytrawną zręcznością, którą Ben Hussey podziwiał u niej tego ranka, kiedy otwierała bramę. („Mając lat pięć – lubił wspominać jej ojciec – nasza Miranda przerzucała nogę przez grzbiet konia jak strażnik strzegący granic pastwisk”. A matka dodawała: „Tak, i wchodziła do salonu z głową odrzuconą w tył jak mała królowa”).

Znalazły się na niemal okrągłej platformie otoczonej zewsząd skałami, gładami i kilkoma młodymi smukłymi drzewcami. Irma od razu odkryła coś w rodzaju świetlika w jednej ze skał i patrzyła przezeń zafascynowana na Tereny Piknikowe w dole. Jakby powiększona za pomocą potężnego teleskopu tętniąca życiem scenka rysowała się ze stereoskopową wyrazistością między kępami drzew: powóz i pan Hussey, który się krzątał wśród czwórki koni, smuga dymu z ogniska, dziewczęta poruszające się w swoich lekkich sukienkach i parasol Mademoiselle otwarty przy rozlewisku na kształt bladego niebieskiego kwiatu.

Postanowiły odpocząć kilka minut w cieniu skał, a następnie wyruszyć z powrotem nad strumień.

– Gdybyśmy tak mogły pozostać tutaj całą noc i zobaczyć wschód księżyca – powiedziała Irma. – Nie rób takiej poważnej miny, Mirando... nieczęsto miewamy okazję zażyć trochę swobody poza szkołą.

– Kiedy nie jesteśmy ustawicznie śledzone i szpiegowane przez tę okropną Lumley – dodała Marion.

– Blanche mówi, że panna Lumley czyści zęby tylko w niedziele – wtrąciła swoje trzy grosze Edyta.

– Blanche jest przemądrzałą smarkulą – rzekła Marion – taką samą jak ty.

Ale Edyta ciągnęła niezmięszana:

– Blanche mówi, że Sara pisze wiersze. Znalazła jeden na podłodze. Był cały o Mirandzie.

– Biedna malutka Sara – powiedziała Irma – Ona chyba nikogo na świecie nie kocha, oprócz ciebie, Mirando.

– Nie wiem dlaczego – rzekła Marion.

– Jest sierotą – wyjaśniła Miranda.

– Przypomina mi małą sarenkę, którą mój tatuś przyniósł kiedyś do domu – powiedziała Irma. – Te same wielkie przerażone oczy. Opiekowałam się nią kilka tygodni, ale mama powiedziała, że ona nie wyżyje w niewoli.

– I nie wyżyła?

– Nie. Mama mówiła od początku, że ona jest skazana.

– Skazana? – powtórzyła jak echo Edyta. – Co to znaczy, Irmo?

– Skazana na zagładę, oczywiście! Jak ten chłopiec co „trwał na płonącym pokładzie, gdy wszyscy pierzchnęli w trwodze...” Nie pamiętam, jak było dalej.

– Jakież to okropne! A może ja też jestem skazana? Trochę mi niedobrze. Myślicie, że ten chłopiec też odczuwał mdłości?

– Z całą pewnością... jeżeli zjadł za dużo pasztetu z kurczęcia na obiad – odparła Marion. – Chciałabym, Edyto, żebyś wreszcie przestała mówić.

Po pulchnych policzkach Edyty płynęły łzy. Czemu tak jest, zastanawiała się Irma, że jedni ludzie są tacy brzydki i niemili, a inni dobrzy i piękni jak Miranda. Kochana Miranda, która pochyliła się, żeby dotknąć chłodną dłonią rozpalonego czoła dziecka. Serce jej zalała fala tkliwej miłości, jaką wywołuje czasem najlepszy ojcowski szampan francuski albo melancholijne gruchanie gołębi w wiosenne popołudnia. Miłości, która objęła Marion, czekającą z zamarłym uśmiechem, aż Miranda skończy z tymi nonsensami Edyty. Łzy napłynęły do oczu Irmy, ale nie były to łzy smutku. Nie chciała płakać. Chciała kochać. Potrząsnawszy lokami wstała z miejsca, w którym leżała w cieniu, i zaczęła tańczyć lub raczej szybować nad ciepłymi, gładkimi głazami. Wszystkie, z wyjątkiem Edyty, zdjęły pantofle i pończochy. Irma tańczyła więc bosą, małymi różowymi paluszkami stóp ledwie dotykając ziemi, jak baletnica z lśniącymi, niewidzącymi oczyma i fruwającymi w powietrzu lokami i wstążkami. Znajdowała się na scenie Covent Garden, gdzie kiedyś, gdy miała sześć lat, była z babcią, i posyłała wielbicielom całusy, rzucała kwiaty z bukietu na widownię. Wreszcie zgięła się w ukłonie przed lożą królewską znajdującą się gdzieś w połowie pola gumowca. Edyta stała oparta o głaz i pokazywała palcem w stronę, gdzie Marion i Miranda wspinały się na następne wzniesienie.

– Irmo, spójrz! Gdzie one się wybrały na bosaka? – Lecz ku jej wielkiemu poirytowaniu Irma tylko się roześmiała. – One chyba oszalały! – rzekła Edyta z gniewem. Takie szaleństwa będą zawsze niepojęte dla Edyty i podobnych jej dziewcząt, które od najwcześniejszych lat przyzwyczajają się do sypiania w wełnianych skarpetkach i noszenia botków. Szukając u Irmy moralnego wsparcia, spostrzegła z przerażeniem, że i ona wzięła swoje pantofle i pończochy i zawiesiła je sobie u pasa.

Miranda podążała nieco w przód, gdy cztery dziewczęta przedzierały się przez zarośla, zaś Edyta człapała w tyle. Proste blond włosy Mirandy chwiały się nad jej ramionami rozgarniającymi fale pokrytej kurzem zieleni. W końcu zarośla przerzedziły się u stóp niewielkiej skalnej ściany, na którą kładły się ostatnie blaski słońca. W ten sposób po wiek letnimi wieczorami cienie będą się wydłużały wśród turni i szczytów Wiszącej Skały.

Półokrągła półka, na której dziewczęta się teraz znalazły, miała kształt bardzo podobny do tej niższej i była obrzeżona gładzami i luźnymi kamieniami. W bladym świetle rosnące kępami na suchym dywanie mchu paprocie nie rzucały cienia. Równina w dole była ledwie widoczna, nieskończenie niewyraźna i odległa. Patrząc w dół przez szczelinę pomiędzy gładzami Irma widziała błysk wody i maluteńkie figurki ukazujące się i niknące wśród pasem różowego dymu lub mgły.

– Ci ludzie tam w dole zachowują się jak gromada mrówek – powiedziała Marion zaglądając jej przez ramię. – Zaskakująca liczba ludzi kręci się bez przyczyny. Choć możliwe, oczywiście, że wykonują jakieś niezbędne, a nie znane im samym funkcje. – Irma nie była w nastroju do wysłuchiwanie wykładów Marion. Mrówki oraz ich zajęcia zostały zlekceważone. Aczkolwiek Irma zdawała sobie sprawę już od pewnego czasu z dziwnych odgłosów dochodzących z równiny. Czegoś na kształt bicia odległych bębnow.

Miranda pierwsza dostrzegła wznoszący się przed nimi skalny monolit, wielki masyw ospowatego kamienia, coś podobnego do monstrualnego jaja umieszczonego nad urwistym zboczem opadającym ku równinie. Marion, która natychmiast wyjęła notes i ołówek, cisnęła je w paprocie i ziewnęła. Owładnięte nagle niepokonaną sennością dziewczęta padły na lekko pochyłą skałę u podnóża monolitu i zapadły w sen tak głęboki, że ze szczeliny skalnej wypęzła rogata jaszczurka i położyła się bez lęku w zagłębieniu odrzuconego w bok ramienia Marion.

Pochód dziwnych żuczków w brązowych pancerzykach właśnie robił sobie wygodny pomost z kostki nogi Mirandy, kiedy ta się obudziła i patrzyła, jak umykają spieszenie w bezpieczne schronienie pod obłuzowany kawałek kory. W bezbarwnym zmierzchu wszystkie szczegóły widniały wyraźnie, jasno zarysowane i wydzielone. Ogromne nieschludne gniazdo zaklinowane w rozwidleniu karłowatego drzewa, zmyślnie sklecone z gałązek i piór niezmordowanym dziobem i szponami. Wszystko, jeśli się dobrze przyjrzeć, jest piękne i skończone – to nierówne gniazdo, poszarpane spódnice Marion, pofałdowane niczym muszla łodzika głowonoga, loki Armii otaczające jej twarzyczkę niczym śliczne sprężyste spirale – nawet Edyta, zaczerwieniona i dziecięco bezbronna w swoim śnie. Teraz zbudziwszy się, pojękiwała i tarła zaczerwienione oczy.

– Gdzie ja jestem? Och, Mirando, czuję się okropnie!

– Pozostałe też się obudziły i wstały. – Mirando – powtórzyła Edyta – doprawdy czuję się okropnie! Kiedy wrócimy do domu? – Miranda popatrzyła na nią tak jakoś dziwnie, jakby jej nie widziała. Kiedy Edyta powtórzyła głośniejsze pytanie, dziewczyna po prostu odwróciła się do niej plecami i zaczęła wspinać na wzniesienie, a dwie pozostałe poszły za nią. Nie szły – sunęły boso jak po dywanie w salonie, myślała Edyta, a nie po tych paskudnych kamieniach. – Mirando! – zawołała znowu. – Mirando!

– W nie zakłóconej najmniejszym powiewem ciszy jej głos zabrzmiał, jakby należał do kogoś innego, kogoś w oddali, chrapliwy krzyk ginący wśród skalnych ścian. – Wracajcie zaraz wszystkie! Nie idźcie tam... Wracajcie! – Czowała, że się dusi, i szarpnęła koronkowy kołnierzyk. – Mirando!

– Zduszony krzyk zabrzmiał niczym szept. Ku jej przerażeniu dziewczęta znikły szybko za monolitem. – Mirando! Wracaj! – Zrobiła kilka chwiejnych kroków w ich stronę i zobaczyła ostatni błysk bieli rękawa wśród zarośli.

– Mirando! – Żadnej odpowiedzi. Zapadła straszliwa cisza i Edyta zaczęła z całej siły krzyczeć. Gdyby jej krzyk przerażenia usłyszał ktoś poza kangurem, który przycupnął w kępie krzaków nie opodal, piknik pod Wiszącą Skałą byłby jednym z wielu pikników w letnie dni. Lecz nikt go nie usłyszał. Kangur zerwał się przerażony i umknął, zaś Edyta odwróciła się, rzuciła na ślepo w zarośla i pobiegła krzycząc i potykając się w dół, ku równinie.

4

Około czwartej po południu tego samego dnia pani Appleyard obudziła się z długiej rozkosznej drzemki na kanapie w salonie. Śnił jej się, jak często bywało, zmarły mąż. Tym razem spacerowali po molo w Bournemouth, obok przycumowanych jachtów i łodzi rybackich.

– Pożeglujemy sobie trochę, kochanie – powiedział Artur. Na falach kołysało się łożo z baldachimem i staromodnym wysokim materacem. – Popłynmy do niego – rzekł i wzięwszy ją za rękę skoczył w morze. Ku swemu zdziwieniu tudzież zachwytowi pani Appleyard płynęła przesłicznie, tnąc wodę jak ryba bez pomocy rąk czy nóg. Ledwie dotarli do łoża i wdrapali się na nie, odgłos kosiarki Whiteheada koszącej trawę pod oknem wyrwał przełożoną pensji z rozkosznego snu. Jakże Artur by się upajał tym szacownym zbytkiem! Zawsze nazywał ją, wspominała błogo, swoim geniuszem finansowym. Pensja zaczynała już przynosić spore dywidendy... W kilka chwil później, nadal w wybornym nastroju, zdecydowana okazać wspaniałomyślność w to miłe świąteczne popołudnie, stanęła w drzwiach pokoju klasowego.

– Spodziewam się, Saro, że już nauczyłaś się wiersza, możesz więc wyjść do ogrodu na resztę popołudnia. Minnie przyniesie ci herbatę i ciasto.

Chuda, wielkooka dziewczynka, która wstała machinalnie na widok przełożonej pensji, przestępowała nerwowo z jednej wrzecionowatej, obciążonej czarną pończochą nogi na drugą.

– No więc? Stań prosto, gdy ze mną rozmawiasz. Okropnie się garbisz. No, dobrze. Nauczyłaś się wiersza na pamięć?

– To nie ma sensu, proszę pani. Ja się go nigdy nie nauczę.

– Jak to nigdy się nie nauczysz? Przecież siedzisz tu sama z czytanką od obiadu?

– Staralam się, jak mogłam – odparło dziecko, przesuwając dłoń po oczach. – Ale ten wiersz jest taki głupi.

Gdyby w nim było choć trochę sensu, byłoby mi znacznie łatwiej.

– Sensu! Ty mała ignorantko! Widocznie nie wiesz, że pani Felicja Heymans jest uważana za jedną z naszych najwspanialszych angielskich poetek.

Sara skrzywiła się z niedowierzaniem. Trudne, uparte dziecko.

– Znam inny wiersz na pamięć, chociaż jest znacznie dłuższy. Dużo dłuższy niż „The Hesperus”. Czy to nie mogłoby wystarczyć?

– Hm... Jak się ten wiersz nazywa?

– „Oda do świętego Walentego”. – Na chwilę mała chuda twarzyczka pojaśniała, zrobiła się niemal ładna.

– Nie znam go – rzekła przełożona pensji z należąną ostrożnością. (Będąc na tym stanowisku nigdy się nie jest zbyt ostrożną: tak często bowiem okazywało się potem, że cytaty pochodzą z Tennysona lub Szekspira). – Skąd ją wzięłaś, Saro... tę, hm, ode?

– Znikąd, proszę pani. Sama ją napisałam.

– Napisałaś? Nie, nie chcę jej słuchać, dziękuję. Choć to może ci się wyda dziwne, wolę panią Heymans. Daj mi czytanekę i zacznij recytować tyle, ile umiesz.

– Ja się naprawdę nie nauczę tych głupstw, choćbym siedziała tu tydzień.

– Więc musisz nadal próbować – powiedziała przełożona na pozór spokojnie i rzeczowo, w istocie zaś zde gustowana śmiertelnie zachowaniem ponurej, zaciętej dziewczynki. – Zostawię cię teraz, Saro, i spodziewam się, że będziesz umiała ten wiersz doskonale, kiedy za pół godziny przyślesz tu po ciebie pannę Lumley. W przeciwnym razie obawiam się, że będę zmuszona posłać cię do łóżka, zamiast pozwolić ci czekać na powrót koleżanek z pikniku. – Drzwi klasy zamknęły się, klucz obrócił się w zamku i po nienawistnej obecności przełożonej nie zostało śladu.

Na zewnątrz, wśród wesolej zieleni ogrodu za salą szkolną jarzyły się różnobarwne dale jakby płonące w późnopołudniowym blasku słońca. Pod Wiszącą Skałą Mademoiselle i Miranda zapewne nalewają właśnie herbatę siedzącym pod drzewami... Oparłszy ociężałą głowę o poplamiony atramentem pulpit ławki mała Sara wybuchnęła nieopanowanym gniewnym łkaniem.

– Nienawidzę jej... nienawidzę... O, Bertie, Bertie, gdzie jesteś? O Jezu, gdzie jesteś? Jeśli naprawdę czuwasz nad lotem opadających wróbli, jak jest napisane w Biblii, zstąp i zabierz mnie do siebie. Miranda mówi, że nie wolno nienawidzić ludzi, jeżeli nawet są źli. Nic na to nie poradzę, Mirando... Nienawidzę jej! Nienawidzę! – Ławka zaszurała po deskach podłogi, kiedy czytanek z wierszami panny Heymans poszybowała ku zamkniętym na klucz drzwiom.

Słońce się skryło w różowych i pomarańczowych teatralnych blaskach za wieżą pensji. Pani Appleyard zjadła obfitą kolację na tacy w swoim gabinecie: porcję zimnego kurczęcia, ser Stilton i mus czekoladowy. Posiłki na pensji były zawsze wyborne. Nieskruszoną i z suchymi oczyma Sarę odesłano z talerzem zimnej baraniny i szklanką mleka do łóżka. W oświetlonej lampą kuchni kucharka i jej pomocnice grały w karty na wyszorowanym stole, w czepkach i fartuszkach, gotowe na bliski już powrót piknikowiczów.

Mrok stopniowo się pogłębiał i zagęszczał. Wysoki, niemal pusty dom na chwilę uciął i zapełnił się cieniami, mimo że Minnie pozapalała lampy na cedrowych schodach, gdzie stała Wenus z ręką umieszczoną strategicznie na własnym marmurowym brzuchu i wzrokiem skierowanym przez okno na podeście ku swej imienniczce nad tonącymi w ciemności ach trawnikami. Było kilka minut po ósmej. Pani Appleyard, która układała pasjansa i jednym uchem nadstuchiwała odgłosu kół powozu na żwirowym podejździe, postanowiła zaprosić pana Husseya, aby wstąpił na kieliszek koniaku... Zostało go jeszcze dość w karafce od ostatniego pobytu na obiedzie biskupa Bendigo.

Pan Hussey dowiódł przez lata pracy tak wielkiej punktualności i solidności, że o wpół do dziewiątej na wielkim ściennym zegarze na schodach przełożona pensji wstała od stolika karcianego i pociągnęła za atlasowy sznur dzwonka, który zadzwieczał władczo w kuchni. Natychmiast nadbiegła Minnie z zaczerwienioną twarzą. Pani Appleyard

zauważyła z dezaprobatą przekrzywiony czepek stojącej w pełnym szacunku oddaleniu pokojówki.

– Czy Tom jeszcze jest na nogach, Minnie?

– Nie wiem, psze pani. Zapytam kucharki – odparła Minnie, która ostatni raz widziała swojego uwielbianego Toma przed półgodziną, wyciągniętego w gatkach na jej własnej kojce w pokoiku na poddaszu.

– Poszukaj go i przyślij do mnie jak najprędzej.

Po paru dalszych pasjansach pani Appleyard, która normalnie gardziła luksusem oszukiwania, rozmyślnie wydobyla z talii akurat potrzebnego waleta kier i wyszła na zwirowy podjazd przed gankiem, gdzie na żelaznym łańcuchu wisiała latarnia naftowa. Łupkowe dachy pensji lśniły jak srebro na de bezchmurnego granatowego nieba. W jednym z pokoi na górze, za zaciągniętą zasłoną, błyszczało samotne światelko – to Dora Lumley czytała w łóżku po pracy.

W bezwietrznym powietrzu unosił się zapach lewkonii i przesyconych słońcem petunii. Dobrze, że chociaż noc jest piękna, zaś pan Hussey to renomowany woźnica. A jednak pragnęła, aby młody Tom wreszcie się odnalazł i przekonał ją swoim zdrowym irlandzkim rozsądkiem, że nie warto się przejmować tym niemal już godzinnym spóźnieniem powozu. Wróciła do gabinetu i zaczęła układać nowy pasjans, aby zaraz znowu wstać i porównać czas na swoim złotym zegarku z zegarem w hallu. Gdy wybił wpół do dziesiątej, zadzwoniła znów po Minnie i dowiedziała się, że Tom bierze gorącą kąpiel w wozowni i zjawi się „tylko patrzeć”. Minęło dziesięć minut.

Wreszcie usłyszała stukot końskich kopyt na szosie, o jakieś pół mili... potem na mostku... w końcu dostrzegła światła latarni na tle czerniejących drzew. Rozległ się chór pijanych głosów, gdy pojazd nabierał prędkości na równej drodze i mijał szybko bramy pensji – cały wóz wesołków powracających z Woodend. W tej samej chwili Tom, który też ich słyszał, stanął w pantoflach i czystej koszuli w otwartych drzwiach. Jeżeli pani Appleyard miała w swoim bezpośrednim otoczeniu jakiegoś faworyta, był nim z pewnością Irlandczyk o wesołych oczach, Tom. Czy go proszono o wypróżnienie kubła z pomyjami dla świń, zagranie jakiejś melodyjki na organkach, czy odwiezienie nauczycielki rysunku na stację do Woodend, spełniał obojętnie wszystkie polecenia.

– Słucham, psze pani. Minnie mówiła, że pani mnie szuka.

W nieosłoniętym świetle latarni na ganku jego tłuste fałdziste policzki miały barwę łoju.

– Tom – powiedziała pani Appleyard patrząc mu prosto w twarz, jakby chciała wyciągnąć z niego odpowiedź swymi świdrującymi oczyma. – Czy zdajesz sobie sprawę, że pan Hussey okropnie się spóźnia?

– Naprawdę, psze pani?

– Dziś rano obiecał mi solennie, że wróci najpóźniej o ósmej. A jest już wpół do jedenastej. Ile według ciebie trwa jazda od Wiszącej Skały?

– No cóż, to niezły kawałek...

– Dobrze pomyśl. Ty znasz tutejsze drogi.

– Jakies trzy, do trzech i pół godziny.

– Właśnie. Hussey zamierzał wyjechać z Terenów Piknikowych wkrótce po czwartej. Zaraz po herbacie. – Starannie modulowany głos stał się nagle ochrypły. – Nie stój tu z rozdziawionymi ustami jak idiota! Co twoim zdaniem mogło się stać?

Tom zaczął ją uspokajać rytmicznym śpiewnym irlandzkim głosem, który poza sercem Minnie zdołał poruszyć wiele innych serc. Gdyby ta zakłopotana twarz choć trochę nadawała się do całowania, może by się nawet zdobył na łagodzące cmoknięcie w zwiotczały policzek tak niemiłosiernie bliski jego wyszorowanego nosa.

– Niechże się pani nie martwi. Hussey powozi piątką doborowych koni, a nie ma lepszego od niego woźnicy po tej stronie Bendigo.

– Myślisz, że o tym nie wiem? Chodzi mi o to... Czy nie przydarzył im się wypadek?

– Wypadek, psze pani? Nawet mi to nie powstało w głowie! Noc taka piękna i...

– Więc jesteś większym głupcem, niż myślałam! Nie znam się na koniach, ale wiem, że potrafią ponieść. Słyszysz mnie, Tom? Konie potrafią ponieść. Powiedz coś, na miłość boską!

Co innego było dla Toma bujać i przymilać się w kuchni, a zupełnie co innego tu, przed gankiem, stawić czoło przełożonej, która stała nad nim chyba ze dwa razy większa niż w rzeczywistości, z wysokim czarnym cieniem, padającym na ścianę... „Jakby mnie chciała pożreć – mówił później Minnie – a cały kłopot w tym, że czułem w kościach, iż ma, biedaczka, rację”. Wążąc się na nie lada jaką odwagę, ujął ją za rękę w szarym jedwabiu, powyżej przegubu dłoni, na którym widniała ciężka bransoleta z wisiorkiem w kształcie krwistoczerwonego serca.

– Niech pani wejdzie do środka i usiądzie na jedną maleńką chwileczkę, a Minnie przyniesie pani filiżankę...

– Cicho! Co to? Chwała Bogu Najwyższemu, teraz ich słyszę!

Była to prawda: odgłos kopyt na szosie, dwa przybliżające się światełka, błogi zgrzyt kół na żwirze, gdy powóz wolno zatrzymał się przy bramie pensji.

– Hoo, hoo, Marynarz... Spokojnie, Księżniczko... – mówił pan Hussey do swoich koni głosem ochrypłym. Z ciemnego wnętrza powozu pasażerki wydostawały się jedna po drugiej w blask latarni. Jedne płacząc, inne słaniając się z rozespania, a wszystkie bez kapeluszy, w wymiętych sukienkach, w beładzie. Tom pobiegł na spotkanie powozu, gdy tylko go usłyszał, i przełożona została sama na ganku, usiłując opanować drżenie rąk i nóg i przybrać władcą postawę. Pierwsza zbliżyła się do niej potykając się na niskich schodkach Francuzka, szara w świetle latarni.

– Mademoiselle! Co to wszystko znaczy?

– Proszę pani... zdarzyło się coś strasznego!

– Jakiś wypadek? Proszę mówić! Chcę znać prawdę.

– To wszystko jest takie okropne... nie wiem, jak zacząć.

– Proszę się opanować. Atak hysterii nic nam nie da... A gdzie, na miłość boską, jest panna McCraw?

– Zostawaliśmy ją... pod Wiszącą Skałą.

– Zostawiliście? Czyżby panna McCraw postradała zmysły?

Przez grupkę szlochających, patrzących błędnym wzrokiem dziewcząt przecisnął się pan Hussey.

– Czy mogę porozmawiać z panią na osobności?... Zdaje się, że nasza francuska dama zaraz zemdleje.

Miał rację. Wyczerpana trudami i przeżyciami tego dnia Mademoiselle osunęła się na dywan hallu. Z pomieszczeń dla służby, przez obite rypsem drzwi pod schodami, wbiegły Minnie i kucharka, które już dawno zdjęły czepki i fartuszki, aby zapaść w niespokojną drzemkę. Z góry schodziła z zapaloną świecą w ręce panna Lumley, ubrana w purpurowy szlafrok i z papierowymi papilotami we włosach. Przyniesiono Mademoiselle sole trzeźwiące i koniak i z pomocą Toma zaniesiono nauczycielkę do jej pokoju.

– Biedne dzieci – powiedziała kucharka – są zmordowane... Cóż tam się mogło zdarzyć na pikniku? Szybko, Minnie, nie będziemy teraz pytać o to pani, damy im gorącej zupy.

– Panno Lumley... proszę natychmiast położyć dziewczęta do łóżek. Minnie pani pomoże... No więc, panie Hussey? – Drzwi saloniku pani Appleyard zamknęły się za jej szerokimi, wciąż wspaniale wyprostowanymi, acz zmęczonymi plecami.

– Czy mógłbym dostać kropelkę czegoś, zanim zacznę, proszę pani?

– Może pan... widzę, że jest pan wyczerpany... No więc, niech mi pan opowie pokrótce, możliwie najprościej, co się właściwie wydarzyło.

– Mój Boże, żebym to mógł... bo w tym cała rzecz... Nikt nie wie, co się wydarzyło. Trzy młode panienki i panna McCraw zaginęły pod Wiszącą Skalą.

Oto wyjątek zeznania złożonego przez Bena Hussey a posterunkowemu Bumpherowi w Woodend rankiem w niedzielę piętnastego lutego w komisariacie policji:

Gdy zdaliśmy sobie sprawę z dwiema paniami nauczycielkami, że nikt w naszej grupie nie wie, która jest godzina, bo zarówno mój zegarek, jak i zegarek panny McCraw zatrzymał się w czasie jazdy, postanowiono, że powinniśmy opuścić Tereny Piknikowe wkrótce po obiedzie, ponieważ pani Appleyard oczekuje nas na pensji nie później jak o godzinie ósmej. Nauczycielka francuskiego zdecydowała, że kiedy oporządzą konie, powinniśmy się napić herbaty i zjeść ciasto, gdyż mamy przed sobą dosyć długą drogę. Było wtedy chyba około wpół do czwartej, sądząc po cieniach przesuwających się na Wiszącej Skale.

Kiedy tylko moje kociołki zawrzały, poszedłem powiadomić obie panie, że herbata jest gotowa. Starszej nauczycielki, która siedziała i czytała pod drzewem, kiedy ją ostatni raz widziałem, nie było. I faktycznie więcej jej nie zobaczyłem. Francuzka bardzo się zdenerwowała i zapytała mnie, czy nie zauważyłem, jak panna McCraw oddała się od obozowiska, na co odparłem, że nie. Powiedziała: „Żadna z dziewcząt nie widziała, w którą udała się stronę. Nie rozumiem, czemu jej jeszcze nie ma... zawsze jest taka punktualna”. Zapytałem wówczas, czy reszta moich pasażerek jest obecna i gotowa do odjazdu. Odparła: „Wszystkie z wyjątkiem czterech, które udały się za moim pozwoleniem na krótki spacer wzdłuż strumienia, aby się bliżej przyjrzeć Wiszącej Skale. Wszystkie one, z wyjątkiem Edyty Horton, są starszymi dziewczynkami, bardzo odpowiedzialnymi”. Te trzy panienki jechały ze mną w tamtą stronę na koźle. Znam je bardzo dobrze. Są to panna Miranda (nie wiem, jakie ma nazwisko), panna Irma Leopold i panna Marion Quade.

Jeszcze wtedy nie byłem bardzo zmartwiony, tylko trochę zagniewany odwołującym się odjazdem. Znam dosyć dobrze tamte okolice i wkrótce zorganizowałem poszukiwania

wysyłając dziewczęta parami wzdłuż strumienia na równinie. Dziewczęta wołały i pohukiwały. Upłynęła w ten sposób chyba z godzina, gdy z buszu u południowo-zachodniego podnóża nadbiegła mała Edyta Horton, śmiejąc się i płacząc, w sukience podartej na strzępy. Myślałem, że zaraz dostanie ataku hysterii. Powiedziała, że zostawiła koleżanki „gdzieś tam”, i pokazała na skałę, ale nie miała pojęcia, po której stronie. Prosiliśmy ją i prosili, żeby postarała się sobie przypomnieć, dokąd się udały, ale zdołaliśmy z niej wydobyć tylko tyle, że przestraszyła się i zbiegła na dół. Na szczęście zawsze noszę przy sobie na wszelki wypadek trochę koniaku. Daliśmy jej parę kropel i zawinęli w moją kapotę, a panna Rosamunda (jedna ze starszych dziewcząt) zaprowadziła ją do powozu i położyła. My tymczasem szukaliśmy dalej. Zwołałem dziewczęta, policzyłem je i tym razem zapuściliśmy się dalej, aż do podnóża skały na południowym wzniesieniu, usiłując znaleźć ślady Edyty Horton, ale nie mogliśmy ich dostrzec na kamienistym terenie. Bez szkła powiększającego była to rzecz niemożliwa. Żaden krzak nie wydawał się nawet poruszony z wyjątkiem miejsca, w którym wydostała się na otwartą przestrzeń i zaczęła biec ku obozowisku nad strumieniem. Dla orientacji zaznaczyliśmy to miejsce wśród drzew kijami. Tymczasem dwie starsze dziewczyny udały się wzdłuż strumienia, zamierzając zasięgnąć wiadomości u grupy wycieczkowiczów, która się tam znajdowała, kiedy przybyliśmy przed obiadem, ale grupa ta zgasła ognisko i odjechała – prawdopodobnie wtedy, kiedy obrządzałem konie. Były tam cztery osoby i brek. Myślę, że to brek pana pułkownika Fitzhuberta, ale mu się dobrze nie przyjrzałem. Kilka dziewcząt powiedziało, że wczesnym popołudniem brek odjechał, a młody człowiek na arabskim kucu podążał z tyłu. Szukaliśmy tak i nawoływali chyba z kilka godzin. Własnym oczom nie wierzyłem, że parę rozsądnych osób może tak szybko zniknąć na stosunkowo małym obszarze nie pozostawiając żadnych śladów. Do dziś jest to dla mnie tajemnicą.

Ponieważ nawet najniższe i najdostępniejsze wzniesienia Wiszącej Skały są niezmiernie zdradliwe, zwłaszcza dla niedoświadczonych dziewcząt w długich letnich sukniach, bałem się stracić je z oczu, zwłaszcza że są tam różne dziury, rozpadliny, i o ile mi wiadomo, istnieje jeden zarośnięty szlak, który wiedzie ku szczytowi. Szlaku tego zaginione przypuszczalnie nie obrały, ponieważ przejrzałem bardzo starannie miejsce, w którym się on zaczyna. Nie było tam żadnej zgniecionej stopami ściółki leśnej, żadnych śladów etc.

Ponieważ robiło się coraz później i ciemniej – mieliśmy możliwość orientowania się w czasie jedynie po zachodzącym słońcu – zapaliliśmy kilka ognisk wzdłuż strumienia w taki sposób, by mogły być widoczne pod rozmaitymi kątami po tej stronie skały. Nadal wydawaliśmy okrzyki, jak tylko mogliśmy najgłośniejszymi, pojedynczo i zbiorowo. Wziąłem też kociołki i uderzałem w nie łomem, który zawsze mam w powozie na wszelki wypadek.

Tymczasem oboje z panią Francuzką odchodziliśmy niemal od zmysłów nie wiedząc, czy wracać do Woodend, czy dalej szukać. Mieliśmy tylko dwie lampy naftowe przy powozie, a moja latarka podręczna oświetla zaledwie parę metrów kwadratowych. Jeżeli zaginione były wciąż gdzieś na Wiszącej Skale, w co zaczynałem wątpić, wówczas nie mając zapalek znalazłyby się po zapadnięciu zmroku w prawdziwym niebezpieczeństwie, gdyby nie okazały tyle rozsądku, by zaszyć się w jakiejś jaskini i przesiedzieć w niej do

brzasku. Francuzka i część dziewcząt zaczęły popadać w histerię, czemu się wcale nie dziwiłem. Nikt z nas od obiadu nie miał w ustach nawet herbaty. Byliśmy zbyt zatroskani, żeby móc myśleć o jej zrobieniu. Zjedliśmy trochę biszkoptów z lemoniadą i postanowiłem wracać na pensję rezygnując tej nocy z dalszych poszukiwań.

Doprawdy nie wiem, czy postąpiłem słusznie, ale biorę za tę decyzję pełną odpowiedzialność. Bardzo dobrze znam trzy zaginione panienki i myślę, że jeżeli nie wydarzył się nieszczęśliwy wypadek, co mi się wydaje nieprawdopodobne, panna Miranda, która zna busz doskonale, z pewnością nie straciła głowy i znalazła jakieś bezpieczne schronienie na noc. Jeśli zaś chodzi o panią nauczycielkę, mam nadzieję, że nie zabłąkała się gdzieś sama. Znajomość arytmetyki nie bardzo może się przydać na cokolwiek w buszu.

Wstąpiwszy na komisariat policji w Woodend w drodze powrotnej, poinformowaliśmy krótko dyżurnego policjanta o zdarzeniu pod Wiszącą Skalą, po czym udaliśmy się niezwłocznie na Pensję Appleyard. Zapomniałem wspomnieć, że pilnie zbadałem ubikacje (zarówno „Dla Pań”, jak „Dla Panów”) mieszczące się na Terenach Piknikowych w połowie drogi między strumieniem a podnóżem skały. Nie było tam śladów stóp ani innych oznak świadczących o niedawnym korzystaniu z tych urządzeń.

5

Niedziela piętnastego lutego była dla mieszkańców Pensji Appleyard dniem koszmarnego niezdecydowania: na wpół snem, na wpół rzeczywistością, dniem pełnym wahania, zależnie od temperamentu, między podnoszącymi na duchu przyływami nadziei i pogrążającymi obawami.

Przełożona, która przeleżała ze wzrokiem wbitym w ścianę sypialni aż do białego dnia, wstała o zwykłej porze i każdy włoszek w jej fryzurze a la Pompadour był na swoim miejscu. Pierwszą jej troską było zabezpieczenie, aby nawet szept o wypadkach wczorajszego dnia nie przedostał się za mury pensji. Trzy breki, którymi zwykle dziewczęta i nauczycielki jeździły do różnych kościołów, zostały odwołane, jeszcze nim pan Hussey odszedł poprzedniego wieczoru, jako że zdaniem pani Appleyard kościoły w piękne niedzielne poranki są wylęgarnią plotek. Dzięki Bogu Ben Hussey to rozsądny człowiek i można mu ufać, że będzie trzymał usta zamknięte na kłódkę. Na pensji obowiązywało aż do odwołania milczenie na temat wydarzenia. Można zakładać, że zostało ono zachowane przez te z nauczycielek i uczennic, które zdolne były do rozmowy po trudach poprzedniego wieczoru, ponieważ co najmniej połowa wycieczkowiczek pozostała w łóżkach, zmożona wstrząsającymi przeżyciami i wyczerpaniem. Wolno jednak podejrzewać, że Tom i Minnie, jako urodzeni plotkarze, a niewykluczone, że również kucharka, którzy mieli nieoficjalnych gości w niedzielne popołudnie, nie okazali się tak dyskretni, i że panna Dora Lumley mogła wymienić kilka słów przy tylnym wejściu z Tommym Comptonem, dostarczycielem niedzielnej śmietanki. Tuż po śniadaniu stawiał się na wezwanie przybyły wielką dwukółką z Woodend doktor McKenzie – starszawy lekarz, bezgranicznie mądry, który jednym przenikliwym spojrzeniem zza okularów w złotej oprawce zorientował się w sytuacji, zalecił na poniedziałek całkowity wypoczynek, lekkie, pożywne jedzenie oraz łagodny środek uspokajający. Mademoiselle leżała w łóżku z migreną. Stary doktor poklepał jej śliczną rączkę spoczywającą na kołdrze, prysnął kilka kropel wody kolońskiej na rozpalone czoło pacjentki i rzekł łagodnie:

– À propos, droga panno, mam nadzieję, że nie jest pani tak niemądra, aby w jakikolwiek sposób winić siebie za to nieszczęsne wydarzenie? Jak pani wie, może się jeszcze okazać, że to tylko burza w szklance wody.

– *Mon Dieu*, doktorze... bardzo bym chciała, aby pan miał rację.

– Nikogo – rzekł starszy pan – nie wolno winić za zrządzenia Opatrzności.

Edyta Horton, po raz pierwszy w życiu w roli jakby bohaterki, była zdaniem doktora McKenziego w doskonałej formie. Zawdzięczała ją długiemu atakowi wrzasku –

naturalnej reakcji u rozhisteryzowanej dziewczynki w jej wieku – aczkolwiek doktor był nieco zaniepokojony faktem, iż nie pamiętała wcale, czemu uciekła w popłochu ze skały. Edyta bardzo lubiła doktora McKenziego – bo któż go nie lubił?

– i starała się, na ile jej ograniczona inteligencja zezwalała, zaspokoić jego ciekawość. Możliwe, zdecydował doktor w drodze powrotnej do domu, że dziewczynka uderzyła głową o kamień, o co dość łatwo w tym dzikim terenie, i doznała nieznacznego wstrząsu mózgu.

Po rozmowie z posterunkowym Bumpherem z Woodend pani Appleyard spędziła większą część niedzieli samotnie, w swoim gabinecie. Posterunkowy Bumpher przyprowadził z sobą młodego, niezbyt roztropnego policjanta w celu sporządzenia notatek w tej, jego zdaniem, stosunkowo błażej sprawie, która do wieczora z pewnością zostanie pomyślnie rozwiązana. Ludzie z miasta wciąż gubili się w lasach sprawiając, że porządni chrześcijanie muszą się zrywać w niedzielne ranki z łóżek, aby ich odnaleźć. Okazało się jednak, że fakty dotyczące trzech zaginionych dziewcząt oraz ich nauczycielki są dziwnie niejasne niezależnie od relacji Bena Husseya, która stanowi jedynie podsumowanie zdarzeń już znanych i potwierdzonych. Bumpher umówił się z dwoma młodymi ludźmi, którzy byli w sobotę na wycieczce pod Wiszącą Skałą – jak dotąd ostatnimi, którzy widzieli dziewczęta w chwili, kiedy przekraczały strumień – że w poniedziałek dostarczą policji dodatkowych informacji w wypadku, gdyby zaginione się jeszcze nie znalazły.

Poza tym jedyną osobą, z którą Bumpher chciałby przez chwilę porozmawiać tego ranka, o ile to możliwe, była Edyta Horton, przebywała ona bowiem z trzema zaginionymi może nawet kilka godzin, zanim w panicznym strachu powróciła do obozowiska. Sprowadzono więc Edytę w kaszmirowym szlafrocuku i z zaczerwienionymi oczyma do gabinetu przełożonej, aliści przekonano się, że jest całkowicie nieprzydatna jako źródło informacji. Ani posterunkowy, ani przełożona nie potrafili z niej wydobyć nic bardziej konstruktywnego prócz kilku siągnięć nosem oraz posępnych zaprzeczeń. Być może młodszemu policjantowi powiodłoby się lepiej, ale nie dano mu szansy, toteż Edyta została odprowadzona do łóżka.

– To nie ma żadnego znaczenia – rzekł Bumpher przyjmując kieliszek koniaku z wodą. – Moim zdaniem, proszę pani, cała ta sprawa zostanie wyjaśniona w ciągu kilku godzin. Nie wyobraża sobie pani, jak wielu ludzi gubi się w buszu oddalwszy się o kilka kroków w bok od przetartego szlaku.

– Chciałabym, panie Bumpher – odparła pani Appleyard – móc się z panem zgodzić. Moja najstarsza uczennica, Miranda, urodziła się i wychowała w buszu... co się zaś tyczy nauczycielki, panny McCraw...

Zdołano już do tej pory ustalić, że nikt nie widział, jak panna McCraw opuściła obóz po obiedzie. Niemniej jednak z niewiadomych przyczyn nagle postanowiła wstać spod drzewa, gdzie czytała książkę, i pójść za czterema dziewczętami ku Wiszącej Skale.

– Chyba że owa dama – rzekł policjant – miała w tym własny ukryty interes. Spotkanie z przyjacielem lub przyjaciółmi poza terenem pensji.

– Wykluczone. Panna Greta McCraw, którą zatrudniam u siebie od kilku lat, nie ma, o ile mi wiadomo, żadnego przyjaciela ani nawet znajomego na tym kontynencie.

Jedna ze starszych dziewcząt, Rosamunda, znalazła w miejscu, gdzie panna McCraw siedziała, jej książkę i rękawiczki z koźlącej skóry. Zarówno pani Appleyard, jak i policjant byli zgodni co do tego, że nauczycielka matematyki, choćby nie wiadomo jak „sprytna do liczb”, jak to ujął Bumpher, potrafi tak samo głupio zbłądzić jak każdy inny, aczkolwiek rzecz została ujęta znacznie delikatniej. Nawet Archimedes, zasugerowano, mógłby skrócić w nie tę co należy stronę, mając głowę zaprzątniętą wyższymi sprawami. Młody policjant zapisał to wszystko z ogromnym wysiłkiem, o którym świadczyły głębokie westchnienia oraz ślinienie ołówka. (Później, gdy zapytano pasażerki powozu, o czym mówiono w drodze do Wiszącej Skały, wiele z nich, włącznie z Mademoiselle, przypomniało sobie, że panna McCraw mówiła coś dość chaotycznie o trójkątach i skrótach, a nawet zaproponowała woźnicy, aby wracać inną, zupełnie niepraktyczną drogą).

Miejscowa policja wszczęła nieprzerwaną akcję na Terenach Piknikowych oraz w dostępnych partiach Wiszącej Skały. Największy szkopuł w tym, jak już wcześniej doniósł pan Hussey, że nie było żadnych śladów prócz tu i ówdzie zgniecionej paproci i liści kilku krzaków na niższych pochyłościach wschodniej fasady skały. W poniedziałek, o ile tajemnica nie zostanie rozwiązana, przybędzie z Gippsland czarny tropiciel oraz – za namową pułkownika Fitzhuberta – pies gończy, dla którego panna Lumley przygotowała na prośbę posterunkowego części ubioru zaginionych dziewcząt i zaopatrzyła je w karteczki z nazwiskami. Kilku miejscowych ludzi, włącznie z Michałem Fitzhubertem oraz Albertem Crundallem, pomogło policji starannie przeczesać busz otaczający Tereny Piknikowe.

Nowiny rozchodzą się w australijskim buszu równie szybko jak w mieście, toteż w niedzielny wieczór nie było domu w obrębie pięćdziesięciu mil wokół Wiszącej Skały, w którym by nie dyskutowano przy kolacji na temat tajemniczego zniknięcia. Jak zawsze w sprawach wywołujących ogromne zainteresowanie, ludzie, którzy nie wiedzieli nic z pierwszej ani nawet z drugiej ręki, wypowiadali swoje opinie z największą emfazą. Wiadomo też, że tego rodzaju opinie potrafią w ciągu jednej nocy przemienić się w jakoby ustalone fakty.

Jeśli niedziela, piętnastego, była na pensji koszmarem, to poniedziałek, szesnastego, okazał się jeszcze gorszy. Już o szóstej rano do drzwi hallu zadzwonił młody reporter pewnej melbournskiej gazety. Przyjechał na rowerze z pękniętą dętką i trzeba go było wzmocnić śniadaniem w kuchni, nim go odesłano, nie udzieliwszy żadnych wiadomości, na Ekspres Melbournski. Ten nieszczęsny młodzian był pierwszym z długiego szeregu nieproszonych gości. Masywne drzwi cedrowe, używane tylko od wielkiego dzwonu, otwierały się i zamykały od rana do nocy wpuszczając i wypuszczając najrozmaitszych ludzi, z których jedni przychodzili w najczystszych intencjach, inni powodowali się jedynie ciekawością, a jeszcze inni wcale nie ukrywali, że ściągnął ich jak hieny i szakale zapach krwi i skandalu. Żadna z tych osób nie doczekała się przyjęcia. Nawet pastor z Macedon i jego pocziwa żona, oboje strasznie zaaferowani, ale przepojeni szczerym pragnieniem pomocy bliźnim w trudnych chwilach, zostali odprawieni szorstkim: „Nie ma w domu”.

Posiłki podawano ze zwykłą precyzyjną punktualnością, ale zaledwie kilka zazwyczaj zgłodniałych młodych panien, które zasiadły w południe do obiadu, uszczknęło

cokolwiek z pieczeni baraniej i szarlotki. Starsze dziewczęta szeptały w grupkach. Edyta i Blanche, których nareszcie nikt nie strofował, chodziły pod rękę przygarbione i pociągały nosami. Nowozelandzkie siostry bezustannie haftowały mrucząc do siebie o sławnych trzęsieniach ziemi i innych okropnościach. Sara Wayboume, która spędziła całą noc bezsennie czekając, aż Miranda wróci z pikniku i pocałuje ją na dobranoc, tak jak to zawsze czyniła, choćby było nie wiadomo jak późno, snuła się z pokoju do pokoju jak duch, póki panna Lumley, której łupało w głowie, jakby w niej ktoś tłukł młotem, nie przyniosła jakichś płócien do obrębienia przed podwieczorkiem. Sama panna Lumley oraz młodsza nauczycielka szycia, jeżeli nie biegały na posyłki przełożonej lub nie wypełniały innych niewdzięcznych zadań, skarżyły się wzajemnie z satysfakcją, że są „wykorzystywane” – co było wyrzutem pod adresem wszystkich posiadających władzę od Wszechmogącego poczynając. O wypracowaniu na temat Wiszącej Skały, który był wypisany na tablicy jako zadanie z języka angielskiego na poniedziałek, szesnasty lutego, nikt nawet nie wspomniał. Wreszcie słońce opadło za grządkę jarzących się dali, hortensje zaśniły w zapadającym zmierzchu jak szafiry, blade pochodnie w rękach posągów na schodach zajaśniały na tle cieplej granatowej nocy. Tak się zakończył drugi posępny dzień.

Rankiem we wtorek, siedemnastego, dwaj młodzi ludzie, którzy ostatni widzieli zaginione w sobotnie popołudnie, podyktowali swoje oświadczenia przedstawicielom miejscowej policji. Albert Crundall na komisariacie w Woodend, natomiast pan Michał Fitzhubert w gabinecie swojego stryja, w Lake View. U obu stwierdzono brak jakiegokolwiek wiedzy o tym, dokąd udały się cztery dziewczęta po przekroczeniu strumienia koło rozlewiska i skierowaniu się do podnóża Wiszącej Skały. Michał mówił drżącym głosem, ze spuszczonej oczyma, które jakby cofnęły się w głąb jego czaszki od niedzielnego ranka, gdy Albert przyjechał na galopującym koniu ze składu w Manassie z wiadomością o zniknięciu dziewcząt. Posterunkowy Bumpher usadowił się za biurkiem pułkownika, Michał zaś siedział sztywno na krześle o wysokim oparciu naprzeciw niego.

Po zakończeniu zwykłych formalności policjant rzekł:

– Sądzę, proszę pana, że najlepiej będzie zacząć od kilku pytań dla uzyskania ogólnego, że tak powiem, obrazu. – Młody pan Fitzhubert ze swoim ujmującym uśmiechem i dobrymi angielskimi manierami był bowiem najwyraźniej człowiekiem małomównym. – Czy zatem rozpoznał pan którąś z tych dziewcząt, kiedy przekraczały strumień?

– Jakże bym mógł? Jestem w Australii zaledwie trzy tygodnie i nie zdążyłem jeszcze zawrzeć znajomości z żadną dziewczyną.

– Rozumiem. Czy rozmawiał pan z którąkolwiek z nich po tej lub przeciwnej stronie strumienia?

– Ależ skąd! Powiedziałem przecież, panie posterunkowy, że nie znałem żadnej z nich nawet z widzenia.

– Słyszając tę szczerą odpowiedź posterunkowy pozwolił sobie na cierpki uśmieszek, dodając w duchu: „Tere-ferre! Z taką twarzą i tymi wszystkimi pieniędzmi?” – A Crundall?

– zapytał. – Czy on nie zagadnął żadnej z nich?

– Nie. Tylko wytrzeszczył oczy i zagwizdał.

– A co robił stryj pana i stryjenka, kiedy to się działo?

– Oboje drzemali, o ile pamiętam. Piliśmy szampana do obiadu i dlatego, jak przypuszczam, poczuli się senni.

– A jaki wpływ ma szampan na pana? – spytał policjant z ołówkiem w powietrzu.

– Żaden, o ile mi wiadomo. Nigdy nie pijam wiele, a jeśli już, to tylko wino, w domu.

– A więc miał pan całkowicie jasny umysł i siedział pan z książką pod drzewem, kiedy zobaczył pan, jak przekraczają strumień. Zaczniemy więc od tego miejsca. Niech pan postara się przypomnieć sobie każdy najdrobniejszy szczegół, choćby wydawał się panu zupełnie nieważny. Rozumie pan, oczywiście, że jest to z pana strony zeznanie całkowicie dobrowolne?

– Przyglądałem się, jak przekraczają strumień...

– Przełknął ślinę i zaczął mówić dalej ledwie słyszalnym głosem. – Każda robiła to inaczej.

– Niech pan mówi! Co znaczy: inaczej? Po linach? O tyczce?

– O nieba! Nie! Chodzi o to, że niektóre zrobiły to zreźniej... z większym wdziękiem.

Bumphera nie interesował jednak w tym momencie wdzięk. Młody człowiek ciągnął dalej:

– W każdym razie kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem ich słyszenia, wstałem i poszedłem porozmawiać z Albertem, który mył kieliszki w strumieniu. Pogawędziliśmy sobie... och, może z dziesięć minut... i wtedy powiedziałem, że pójdę się przejść, nim nadejdzie czas powrotu.

– Która to była godzina?

– Nie spojrzałem na zegarek, ale wiedziałem, że stryj chce wyruszyć nie później niż o czwartej. Skierowałem się w stronę Wiszącej Skały. Na wzniesieniu rosły orlice i krzaki, ale dziewcząt już nie było widać. Pomyślałem sobie, jak pamiętam, że to za gęsty busz dla dziewcząt w lekkich letnich sukienkach i że lada chwila zobaczą, jak wracają. Usiadłem na kilka minut na zwałonym drzewie. Gdy Albert mnie zawołał, wróciłem natychmiast nad rozlewisko, wsiałem na kuca i pojechałem do domu, trzymając się przez większą część drogi za brekiem mego stryja. Nic więcej nie przychodzi mi na myśl. Czy to wystarczy?

– Ślicznie dziękuję, panie Fitzhubert. Może jeszcze później poprosimy pana o pomoc. – Michał jęknął w duchu. To krótkie przesłuchanie przypominało mu borowanie bardzo wrażliwego zęba. – Jeszcze tylko jedno chciałbym sprawdzić, zanim to spiszemy – rzekł policjant. – Wspomniał pan o trzech dziewczynach przepływających się przez strumień. Czy tak było rzeczywiście?

– Przepraszam. Ma pan oczywiście rację, było ich cztery.

Ołówek Bumphera znów zawisł w powietrzu.

– Co według pana sprawiło, że zapomniał pan o czwartej?

– Chyba to, że była mała i gruba.

– A więc przyjrzał się pan dość dobrze pozostałym trzem?

– Nie, nie przyjrzałem się. – (Bóg świadkiem, że to prawda. Patrzyłem tylko na nią).

– Przypuszczam, że zapamiętałby pan, gdyby im towarzyszyła starsza dama?

– Z całą pewnością – odparł Michał z irytacją. – Nie było nikogo innego. Tylko te cztery dziewczęta.

W tym samym czasie Albert składał zeznanie w komisariacie w Woodend przed niejakim Jimem Grantem – młodym policjantem, który w niedzielę rano złożył wizytę z

Bumpherem na pensji pani Appleyard. W przeciwieństwie do Michała Albert, przywykły do tego, iż policjanci potrafią przekreślić i przeinaczyć najniewinniejszą uwagę, czuł się doskonale, znał bowiem osobiście młodego Granta z niedzielnych walk kogucich.

– Mówiłem ci już, Jim. Widziałem te lalczki tylko ten jeden raz.

– Bądź łaskaw nie mówić mi po imieniu, gdy jestem na służbie – rzekł Jim, pocąc się z rozdrażnienia. – To nie jest dobrze widziane w policji. No więc ile dziewcząt przeprowaiało się przez strumień?

– Dobra, wielce cholerny panie Grant. Cztery.

– I nie ma powodu kłąć. Ja tylko wykonuję moje obowiązki.

– Wiesz pan chyba, panie Grant – rzekł woźnica wyjmując z kieszeni torebkę karmelków i wkładając sobie jeden ostentacyjnie do ust – że składam to zeznanie na policji całkiem darmo, gratis, bez żadnej zapłaty. Robię to z grzeczności, o czym ci radzę, panie Grant, pamiętać.

Jim odmówił przyjęcia karmelka zaproponowanego na znak pokoju i prowadził dalej przesłuchanie.

– Co robiłeś, kiedy pan Fitzhubert poszedł w kierunku Wiszącej Skały?

– Pułkownik się zbudził i zaczął się pieklić, że już czas wracać do domu, poszedłem więc szukać pana Michała i niech mnie diabli, jeśli nie zobaczyłem go, jak siedział sobie na zwalonym pniu, a po lalczkach ani widu, ani słyhu.

– Jak daleko od rozlewiska znajduje się ta kłoda?

– Słuchaj, Jim, wiesz to równie dobrze jak ja. Cała twoja cholerna policja zna to miejsce tak samo dokładnie jak wszyscy inni. Sam je pokazałem w niedzielę panu Bumpherowi.

– Dobra, ja chcę tylko potwierdzenia faktów... Mów dalej.

– Więc Michał wsiadł na tego arabskiego kuca, na którym stryj pozwala mu jeździć, i pojechał do Lake View.

– Na tym cudzie! Niektórzy mają szczęście! Słuchaj, Albert, nie mógłbyś poprosić tego jegomościa, żeby mi go pożyczył na jedno popołudnie? Pojechałbym sobie do Gisborne. Żaden koń na przestrzeni pięćdziesięciu mil nie pokona tego kuca. Zrozum, nie trzeba mi ani siodła, ani uzdy... tylko tego araba, na jedno popołudnie. Pułkownik wie, że mam do koni dobrą rękę.

– Jeśli myślisz, że przebyłem taki szmat drogi z Lake View, żeby wyprosić dla ciebie przejażdżkę na tym arabie... – rzekł Albert wstając. – Nie masz więcej pytań? To idę. Cześć!

– Hej, zaczekaj chwilę. Mam jeszcze jedno – krzyknął Jim, chwytając go za połą kurtki.

– Czy pan Fitzhubert jechał na swoim kucu do Lake View przy breku? Widziałeś go przez cały czas?

– Nie mam oczu z tyłu głowy. Część drogi jechał za nami, żeby nam nie kurzyć, a część przed nami. Nie zwracałem na to specjalnie uwagi, wiem tylko, że przyjechaliśmy pod drzwi Lake View razem.

– Która to była godzina?

– Chyba koło wpół do ósmej. Pamiętam, że kolacja czekała na mnie w piecyku.

– Dziękuję panu, panie Crundall. – Młody policjant z ważną miną zamknął notes. – To zeznanie zostanie spisane i przedstawione panu później do podpisu. Teraz jest pan wolny.

– To zezwolenie było zbędne. Albert już zakładał uzdę na łeb kasztanka na poletku koniczyny po drugiej stronie drogi.

Przez trzy następujące po sobie ranki australijska publiczność pożerała jednocześnie z jajkami na bekonie wszelkie smakowite szczegóły „Tajemnicy Pensji”, jak to nazwała prasa. Chociaż nie zdobyto żadnych nowych informacji ani nic na kształt klucza do rozwikłania zagadki i sytuacja pozostawała nie zmieniona od czasu, gdy Ben Hussey doniósł o zniknięciu dziewcząt oraz ich nauczycielki, publiczność domagała się coraz to nowej pożywki. W tym celu przyozdobiono środowe kolumny zdjęciami rodowej siedziby Michała Fitzhuberta, Haddingham Hall (ze wstawką przedstawiającą jego siostry bawiące się ze spanielem na tarasie), i oczywiście urodą Irmy Leopold oraz wzmianką o milionach mających jej przypaść w udziale z chwilą dojścia do pełnoletności. Bumpher jednakże był bardzo daleki od zadowolenia z tego stanu rzeczy. Po naradzie z przyjacielem, detektywem Luggiem z Russell Street, postanowił jeszcze raz wydobyć jakieś konkretne wiadomości od Edyty Horton. W związku z tym o ósmej rano w środę, osiemnastego, w dzień równie wspaniałą jak poprzednie, z lekkimi rzeźwiącymi powiewami, przybył w towarzystwie Jima zaprzężonym w parę koni powozikiem na pensję pani Appleyard z zamiarem zabrania Edyty Horton i nauczycielki francuskiego na Tereny Piknikowe pod Wiszącą Skalę.

Pani Appleyard, choć sprawa wyglądała frywolnie, nie mogła się temu sprzeciwić. Policja, rzekł Bumpher, czyni wszystko co w jej mocy, aby rozwikłać tajemnicę, i zdaniem jego oraz detektywa Lugga jest rzeczą niezmiernie istotną, aby Edyta jako główny świadek znalazła się na miejscu wydarzenia, gdyż może to pobudzi jej pamięć. Przełożona, zdając sobie sprawę z ograniczonej inteligencji Edyty oraz jej nieograniczonego uporu, uznała tę wyprawę za zwykłą stratę czasu i tak też powiedziała Bumpherowi, on jednak był innego zdania. Mimo dość niemiłego sposobu zachowania Bumpher nie był głupcem w swoim fachu i miał sporo doświadczeni a co do tego, jak różni ludzie reagują na pytania zadawane przez policję.

– Próby przymuszenia tej dziewczyny, aby sobie przypomniwała, jeszcze bardziej pomieszały jej w głowie. Znam ludzi z okropną pamięcią, którzy stawali się pożytecznymi świadkami, kiedy wracali, że tak powiem, do punktu wyjścia. Spróbujemy tego i tym razem... – rzekł przełożonej. Chcąc zatem stworzyć atmosferę odprężenia, wyruszył w drogę z elegancką i ładniutką Mademoiselle u boku i nawet zamówił dla niej koniak z wodą sodową, a dla Edyty i Jima lemoniadę w hotelu w Woodend, kiedy zmieniali konie.

Teraz zaś stali na Terenach Piknikowych dokładnie w tym miejscu, gdzie w dniu świętego Walentego Edyta z trzema dziewczętami przeprawiła się na drugą stronę strumienia. Na oświetloną słońcem ścianę Wiszącej Skąły gałęzie drzew rzucały lekko poruszające się wzorki cienia. „Niby błękitna koronka”, myślała Mademoiselle zastanawiając się, jak coś tak pięknego może być narzędziem zła...

– No więc, panno Edyto... – Policjant aż się rozpląwał w uśmiechach i był pełen ojcowskiej cierpliwości – w którą stronę zaczęłyście iść od tego miejsca?

– Nie wiem. Mówiłam już, że nie potrafię odróżnić jednego gumowca od drugiego.

– Edytko, *cherie* – wtrąciła się Mademoiselle – może potrafisz powiedzieć panu sierżantowi, o czym wy cztery rozmawiałyście w tym czasie?... Jestem pewna, że one rozmawiały, panie Bumpher...

– Tak, tak – podchwycił policjant. – To jest myśl. Panno Edyto, czy któraś z was zaproponowała jakiś kierunek?

– Marion Quade się ze mną drażniła... Ona potrafi być bardzo niemiła. Powiedziała, że te szczyty mają milion lat.

– Szczyty! Więc poszłyście w stronę szczytów?

– Chyba tak. Nogi mnie bolały i nie zwróciłam uwagi. Chciałam usiąść na zwalonym drzewie, zamiast iść dalej, ale one mi nie pozwoliły.

Bumpher rzucił Mademoiselle pełne nadziei spojrzenie. W okolicy było pełno zwalonych pni i odłamanych konarów, ale zwalone drzewo to już coś konkretnego, od czego można zacząć.

– Teraz, kiedy panna Edytka przypominała sobie o zwalonym drzewie, może przypomni sobie coś jeszcze? Niech się rozejrzy i zobaczy, może coś rozpozna. Pnie, paprocie, kamienie o dziwnym kształcie?...

– Nie – powiedziała Edyta. – Nie ma nic takiego.

– No dobrze, dajmy temu spokój – rzekł policjant postanawiając ponowić atak po posiłku. – Gdzie chciałaby pani zjeść kanapki, Mademoiselle?

Posłano Jima do powoziku po pudełka z kanapkami i właśnie rozsiedli się wszyscy wygodnie na trawie, kiedy Edyta ni stąd, ni zowąd powiedziała:

– Proszę pana! Zdaje się, że coś sobie przypominam.

– Świetnie. Co takiego?

– Chmurkę. Taką śmieszna chmurkę.

– Chmurkę? Świetnie! Tylko że na nieszczęście chmurki mają zwyczaj przesuwac się po niebie.

– Zdaję sobie z tego sprawę w zupełności – rzekła Edyta zarazem sztucznie i dorośle. – Tylko że ta miała paskudne czerwone zabarwienie i zobaczyłam ją przez gałęzie... – Ugryzła wolno spory kęs kanapki z szynką. – To było zaraz po tym, jak minęłam pannę McCraw.

Kanapka Bumphera wypadła mu z ręki w trawę.

– Pannę McCraw? Do licha! Wcale nam panienka nie mówiła, że widziała pannę McCraw! Jim, weź notes. Nie wiem, czy panienka zdaje sobie sprawę, że właśnie nam powiedziała coś bardzo ważnego.

– Dlatego właśnie powiedziałam – odrzekła Edyta z zadowolona miną.

– Kiedy nauczycielka panienki dołączyła do was? Niech się panienka dobrze zastanowi.

– Ona nie jest moją nauczycielką – rzekła Edyta odgryzając następny kęs kanapki. – Moja mama nie chciała, żebym przerabiała wyższy kurs matematyki. Mama mówi, że miejsce dziewczyny jest w domu.

Bumpher potrafił się zdobyć na przytulny uśmiech.

– Racja. Mama panienki jest bardzo rozsądną damą... Niech panienka mówi dalej o pannie McCraw. Gdzie ona się znajdowała, kiedy panienka nagle spojrzała i ją zobaczyła. Blisko? Daleko?

– Wydawała się dość daleko.

– Sto metrów, pięćdziesiąt?

– Nie wiem, nie jestem za dobra w rachunkach. Mówiłam, że widziałam ją z daleka, poprzez drzewa, kiedy biegłam do strumienia.

– A panienka biegła oczywiście w dół?

– Oczywiście.

– Zaś panna McCraw szła pod górę, w przeciwnym kierunku, czy tak?

Ku przerażeniu policjanta jego świadek zaczął chichotać, potem zwijać się ze śmiechu.

– Rety! Jak ona śmiesznie wyglądała.

– Czemu? – zapytał Bumpher. – Zapisz to, Jim. Czemu wyglądała śmiesznie?

– Wolałabym nie mówić.

– Powiedz nam, proszę, Edytko – błagała Mademoiselle. – Twoje słowa są bardzo cenną pomocą dla pana Bumphera.

– Jej spódnica... – powiedziała Edyta i zatkała usta różkiem chusteczki.

– Co było z jej spódnicą?

Edyta znów zachichotała.

– Tego nie można powiedzieć głośno w mieszanym towarzystwie.

Bumpher pochylił się ku niej i patrzył przenikliwymi niebieskimi oczami, jakby chciał przewiercić ją wzrokiem.

– Nie zważaj na mnie – powiedział. – Ja jestem taki stary, że mógłbym być twoim ojcem! Ot, co.

Edyta wyszeptwała coś w czujne różowe uszko Mademoiselle.

– Ona mówi – rzekła nauczycielka – że panna McCraw nie miała na sobie spódnicy... tylko *les pantalons*.

– Majtki – pouczył Bumpher młodego Jima. – No, panno Edyto, a czy panienka jest pewna, że osobą idącą pod górę, którą panienka widziała z daleka, była naprawdę panna McCraw?

– Najzupełniej.

– Czy nietrudno byłoby ją rozpoznać bez spódnicy?

– Wcale nie. Żadna z naszych nauczycielek nie ma takiej dziwnej figury. Irma Leopold kiedyś powiedziała: „Ta McCraw ma kształt żelazka do prasowania”.

I to była ostatnia i jedyna informacja, jaką udało się wydobyć w środę, osiemnastego lutego, czy kiedykolwiek później z Edyty Horton.

Ledwie powozik policyjny zjechał z podjazdu i skręcił na gościniec, pani Appleyard zamknęła zdecydowanym ruchem drzwi swojego gabinetu i siadła przy biurku. Ostatnio zaczęło to u niej przechodzić w zwyczaj. Gdy zajmowała się swoimi sprawami, wyprostowana, milcząca, z pozoru spokojna, zdawała sobie coraz bardziej sprawę, że ze świata zewnętrznego dociera do niej wzrastający pomruk pytających głosów. Głosów złośliwców, duchownych, jasnowidzów, dziennikarzy, przyjaciół, krewnych, rodziców. Rodzice byli oczywiście najgorsi. Nie można przecie wyrzucić ich listów do kosza na śmieci, tak jak się wyrzuca propozycję, z załączoną ofrankowaną kopertą, odnalezienia zaginionych dziewcząt za pomocą opatentowanego magnesu. Zdrowy rozsądek mówił jej, iż jest to całkiem zrozumiałe, gdy któreś z rodziców, jeżeli nawet jego córka wróciła z pikniku cała i zdrowa, pisze, aby uzyskać dalsze informacje i zapewnienia. To właśnie te listy sprawiły, że całymi godzinami przesiadywała niczym przykuta do biurka i denerwowała się. Jedno niedyskretne słówko wysłane do którejś ze zdenerwowanych

matak mogło na tym etapie z łatwością wzniecić pożogę kłamstw i plotek, jakiej największa nawet ilość lodowatej wody prawdy nie zdołałaby ugasić.

Tego ranka pani Appleyard stała przed odpychającym i nieskończenie bardziej niebezpiecznym zadaniem powiadomienia listownie rodziców Mirandy, Army Leopold oraz opiekuna prawnego Marion Quade, że te trzy dziewczyny oraz ich nauczycielka zaginęły pod Wiszącą Skalą. Na szczęście – albo na nieszczęście – żaden z trzech listów nie mógł dotrzeć na miejsce szybko. Nikt też z adresatów nie miał dostępu do publikowanych tekstów o „Tajemnicy Pensji”, a to z przyczyn, które zostaną niebawem przedstawione. Znowu wróciła myślami do ranka, kiedy odbywał się piknik. Znowu zobaczyła równe szeregi dziewcząt w kapeluszach i rękawiczkach, dwie nauczycielki, które nimi doskonale kierowały. Znowu usłyszała własne krótkie słowa pożegnania z ganku, słowa ostrzegające przed niebezpiecznymi wężami i owadami. Owadami! Co się tam mogło stać w to sobotnie popołudnie? I czemu, czemu musiało się stać właśnie tym trzem starszym dziewczętom, tak cennym dla prestiżu i pozycji pensji? Marion Quade, bystra uczennica, choć nie tak bogata jak dwie pozostałe, mogła sięgnąć po akademickie laury, co na swój sposób jest niemal równie doniosłe. Czemu nie zaginęła Edyta albo to małe nic, Blanche czy Sara Waybourne? Jak zwykle na samą myśl o Sarze Waybourne zirytowała się. Te oczy jak spodeczki, pełne nieustannego, nie wypowiedzianego krytycyzmu, nie do zniesienia u trzynastoletniego dziecka. Opłaty za naukę Sary były jednak zawsze wnoszone terminowo przez starszawego opiekuna, który nigdy nie ujawniał swojego adresu. Dyskretny, elegancki, „dżentelmen w każdym calu”, jak by go określił Artur.

Wspomnienie o Arturze, który często stał u jej boku, gdy borykała się z jakąś szczególnie trudną korespondencją, usunęło eleganckiego opiekuna z jej myśli. To wszystko do niczego nie prowadzi. Z westchnieniem wzięła obsadkę i zaczęła pisać. Najpierw do państwa Leopold, zdecydowanie najbardziej imponujących w rejestrze pensji: bajecznie bogatych i obracających się w najlepszym międzynarodowym towarzystwie, obecnie jednak przebywających w Indiach, gdzie pan Leopold zamierzał kupić od pewnego radży w Bengalu kuce do gry w polo. Jak wynikało z ostatnich listów Army, jej rodzice powinni teraz być gdzieś w Himalajach, na fantastycznej wyprawie ze słoniami, palankinami i haftowanymi jedwabnymi namiotami. Ich adres przez co najmniej dwa tygodnie będzie nieznany. W końcu ku swemu wielkiemu zadowoleniu skończyła list – wyważona mieszanina współczucia i praktycznego zdrowego rozsądku. Nie za wiele współczucia na wypadek, gdyby cała ta godna potępienia sprawa znalazła szczęśliwe rozwiązanie i Irma wróciła do szkoły, zanim list dotrze do adresatów. Problematiczne też było, czy wspominać o czarnym tropicielu i psie gończym... Niemal słyszała głos Artura: „Mistrzowsko, moja kochana, mistrzowsko”. I taki też, zgodnie z jej zamierzeniem, był ów list.

Następni w kolejności byli rodzice Mirandy, właściciele ogromnych stacji hodowlanych w głębi Północnego Queensland. Niezupełnie należeli do warstwy milionerów, lecz jako członkowie jednego z najbardziej znanych australijskich rodów pionierskich, ludzie ci byli bardzo zamożni, świetnie się im powodziło. Wzorowi rodzice, nieskłonni do robienia wrzawy z byle powodu, jak spóźnienie na pociąg lub epidemia odry na pensji, lecz w tej niedorzecznej sytuacji równie nieobliczalni jak wszyscy. Miranda była jedyną córką, najstarszym z pięciorga dzieci i o czym pani Appleyard wiedziała, oczkiem w głowie

rodziców. Cała rodzina przebywała w czasie ferii Bożego Narodzenia w St. Kilda, ale w ubiegłym miesiącu powróciła w luksusowe odosobnienie Goonawingi. Zaledwie przed kilkoma dniami Miranda wspomniała mimochodem, że poczta dociera do Goonawingi razem z zapasami, czasem nawet raz na cztery, pięć tygodni. Nie można jednak być pewnym, myślała przełożona ssąc koniuszek obsadki, czy jakiś gość plotkarz nie przyjedzie tam z gazetami i nie wypuści w ten sposób kota z pocztowego worka. Pani Appleyard, jak to musiało zostać zauważone, nie ulegała sentymentom, jednakże był to najtrudniejszy list, jaki kiedykolwiek w całym swoim życiu musiała napisać. Gdy zaklejała kopertę, gęsto zapisane karteczki jakby obwoływały się posłanniczkami zatracenia. Wzruszyła ramionami: „Zaczynam miewać przywidzenia” – pomyślała i wypila parę łyków z butelki koniaku stojącej w szafce za biurkiem.

Opiekun prawny Marion Quade był adwokatem rodziny i poza wnoszeniem opłat za naukę Marion przeważnie pozostawał w cieniu. Obecnie szczęśliwym trafem bawił w Nowej Zelandii zajmując się wędkowaniem nad jednym z niedostępnych jezior. Marion określiła go ostatnio mianem „guzdrały”, toteż pani Appleyard podpisała list i zakleiała żywiąc gorącą nadzieję, że adwokat w pełni zasługuje na to miano i nie podniesie wrzawy, póki nie uzyska dalszych wiadomości. I wreszcie ostatni list do osiemdziesięcioletniego ojca Greta McCraw, mieszkającego samotnie ze swoim psem i Biblią na jednej z najodleglejszych wysp hebrydzkich. Można było liczyć, że staruszek ani nie sprawi kłopotu, ani się nawet nie odezwie, jako że nigdy nie skreślił do córki choćby słówka, odkąd przybyła do Australii jako osiemnastoletnia dziewczyna. Wszystkie cztery listy zostały zaopatrzone w znaczki i położone na stoliku w hallu, aby Tom mógł je zawieźć na wieczorny pociąg.

6

W czwartek po południu, dziewiętnastego lutego, Michał Fitzhubert i Albert Crundall siedzieli w przyjaznym milczeniu przy butelce ballarata w małej przystani nad malowniczym jeziorkiem pułkownika Fitzhuberta. Albert był od paru godzin wolny od obowiązków, a Michał miał właśnie chwilkę przerwy w pomaganiu stryjence przy jej dorocznym garden party. Jeziorko było głębokie i ciemne, lodowate mimo dusznego letniego upału, zarośnięte u jednego końca liliami wodnymi, których kremowe kielichy zatrzymywały na sobie promienie późnopołudniowego słońca. Wśród pływających liści lilii stał na jednej koralowej nodze łabędź, raz po raz wzniecając falę koncentrycznych zmarszczek na gładkiej powierzchni jeziorka. Na przeciwległym brzegu zwały paproci drzewiastej i błękitnych hortensji mieszały się z drzewami naturalnego lasu wznoszącego się stromo za niskim, okolonym werandą domem, przed którym na trawnikach pod wiazami i dębami spacerowali goście. Dwie służące za stojącym na krzyżakach stołem serwowały truskawki ze śmietaną – przyjęcie było dość wytworne, z gośćmi z pobliskiej letniej rezydencji gubernatora stanu, z wynajętym lokajem, trzema muzykantami z Melbourne i mnóstwem francuskiego szampana. Mówiło się przed przyjęciem, że dobrze by było ubrać stangreta w obcisły czarny żakiet i przeznaczyć do nalewania szampana, na co Albert odpowiedział, że się wynajął tylko do pilnowania koni.

– Powiedziałem twojemu stryjowi: „Jestem woźnicą, proszę pana, a nie jakimś cholernym kelnerem”.

Michał roześmiał się.

– Z tymi rusałkami i innymi rzeczami wytatuowanymi na ramionach wyglądasz raczej jak marynarz.

– Bo ten tatuaż zrobił mi jeden marynarz w Sydney. Chciał mi też wytatuować pierś, ale zabrakło mi gotówki. Szkoda. Miałem wtedy zaledwie piętnaście lat...

Przeniósłszy się duchem w świat, gdzie piętnastoletni chłopcy wydają wszystkie pieniądze, do ostatniego szylinga, aby oszpecić się na całe życie, Michał patrzył na swojego przyjaciela z niemal nabożną czcią. On sam, gdy miał piętnaście lat, był jeszcze dzieckiem, które otrzymywało szylinga tygodniowo kieszonkowego i szylinga w niedzielne ranki „na tacę”... Owego popołudnia na pikniku pomiędzy dwoma młodymi ludźmi zawiązało się coś na kształt bezinteresownej przyjaźni. Kiedy siedzieli tak jak teraz – Albert swobodny, w koszuli z zawiniętymi rękawami i w moleskinowych spodniach, Michał sztywny, z goździkiem w butonierce wizytowego ubrania – wyglądali na niezbyt dobraną parę.

– Michał jest w porządku – powiedział kiedyś Albert swojej przyjaciółce kucharce. – My z nim jesteśmy przyjacieli. – I rzeczywiście byli nimi w najpiękniejszym znaczeniu tego wyświechtanego słowa. Fakt, że Albert, który właśnie włożył szary cylinder przyjaciela na swą zmierzwioną, krągłą głowę, wyglądał jak cyrkowy komik i że Michał w brudnym szerokoskrzydłym kapeluszu Alberta robił wrażenie zupełnie, jakby zszedł ze stronic pisma „The Magnet” lub „Boy's Own Paper”, nie miał najmniejszego znaczenia. Tak samo zresztą jak przypadek urodzenia, który sprawił, że pierwszy z nich był niemal analfabetą, drugi zaś ledwie umiał się wysławiać w wieku lat dwudziestu – ekskluzywne szkoły średnie bowiem nie gwarantują umiejętności dorosłego wypowiedzenia się. Żaden z tych młodych ludzi nie zdawał sobie sprawy we wzajemnym obcowaniu ze swych braków, jeśli to były braki.

Panowało między nimi miłe uczucie zrozumienia, toteż nie mówili wiele. Ich rozmowy dotyczyły spraw lokalnych: chora noga klaczy, którą Albert smarował dziegciem, lub wytrwały entuzjazm pułkownika dla pochłaniającego czas ogrodu różanego, który wymagał więcej diabelnego pielienia niż pole ziemniaków, a przecież co za pożytek z tych całych róż? Żaden z nich nie miał kłopotliwych poglądów politycznych ani, skoro o tym mowa, innych przekonań, pod którymi mógłby się podpisać. Co w przyjaźni wszystko znacznie upraszcza. Nie było bzdurnych zahamowań z tego powodu na przykład, że ojciec Michała był konserwatywnym członkiem Izby Lordów, Alberta zaś, kiedy ostatni raz dał o sobie znać, wędrownym wyrobnikiem, w stałym konflikcie z nadzorcą. Dla Alberta młody Fitzhubert był idealnym towarzyszem, który całymi godzinami przesiadywał w milczeniu na przewróconej do góry dnem skrzynce po sieczce, chłonąc jego domorosłą mądrości dowcip. Niektóre z krew mrozących w żyłach anegdot Alberta były prawdziwe, inne nie. Nie miało to znaczenia. Dla Michała swobodne pogawędki z Albertem były źródłem wiedzy nie tylko w ogóle o życiu, ale i o Australii. W kuchni Lake View panicz Michał, członek jednego z najstarszych i najbogatszych rodów Zjednoczonego Królestwa, był powszechnie nazywany „tym nieszczęsnym angielskim bękartem”, na znak szczerego współczucia dla kogoś, kto musiał tak wiele się uczyć.

– Rany! – mówiła kucharka, której zarobki wynoszące dwadzieścia pięć szylingów tygodniowo uchodziły za wysokie. – Nie chciałabym być nim nawet za wóz złota.

Tymczasem w salonie Michał opowiadał stryjowi i stryjence:

– Albert to bardzo przyzwoity jegomość. I jaki mądry! Nie wyobrażacie sobie, jak wiele wie o najprzeróżniejszych rzeczach.

– Hm. Nie wątpię – zgodził się pułkownik z przymrużeniem oka. – Uparty jak osioł, ale niegłupi i pierwszorzędnie obchodzi się z końmi.

Jego żona skrzywiła się, jakby ją doleciała woń siana i końskiego łajna.

– Nie wyobrażam sobie, aby rozmowa z Crundallem mogła być budująca.

W miłym chłodku i spokoju przystani tego popołudnia niewiele było rozmów, budujących czy też innych, trochę przez butelkę zimnego piwa, a trochę przez widok jeziora, spokojnego pod deseniem wydłużających się cieni. Z oddali, z ogrodu różanego, płynęły ponad wodą dźwięki walca „Fale Dunaju”, jako że przyjęcie stawało się coraz nudniejsze. Podziwiane do przesady róże przestały być wystarczającym tematem do rozmowy. Pułkownik w towarzystwie kilku dobranych mężczyzn udał się z karafkami

szkockiej whisky i wody sodowej pod wiaz płaczący, zaś jego żona starała się, jak mogła, ożywić resztę gości lemoniadą.

– Do licha, już piąta! – Michał niechętnie wyciągnął długie nogi spod stołu. – Obiecałem stryjence, że przed odjazdem pokażę pannie Stack róże.

– Stack? To ta z nogami jak butelki od szampana?

Michał nie wiedział. Nie znał panny Stack, więc jej nogi nie miały dla niego żadnego znaczenia.

– Widziałem dziś po południu, jak wysiadała z dwukółki. Przypomniało mi się... stajenny z rezydencji gubernatora mówił, że gliniarze znowu byli dzisiaj pod Wiszącą Skalą z psem.

– Wielki Boże! – wykrzyknął Michał siadając ponownie. – Po co? Czyżby odkryli coś nowego?

– Nie ma obawy! Ja mówię tak: jeżeli ani ci faceci z Russell Street, ani czarny tropiciel, ani ten cholerny pies nie mógł ich odnaleźć, to jaki jest sens, żebyśmy się zamartwiali? Lepiej dokończmy tę butelkę. Nie one pierwsze zaginęły w buszu i jeśli o mnie chodzi, to na tym koniec.

Michał patrzył na lśniący krąg jeziora. Powiedział wolno:

– Jeżeli o mnie chodzi, to nie koniec na tym. Co noc budzę się zlanym zimnym potem i myślę, czy one jeszcze żyją, konając właśnie w tej chwili z pragnienia na tej piekielnej skale... kiedy my z tobą siedzimy sobie i pijemy chłodne piwko. – Gdyby młodzietki siostrzyczki Michała słyszały ten cichy, pełen namiętności głos, tak odmienny od jego pełnych werwy, urywanych wypowiedzi, zapewne nie poznałyby własnego braciszka, którego zwierzenia były w domu zarezerwowane dla starego spaniela.

– W tym się różnimy – rzekł Albert. – Posłuchaj mojej rady i postaraj się zapomnieć o tej całej sprawie jak najszybciej.

– Nie mogę, nigdy nie zapomnę.

Białe łabędź wśród płynących liści lilii wodnych rozprostował teraz najpierw jedną, potem drugą nogę, a następnie pomknął bijąc skrzydłami przez jezioro ku przeciwległemu brzegowi. Dwaj młodzi ludzie patrzyli na niego w milczeniu, póki nie zniknął wśród szuwarów.

– To bardzo ładne ptaki, te łabędzie – westchnął Albert.

– Piękne – rzekł Michał, myśląc z przygnębieniem o czekającej na niego w różanym ogrodzie młodej nieznajomej. Wyplątał z mozołem swoje długie nogi w prążkowanych spodniach spod krzesła, wstał, wytarł nos, zapalił papierosa, podszedł do drzwi, zatrzymał się i odwrócił.

– Słuchaj – rzekł Albert. – Nie znam się za bardzo na muzyce, ale czy to nie „Boże, chroń królową”? Zdaje się, że gubernator już odjeżdża.

– Niech sobie jedzie... Muszę ci coś powiedzieć, ale nie wiem, jak zacząć. – Albert jeszcze nie widział takiej powagi na twarzy przyjaciela. – No więc... mam pewien plan...

– Plan nie ucieknie – rzekł Albert zapalając papierosa. – Lepiej leć. Twoja stryjenska zrobi ci piekło, jak się nie pokażesz.

– Do licha ze stryjenką. Rzecz w tym, że ten plan nie może czekać. Albo wprowadzę go w czyn teraz, albo nie zda się na nic. Znasz tę ścieżkę górską, o której mówiłeś mi wczoraj? – Albert skinął głową.

– Tę, która prowadzi na równinę po naszej stronie góry?

– Pewnie uważasz to za daremny trud i może tak jest rzeczywiście, ale wszystko mi jedno. Postanowiłem sam zająć się przeszukaniem Wiszącej Skały i zrobić to na własną rękę. Bez policji. Bez psów. Tylko my dwaj. To znaczy, jeżeli zgodzisz się mi towarzyszyć. Moglibyśmy wziąć araba i Lansjera, wyruszyć wczesnym rankiem i zdążyć do domu na kolację, aby uniknąć niewygodnych pytań. No więc wyrzuciłem to z siebie. Co ty na to?

– Wariat. Szalony. Biegnij i pokaż panie Butlonogiej róże, a o tym porozmawiamy kiedy indziej.

– Och, wiedziałem, co sobie pomyślisz – rzekł Michał z taką goryczą, że Albert poczuł się wstrząśnięty.

– Hej, zaczekaj chwilę! Ja tylko chciałem powiedzieć...

– Ty sobie myślisz: biedny facet wcale nie zna buszu i tak dalej. Do diabła, wiem o tym, ale to nie ma znaczenia. Skłamałem ci mówiąc, że mam taki plan. To jest nie tyle plan, ile wewnętrzna potrzeba. – Brwi Alberta podskoczyły w górę, lecz nie powiedział nic. – Przez całe życie robiłem różne rzeczy, ponieważ inni mówili, że je należy robić. Tym razem zamierzam zrobić coś, co sam uważam za słuszne... choćbyś ty i wszyscy inni uznali, że oszalałem.

– Słuchaj – rzekł Albert – potrzeby potrzebami, ale każdy cal tej choleryjnej skały został już przeczesany. Co ty tam jeszcze możesz zrobić?

– No to wybiorę się sam!

– Kto ci powiedział, że pojedziesz sam? Jesteśmy przecież przyjaciele.

– Więc pojedziesz ze mną?

– Oczywiście, ty ofiario... Och, daj spokój. Nie trzeba wielkich przygotowań. Wystarczy wziąć trochę żarcia dla nas i torby z obrokiem dla koni. Kiedy wyruszamy?

– Jutro, jeżeli będziesz mógł się urwać.

Był to piątek, wolny dzień Alberta, od dawna poświęcany na walki kogutów w Woodend.

– O to się nie martw... O której możesz wyruszyć?

Ujrzeni kołyszającą się nad żywopłotem z hortensji koronkową parasolkę pani Fitzhubert, która zdecydowanie zmierzała w ich stronę, więc uzgodnili spieszenie, że się spotkają o wpół do piątej rano w stajni.

Nareszcie trawniki Lake View opustoszały, namiot złożono, stoły rozmontowano i zanieśiono do szopy do następnego roku. W koronach najwyższych drzew jeszcze plotkowały senne szpaki, a w salonie pani Fitzhubert załśniły różowawo lampy z jedwabnymi abażurami.

Pod Wiszącą Skałą długie fioletowe cienie, jak w każdy letni wieczór, układały się w swój odwieczny wzorzec na tajemniczej ścianie. Odwróciwszy się okrytymi granatową serżą plecami od wspaniałego widoku złocistych szczytów z wolna ciemniejących na tle turkusowego nieba, policjanci wsiedli do czekającego powozu i ruszyli szybko do miłych sercu wygód hotelu w Woodend. Posterunkowy Bumpher miał po dziurki w nosie skały z jej tajemnicami, więc ze zrozumiałą przyjemnością cieszył się na oczekujące go piwo i soczysty befsztyk.

Mimo przepięknej pogody i dobranego towarzystwa dzień okazał się zdecydowanie nieudany. Z uwagi na spóźnione świadectwo małej Horton – jeśli je można nazwać

świadectwem – natychmiast zintensyfikowano poszukiwania, włącznie z ponownym użyciem psa, któremu dostarczono kawałek perkalu oderwany od bielizny panny McCraw. Nie było powodu wątpić, że Edyta naprawdę widziała nauczycielkę matematyki zdążającą pod górę w białych perkalowych majtkach i minęła się z nią. To niejasne i bezsłowne spotkanie pozostawało jednak nie potwierdzone, nie wiadomo też, czy panna McCraw widziała przerażoną dziewczynkę. Już w niedzielę rano zauważono u zachodniego krańca skalnej ściany lekkie ślady poruszenia krzaków i paproci. Obecnie uznano za możliwe, że wyznaczały one szlak, który obrała panna McCraw odbiwszy się po obiedzie od grupy. Jednakże ślady niemal natychmiast się skończyły, rzecz dziwna, niemal na tym samym poziomie prążkowanej skały co inne lekkie zadrapania i otarcia leśnego poszycia u wschodniego krańca, gdzie rozpoczęły zapewne swą niebezpieczną wspinaczkę cztery dziewczyny. Przez cały długi dzień pies gończy węszył i szperał wśród okrytych kurzem gęstych krzaków, spieczonych w słońcu skał i głazów. Pies, któremu wcześniej też się nie udało wpaść na trop trzech zaginionych dziewcząt, miał bardzo utrudnione zadanie, jako że powodowana dobrymi zamiarami armia ochotników pozacierała nagle ślady pozostawione, być może, przez dłoń wspartą na chwilę na zakurzonym głazie lub stopę na sprężystym mchu. W czwartkowe popołudnie zwierzę to obudziło nadzieje, kiedy blisko dziesięć minut stało warcząc i jeżąc sierść na niemal okrągłej platformie skalnej, bliżej szczytu. Szkło powiększające nie ujawniło jednak absolutnie żadnych śladów oprócz skutków działania przyrody w ciągu setek lub tysięcy lat. Przeglądając skąpe notatki w słabym świetle wnętrza powozu, Bumpher liczył, że może znajdzie kawałek lub nawet całą purpurową jedwabną pelerynkę nauczycielki, wetkniętą w wydrążony pień lub pod jakiś głaz. „Nie mam pojęcia, co ta kobita mogła z nią zrobić! Przecież od niedzieli setki ludzi włóczyło się w buszu. Nie mówiąc o psie”.

Tymczasem, podobnie jak większość innych mieszkańców na stokach góry Macedon, tego wieczoru pułkownik Fitzhubert i jego bratanek omawiali ponowne użycie psa do poszukiwań. Zmęczona rygorami gościnności pani Fitzhubert położyła się do łóżka. Pułkownik był gorzko rozczarowany psem. Od początku pokładał w nim największe nadzieje i czuł się niemal osobiście dotknięty brakiem rezultatów.

– Daję słowo – rzekł do bratanka przy kolacji – zaczynam dochodzić do wniosku, że sprawa zaszła za daleko dla psów czy czegokolwiek innego. W sobotę będzie już tydzień od zniknięcia tych biedaczek. Może kieliszeczek porto? Najprawdopodobniej wszystkie są już martwe i leżą na dnie jednej z tych diabelnych rozpadlin. – Staruszek wydawał się tak szczerze zmartwiony, że Michał o mało nie zwierzył mu się ze swoich planów jutrzejszej wyprawy pod Wiszącą Skałę. Stryjenka jednak z pewnością wydobyłaby cały arsenał przeszkód. Pobawiwszy się chwilę w milczeniu orzechami, zapytał, czy może wziąć na piątek araba.

– Albert ma wolny dzień i powiedział, że chce mnie zabrać na długą przejażdżkę.

– Ależ proszę bardzo. Dokąd zamierzacie pojechać?

Zawsze kiepski kłamca, nawet w rzeczach błahych.

Michał mruknął coś o Wielbłądzim Garbie.

– Doskonale! Crundall zna te okolice jak wierzch własnej dłoni. Na pewno się postara, żebyś mógł sobie pogalopować. Gdyby nie zebranie Komitetu Wystawy Róż jutro po południu, sam chętnie bym z wami pojechał. – (Dzięki Ci, Boże, za tę wystawę róż!) –

Tylko nie spóźnij się na kolację – dodał pułkownik. – Wiesz, jaka jest twoja stryjenka. – Michał dobrze wiedział, toteż obiecał solennie, że wróci do Lake View najpóźniej o siódmej.

– Przypomniało mi się – rzekł stryj – jesteśmy obaj zaproszeni na obiad i tenisa do letniej rezydencji w sobotę.

– Obiad i tenis – powtórzył jego bratanek, zastanawiając się w duchu, ile czasu zajmie jemu i Albertowi droga do rozlewiska na Terenach Piknikowych.

– Zjesz brzoskwinie, mój chłopcze? Albo trochę tej piekielnej galarety? Kobiety nie mają pojęcia o organizacji życia domowego.

Michał, który właśnie błędził duchem po Wiszącej Skale w świetle księżyca, został nagle sprowadzony do rzeczywistości, do oświetlonego lampą stołu jadalnego.

– Każdego lata jest to samo... w wieczór po garden party twojej stryjenki... te przekłete resztki... okrawki zimnego indyka... galareta... i to ma być kolacja! Raczej podwieczorek! ... Kiedy jeździliśmy na wycieczki pod Bombalą, osobiście wydawałem polecenia służbie, aby...

– Przepraszam bardzo, stryju – przerwał mu Michał wstając – chyba nie będę czekał na kawę i pójde się położyć. Wyruszamy jutro bardzo wcześnie.

– Idź, mój chłopcze... Baw się dobrze. Radzę jednak poprosić kucharkę, żeby przygotowała ci śniadanie. Nie ma nic lepszego przed galopem jak jajka na bekonie. Dobranoc!

– Dobranoc, stryju. – Jajka, owsianka... Według Alberta na Wiszącej Skale nie ma nawet wody.

7

Po niespokojnej wietrznej nocy na górze Macedon przyszedł cichy bezwietrzny świt, a śpiący w mosiężnych łóżkach pod atłasowymi kołderkami mieszkańcy zaczęli się budzić wśród szmeru strumieni obrzeżonych paprociami i zapachu późno kwitnących petunii. Na jeziorze pułkownika lilie wodne zaczęły się właśnie rozchyłać, gdy Michał wyszedł przez oszklone drzwi swojego pokoju i kroczył przez ciężki od rosy trawnik do krykieta, gdzie paw jego stryjenki zjadał wczesne śniadanie. Po raz pierwszy od wypadków ubiegłej soboty było mu niemal lekko na duchu. W tak wybornie uporządkowanym świecie Wisząca Skala i wszelkie łączące się z nią okropności były koszmarem, czymś, co się odpycha od siebie. W alei kasztanowej rozbudzone ptaki już śpiewały, w podwórku gdakały kury. Z radosnym zamiarem rozbudzenia całej okolicy, aby powitała nastający dzień, szczekał młody psiak. Cienka spirala dymu unosiła się nad kuchnią Fitzhubertów, gdzie służący już rozpalał ogień.

Michał, który nagle sobie uświadomił, że wyszedł bez śniadania, pomyślał z nadzieją, iż Albert nie zapomniał zaopatrzyć ich obu w coś do zjedzenia na obiad. Dotarwszy do stajni, zobaczył młodego woźnicę zapinającego popręg pod brzuchem białego kuca.

– Dzień dobry – powiedział z uprzejmością w głosie, co jest odwiecznym rytuałem Anglika z wyższych sfer, kiedy spotyka ludzką istotę przed dziewiątą rano od Bond Street po Nil Błękitny. Odpowiedź Alberta była charakterystyczna dla ludzi jego klasy i kraju.

– Siemasz! Chyba miałeś tyle rozumu, żeby się napić herbaty?

– Nieważne – rzekł Michał, którego znajomość parzenia herbaty ograniczała się do kuchenki spirytusowej i srebrnego sitka w pokojach w Cambridge. – Wziąłem butelkę koniaku i zapałki. Jak widzisz, zaczynam rzeczywiście poznawać życie w buszu. Miało być coś jeszcze?

Albert uśmiechnął się do niego po ojcowsku.

– Tylko kociołek z wyżerką, dwa kubki i nóż składany, trochę czystych szmatek i parę kropli jodyny. Nigdy nie wiadomo, co znajdziemy, jak zaczniemy szukać... Jezu... nie rób takiej nieszczęśliwej miny. To twój własny pomysł... I jeszcze dwie torby z obrokiem. Przywiąż jedną do swojego siodła. Hoo, Lansjer. Jest trochę rozbrykany z samego rana, prawda, stary? No, ruszajmy.

W kilku domach przy stromej czekoladowej drodze poza Lake View panował już ruch. Z kominów unosił się dym świadczący o przygotowywaniu mosiężnych dzbanków z gorącą wodą i tac z poranną herbatą. Fitzhubertowie i ich przyjaciele byli dobrze obsługiwani i zadowolony z życia społecznością. Składało się na tę społeczność kilku lekarzy z Collins Street, dwóch sędziów Sądu Najwyższego, biskup anglikański, kilku

adwokatów z synami i córkami uprawiającymi tenis, lubiącymi dobre jadło, dobre konie i dobre wino. Mili, wygodnie urządzeni ludzie, dla których tocząca się właśnie wojna burska była najbardziej katastrofalnym wydarzeniem od czasów potopu, zaś nadciągający jubileusz królowej Wiktorii wspaniałą okazją, którą należało uczcić szampanem i fajerwerkami na gazonach.

Dwaj młodzi ludzie na koniach minęli stajennego, który ochlapał się wodą przy pompie przed stajnią z rzeźbionych bali, określoną z zachwytem przez Michała mianem „artystycznej”, a zlekceważoną przez Alberta jako „wymyślne dziwadło”. Minęli mleczarza o szczeciniastej brodzie jadącego dwukółką (w zeszłym tygodniu w Woodend jego nieszczęsna krowa zapłaciła grzywnę za dolewanie mu wody do mleka), służącą zmiatającą schodki kratowanej werandy, wysypyany żwirem podjazd obrzeżony prawie dwumetrowymi ostróżkami, niewidocznego psa łańcuchowego, który wyszczekiwał płuća za żywopłotem z pnących róż.

Droga wiała się uroczo między uśpionymi ogrodami, wciąż jeszcze ciężkimi od rosy i ocienionymi wyniosłościami góry. Pasma dziewiczego lasu biegły w dół, ku nieskazitelnemu kortowi tenisowemu, sadowi, rzędom krzewów malin. Ogrodów o tak bujnej i soczystej roślinności Michał nigdy nie widział w Anglii. Miały w sobie jakąś wzruszającą dziewiczość, rodzaj niewymuszonej pogody, która głosiła, iż są dla przyjemności, kompensując jednolitą architekturę domów o czerwonych dachach wśród wierzb, wiązów, klonów i dębów. Na żyznej wulkanicznej glebie róże pały przez całe lato niemal tropikalnym blaskiem. Nawadniały tę glebę niezliczone strumyki górskie, sprytnie wykorzystane tu dla stworzenia paprociowej groty, ówdzie sadzawki dla złotych rybek, spiętej z grubsza ociosanym mostkiem, lub herbaciarni nad miniaturowym wodospadem. Michał był urzeczony tą dziwnie uprzywilejowaną okolicą, gdzie palmy, ostróżki i maliny rosły obok siebie. Nic dziwnego, że jego stryj z takim żalem powracał z końcem lata do Melbourne.

– Trzeba mieć kupę forsy, żeby móc mieszkać wśród tych ważniaków – powiedział Albert. – Weźmy na przykład naszą służbę w Lake View! Ja przy stajni. Państwo Cutler w domku ogrodnika. Kucharka i kilka dziewcząt w domu. Nie mówiąc już o tym cholernym ogrodzie różanym i kilku piekielnie dobrych koniach, które nic tylko się obżerają obrokiem, jak rok długi. – Michał, który nigdy nie zadawał sobie trudu, by wejrzeć w sprawy finansowe swoich australijskich krewnych, czuł się bardziej zainteresowany grządką bratków mieniących się żółcią i purpurą za schludnie przystrzyżonym ligustrowym żywopłotem. Ich wylewający się na drogę zapach tworzył doskonałe uzupełnienie dla powodzi barw i blasku budzącego się dnia.

– Jak się te, jak im tam, nazywają? – zapytał Albert. – Ładnie pachną, no nie? Już wiem, bratki. Ulubione kwiatki mojej siostrzyczki.

– Biedactwo! Mam nadzieję, że ma teraz własny ogródek.

– O ile wiem, kilka lat temu wpadła w oko jakiemuś staremu przykowi. Prawdę mówiąc, widziałem ją tylko jeden raz, odkąd opuściła sierociniec. Dobra była dziewczynina, trochę podobna do mnie... Nie dała się nikomu zrobić w konia.

Podczas tej rozmowy Albert skierował Lansjera w prawo, w wąską alejkę obrzeżoną z jednej strony lasem, z drugiej zaś starym, porośniętym mchem sadem, gdzie kaczki w

wysokiej trawie raz po raz płoszyły konie. Znajome dźwięki i widoki zamieszkanego okolicy pozostały poza nimi. Wjechali w mroczną zieleń lasu.

– W ten sposób oszczędzamy dobre pięć mil. Jest tu gdzieś coś w rodzaju ścieżki, która prowadzi prosto na drugą stronę góry. – Resztę podróży spędzili w milczeniu, ponieważ ścieżka wiała się wśród zwałonych pni i wzdłuż strumienia. Jeśli nie liczyć rzadkich tu ptaków i królików, jedyną żywą istotą, jaką napotkali, był mały kangur, który wyskoczył z kępy paproci niemal pod nogi Lansjera. Błaszane kubki Alberta zadźwięczały jak cymbały, gdy wielki czarny rumak stanął dęba o mało nie przewracając idącego tuż za nim kuca. Albert uśmiechnął się przez ramię do Michała.

– Ale biedaka wystraszył! Z kangurami tak zawsze. Nic ci nie jest? Myślałem, że zlecisz na łeb!

– Wcale bym tego nie żałował, gdybym zobaczył swojego pierwszego kangura.

– Muszę ci oddać sprawiedliwość, Michał, że choć chwilami bywasz cholernie zielony, świetnie sobie radzisz z tym kucem.

Był to dość dwuznaczny komplement, niemniej został doceniony.

Gdy wyjechali z lasu i znaleźli się w rzadziej porośniętym terenie, słońce stało już wyżej na spowitym mgiełką upału niebie. Wjechali w cień i spojrzeli w dół. Na wprost przed nimi, wśród morza bladych traw, unosiła się we wspaniałym odosobnieniu Wisząca Skala. Jej poszarpane szczyty i wieżyce wydawały się w pełnym blasku słońca bardziej złowrogi niż te okropne jaskinie z koszmarnych snów Michała.

– Nie za dobrze mi wyglądasz, Michał. Żle jechać tak daleko na pusty żołądek. Ruszajmy. Jak tylko dotrzemy nad strumień, coś sobie podjemy.

Tak wiele zdarzyło się od soboty, a przecież, i to nimi wstrząsnęło, wszystko w miejscu, gdzie wtedy jedli obiad, a Albert płucał kieliszki w rozlewisku, wyglądało dokładnie tak samo. Popiół po ich pikniku wciąż wypełniał poczerniały krąg paleniska, strumień bulgotał na gładkich kamieniach jak zawsze. Spętali konie i nakarmili je pod tą kępą czarnych drzew, to samo słońce sączyło się przez liście na ich posiłek rozłożony na gazecie w trawie: płaty zimnej pieczeni, kromki chleba, butelkę sosu pomidorowego, kociołek słodzonej herbaty bez mleka.

– Bierz się za jedzenie, Michał. Mówiłeś, że jesteś głodny.

Michał wcale nie czuł głodu, od chwili jednak, gdy po raz pierwszy ujrzał tego dnia Wiszącą Skalę, czuł bolesną pustkę w duszy, której zimna pieczeń barania nie była w mocy zapęścić. Leżąc w wilgotnym cieniu, pił kubek za kubkiem gorącą jak ukrop herbatę. Skoro tylko Albert zakończył obfity posiłek i zdeptał czubkiem buta żar ogniska, rozłożył się na trawie prosząc, aby Michał obudził go kopniakiem w tyłek za dziesięć minut. W kilka sekund potem już smacznie chrapał. Michał poszedł nad strumień i stanął w miejscu, gdzie cztery dziewczyny, każda na swój sposób, przekroczyły go w sobotnie popołudnie. Ta drobna, ciemna, z loczkami, postąpiła chwilę, patrząc w wodę, a potem skoczyła ze śmiechem, potrząsając kędziorami. Ta szczupła w talii przeskoczyła wodę bez chwili wahania i nawet nie obejrzała się za siebie. Mała i gruba o mało nie wpadła do wody, trafiwszy nogą na niepewny kamień. Wysoka i jasnowłosa Miranda przesybowała nad strumieniem niby biały łabędź. Podczas gdy trzy pozostałe dziewczęta śmiały się i rozmawiały idąc ku skale, Miranda milczała. Zatrzymała się na chwilę na drugim brzegu, żeby odgarnąć pasmo prostych jasnych włosów, które opadło na jej policzek, toteż Michał

ujrzał wówczas po raz pierwszy jej śliczną, poważną twarzyczkę. Dokąd się udały? Jakie dziwne dziewczęce sekrety je łączyły w tej ostatniej pogodnej, a zarazem fatalnej godzinie?

Albert sypiał w swoim krótkim życiu w najrozmaitszych miejscach, w jakich Michał z pewnością nie zmrużyłby oka: pod niepewnymi mostami, w wydrążonych pniach, pustych domach, a raz nawet w zapluskwionej celi małomiasteczkowego aresztu. Wszędzie sypiał twardo i nieregularnie jak pies, i nawet teraz wstał pokrzepiony, przegarniając palcami czuprynę.

– Potrafisz się wyznać na czymś takim? – zapytał wyjmując kawałek ołówka. – Jeżeli narysuję ci plan, potrafisz się w nim rozeznać? Gdzie chcesz zacząć poszukiwania?

Właśnie, gdzie? Jako dziecko Michał bawił się w chowanego ze swoimi siostrzyczkami w małym dobrze utrzymanym lasku kryjąc się w ciemnej osłonie rododendronów lub wypróchniałym dębie. Kiedyś po zbyt długim czekaniu, by go odnalazły, wybiegł tknięty nagłym strachem do szukających dziewcząt, które przerażone, że może on nie żyje albo nigdy się nie znajdzie, płakały i szlochały przez całą drogę do domu. Nie wiedzieć czemu przypominał to sobie właśnie teraz. Może cała sprawa z Wiszącą Skalą zakończy się tak samo. Tej myśli, którą nie był zdolny podzielić się nawet z Albertem, nie należało odrzucać: poszukiwania z psem, tropicielami i policjantami stanowiły tylko jeden sposób osiągnięcia celu, być może nawet nie najodpowiedniejszy. Niewykluczone, że sprawa się zakończy, jeżeli w ogóle znajdzie swój koniec, niespodziewanym odnalezieniem nie mającym nic wspólnego z tymi wytrwałymi poszukiwaniami.

Ustalili, że każdy z nich zajmie się jakimś obszarem na planie Alberta i będzie prowadził poszukiwania ze szczególnym uwzględnieniem jaskiń, skalnych nawisów, zwalonych pni lub czegokolwiek innego, co mogłoby dać jakie takie schronienie zaginionym dziewczętom.

Ponieważ kilkoro naocznych świadków ustaliło, iż pewna luka w kępie drzew u południowo-zachodniego krańca skały była miejscem, z którego czternastego lutego wybiegła zapłakana i rozczochrana Edyta, Albert postanowił rozpocząć swe poszukiwania od tego punktu. Zaraz też wyruszył gwizdząc, by dokładnie zbadać podnóże, gdzie niegdyś jakoby istniał leśny szlak od dawna już zarośnięty orlicą i jeżynami. Ledwie jego wyblakła niebieska koszula znikła między drzewami, Michał się zatrzymał. Albert obejrzawszy się za siebie pomyślał, czy aby biedaczysko się nie spietrał. Jest to jak nic wyprawa z motyką na słońce...

W rzeczywistości zaś jego przyjaciel nadśluchiwał szmeru życia leśnego, buchającego z ciepłej zielonej głębi. W południowej ciszy wszelkie żywe stworzenia z wyjątkiem człowieka, który już dawno zarzucił pochodzące od Boga poczucie równowagi pomiędzy działaniem a spoczynkiem, zwolniły swoje normalne tempo życia.

Liście paproci jakby z fryzowanego brązowego aksamitu kurczyły się pod jego dotykiem, butami deptał schludne domostwa mrówek i pajęczków, dłoń zawadziła o kawałek kory i ruszyła z miejsca kolonię wijących się gąsienic o grubych futerkach, brutalnie wystawionych na południowy blask. Z kamienia zerwała się śpiąca jaszczurka i umknęła przed człapiącym potworem w bezpieczne miejsce. Zbocze robiło się coraz bardziej strome, poszycie coraz gęściejsze. Delikatny młodzian ciężko dysząc, z wilgotną

grzywką na lśniącym czole, parł naprzód przez sięgające mu po pierś orlice, każdym krokiem szerząc śmierć i zniszczenie w pylistej zieleni.

Za nim, o jakieś pięćdziesiąt metrów niżej, rozciągało się rozlewisko, tuż przed nim widniało rzadko zadrzewione wzniesienie. Gdzieś w pobliżu, a może nawet właśnie tędy, Miranda prowadziła w sobotę grupkę dziewcząt przez pas orlic, a potem zanurzyła się w zarośla derenia, tak jak teraz Michał. W miarę jak prostopadła ściana Wiszącej Skały się przybliżała, masywne płyty i spiętrzone prostokąty skał zaczęły zastępować spokojny urok porośniętego paprociami podnóża. Tu i ówdzie odkrywki przedhistorycznych skał i olbrzymie głazy przedarły się na powierzchnię, nad warstwy rozkładającej się roślinności i szczątków zwierzęcych: kości, piór, odchodów ptasich, zrzucanych skór węzowych. Niektóre z tych skał miały wyszczerbione rogi, wystające szpikulce, ohydne guzy i jakby pokryte strupami karbunkuły, inne były garbate, gładko zaokrąglone w ciągu milionów lat. Na każdej z tych budzących grozę skał Miranda mogła złożyć swoją jasną znużoną głowę.

Michał wciąż wspinał się mozolnie bez określonego planu, kiedy nagle zatrzymał go słaby, lecz niewątpliwy dźwięk: „ku-iii”, dobiegający gdzieś z daleka w tyle. Stracił już rachubę czasu i obejrzawszy się za siebie ujrzał ze zdziwieniem Tereny Piknikowe pomniejszone do różowozłotej plamy blasku pomiędzy drzewami. Znowu usłyszał „ku-iii”, głośniejsze tym razem i bardziej natarczywe. Po raz pierwszy od chwili rozstania się w południe z Albertem przypomniał sobie, że mają się spotkać przy rozlewisku nie później niż o czwartej. Tymczasem było już wpół do szóstej. Wyrwał kilka kartek z notesu oprawionego w świńską skórę i pieczołowicie nanizał je na gałązki krzaka górskiego wawrzynu, pozostawiając wiszące w spokojnym wieczornym powietrzu, niczym małe białe chorągiewki, po czym powrócił nad strumień. Albert, oczekujący go z kubkiem herbaty, nie miał niczego ciekawego do zakomunikowania – nie znalazł niczego niezwykłego i chciał wracać do Lake View na kolację.

– Rany, już myślałem, że zabłądziłeś. Co, u licha, robiłeś tak długo tam w górze?

– Rozglądałem się... Rozwiesiłem na krzaku karteczki z mego notesika, żeby móc łatwiej odnaleźć to miejsce.

– Spryciarz z ciebie! Pij herbatę i ruszamy. Obiecałem kucharce, że sprowadzę cię do domu na ósmą na kolację.

Michał odparł powoli:

– Nie wracam dziś do domu.

– Nie wracasz?

– Dobrze słyszysz.

– Niech mnie gęś kopnie! Zwariowałeś czy co?

– Powiedz w domu, że zostałem na noc w Woodend. Nakłam im, co chcesz, byle nie cholerowali. – Albert spojrział na niego z szacunkiem. Jeszcze nie słyszał, żeby Michał używał tak zwanych „słów”. Spojrział w różowawe, rozjarzone niebo i wzruszył ramionami.

– Zaraz się ściemni – powiedział. – Nie wygłupiaj się. Co ci z tego przyjdzie, że będziesz tu tkwił całą noc sam jak palec.

– To moja sprawa.

– Czegokolwiek szukasz, nie znajdziesz tego po ciemku, możesz mi wierzyć. – Teraz Michał zaczął naprawdę kłać, z całą pasją i przekonaniem. Na Alberta, na policję, na cholernych takich owakich, którzy wciąż wtykają nosy w nie swoje sprawy, cholernych takich owakich, którym się wydaje, że wszystko wiedzą, bo są Australijczykami...

– Niech ci będzie – rzekł Albert kierując się ku koniom. – Masz tu resztkę żarcia, która pozostała, i kociołek. W torbie jest jeszcze trochę obroku dla twojego kuca.

– Przepraszam, że ci przed chwilą tak nawymyślałem – powiedział Michał z zażenowaniem.

– Och, miałeś rację... jeżeli tak to czułeś... No, na razie, ruszam w drogę. Nie zapomnij tylko zgasić ognia, zanim odejdziesz stąd jutro rano. Nie chciałbym spędzić weekendu na walce z pożarem buszu pod Wiszącą Skałą.

Lansjer niecierpliwie grzebał nogą i Albert pocwałował przez równinę w stronę góry Macedon. Znał doskonale miejsce między dwoma gumowcami, w którym należało skręcić i wkrótce zniknął z pola widzenia.

Z lasu wypełzły na złotą równinę, na cienkie linie płotów i nieliczne owce, rozproszone długie cienie i tylko nieruchomy wiatrak złapał w swoje srebrne skrzydła resztki słonecznego blasku. Na skale przechowywana przez cały dzień w cuchnących dziurach i jaskiniach ciemność wypłynęła w zmierzch i nastąpiła noc. Michał wiedział bardzo dobrze, że do świtu nie może zrobić nic. O której godzinie w tym obcym kraju wschodzi słońce? Przyniósł trochę kory, podsycił przygasający ogień i przy jego migotliwym świetle zjadł niechętnie trochę chleba z mięsem. Za jego plecami skała wpierała się niewidocznie w bezgwiezdne niebo. O kilka kroków od ogniska ruchoma plama bieli to pojawiała się, to nikła w miejscu, gdzie arab Michała pił wodę ze strumienia. Stos gałązek orlicy posłużył chłopcu za dość wygodne łożo, choć nocne powietrze przejęło go dreszczem, kiedy się kładł. Zdjął kurtkę i okrywszy się nią z wierzchu leżał na plecach i patrzył w niebo. Tylko raz w życiu spał pod gołym niebem – było to na Riwierze Francuskiej, kiedy z grupą przyjaciół z Cambridge zabłądził wśród wzgórz za Cannes. Na niebie świeciły gwiazdy, wokół ciągnęły się winnice, błyszcząły światełka niedalekich domostw. Mieli pledy dla dziewcząt, a poza tym owoce i wino, które im pozostały z całodziennej wycieczki. Wspominając teraz to, co mu się wydawało szczytem wielkiej przygody, pomyślał, jak śmiesznie młody musiał być przy swoich osiemnastu latach.

Wkrótce zapadł w niespokojny sen, w którym brzęk podków araba o kamień wydał mu się odgłosem odmykania okiennic w Haddingham Hall. W półśnie zapragnął, aby Annie nie podnosiła jeszcze żaluzji, i otworzył oczy na czarne, zaciągnięte zasłony australijskiej nocy. Poszukał zapalek i ujrzał przez jedną ulotną chwilę tarczę leżącego obok na ziemi zegarka. Była wciąż dopiero dziesiąta. Zupełnie już rozbudzony i obolały na całym ciele, rzucił złamaną gałąź na ognisko i patrzył leżąc, jak suche liście buchają chmurą isker odbijającą się w rozlewisku.

O pierwszym brzasku już gotował kociołek wody na herbatę. Przelknawszy ją z kawałkiem suchego chleba, który mrówki usiłowały zawlec w całości do swojej spiżarni, dał kucowi resztkę obroku i był gotowy do drogi. W wiele dni później, kiedy Bumper bombardował go wciąż na nowo gradem pytań, zdał sobie sprawę, że nie miał żadnego określonego planu działania przekraczając strumień i kierując się ku skale. Tylko jakiś

wewnętrzny przymus nakazywał mu wrócić do krzaczka z chorągiewkami i zacząć ponowne poszukiwania od tego miejsca.

Ranek był tak samo wspaniały, ciepły i bezwietrzny jak poprzedniego dnia. Po dłużącej się niespokojnej nocy zziębnięty Michał odczuwał ulgę w przedzieraniu się przez sięgające pasa orlice. Dzięki karteczkom z notesika, teraz zwiotczalym od rosy, łatwo odnalazł karłowaty krzak wawrzynu. Papuga przemknęła wśród drzew, sroki rozgłaszały pełnym gardłem swą poranną radość. Zasłonięte koronkową zielenią paproci i listowia groźne skarpy Wiszącej Skały były jeszcze niewidoczne. O kilka kroków od miejsca, w którym się zatrzymał, aby wyciągnąć nogę z pozornie bezdennej rozpadliny, wyskoczył mały kangur i pomknął zakosami, jakby jakimś naturalnym szlakiem. Istnieją rzeczy, o których zwierzęta wiedzą więcej niż ludzie – na przykład spaniel Michała wyczuwał na pół mili kota albo innego wroga. Co ten kangur zobaczył, co wiedział? Może próbował mu coś oznajmić, kiedy tak stał i patrzył na niego z kamiennej półki? Nie miał wcale lęku w swych łagodnych oczach. Łatwo udało się wdrapać na tę skalną półkę, ale gorzej było z podążaniem śladem skaczącego zwierzątka przez krzaki, w których zniknęło. Półka, na której Michał się znalazł, graniczyła z czymś na kształt naturalnej platformy skalnej, otoczonej głazami, kamieniami, kępami sprężystej paproci i ocienionej wybujałymi eukaliptusami. Tutaj Michał musiał dać spocząć, choćby na chwilę, ołowianym nogom. Głowa, przeciwnie, przypominała raczej balon powietrzny umocowany gdzieś nad obolałymi ramionami. Dobrze wyćwiczone ciało przyzwyczajone do obfitych porcji jaj na bekonie, kawy i owsianki mocno się uskarżało na ich brak, choć jego właściciel nie zdawał sobie sprawy, że jest głodny – ale że ogarnia go przemożne pragnienie całych galonów lodowatej wody. Pochyła skała dawała skąpy cień. Położył głowę na kamieniu i natychmiast zapadł w leciutki sen z wyczerpania, lecz obudził się poczuwszy nagle ukłucie bólu nad okiem. Strużka krwi spływała na poduszkę. Poduszka pod rozgrzowaną głową była twarda i ostra jak kamień. Reszta ciała była śmiertelnie zimna. Drżąc sięgnął po koldrę.

Początkowo sądził, że to głosy ptaków na dębie za oknem. Otworzył oczy i zobaczył eukaliptusy, ich wydłużone, spiczaste, srebrne liście zwisające nieruchomo w ciężkim powietrzu. Dźwięk zdawał się dochodzić ze wszystkich stron – cichy nieartykułowany pomruk, niemal jak szmer odległych głosów, przerywany raz po raz niby trelami na podobieństwo krótkich wybuchów śmiechu. Lecz któż mógłby się śmiać tu, w dole, pod powierzchnią morza?... Przedzierał się przez nienawistne ciemnozielone wody szukając katarynki, której słodki, dźwięczny głos brzmiał raz przed nim, raz za nim. Gdybyż mógł szybciej się poruszać włokąc bezużyteczne nogi przez zielen, pewnie by ów głos doścignął. Nagle głos ucichł. Woda gęstniała i ciemniała. Ujrzał banieczki wydostające się z ust, zaczął się dławić, pomyślał: „Oto jak jest, kiedy się tonie” i zbudził się kaszląc krwią, która spływała mu na policzek z rozciętego czoła.

Był już zupełnie przebudzony i dźwigał się na nogi, kiedy usłyszał w pewnej odległości przed sobą jej śmiech.

– Mirando! Gdzie jesteś?... Mirando! – Nikt mu nie odpowiedział. Zaczął biec, jak mógł najszybciej, w stronę pasa krzaków. Szarozielony kolczasty dereń drapał jego delikatną skórę. – Mirando! – Ogromne głazy i skały zagradzały mu drogę na wzniesieniu i musiał je okrążyć, wspinać się po nich lub pełzać pod nimi zależnie od ich wielkości i kształtu.

Robiły się coraz większe i o coraz bardziej niesamowitych zarysach. Krzyknął: – O, moja zagubiona, ukochana Mirando, gdzie jesteś? – I podniósłszy wzrok na chwilę nad zdradziecki teren ujrzał monolit, czarny na tle słońca. Grad kamieni posypał się w przepaść, gdy Michał potknął się o wystającą ostrogę skały i upadł. Ból przeszył mu kostkę w nodze, lecz on został i zaczął się wdrapywać na następny gład. Jedno tylko docierało do jego świadomości: Naprzód! Jeden z przodków Fitzhubertów wyrabując sobie drogę przez krwawe barykady pod Agincourt czuł wówczas podobnie i włączył właśnie to słowo, po łacinie, do herbu rodzinnego: Naprzód! Michał, w pięć wieków później, też parł do przodu.

8

Troska o cokolwiek poza codziennymi sprawami była dla Alberta czymś zupełnie nowym i niemiłym. Jadąc przez grzbiet góry do domu w piątkowy wieczór powracał wciąż myślami do swojego przyjaciela, który pozostał sam na całą noc nad strumieniem. Biedaczysko nie będzie nawet wiedział, że aby się ułożyć wygodnie na posłaniu z orlic, trzeba sobie wygrzebać dołek na bark. Nie umie też rozniecić ognia garścią kory, gdy noc zrobi się chłodna, co się często zdarza na Równinach Macedońskich nawet latem. Coś niewątpliwie Michałowi zalazło za skórę. Co to było, Albert nie wiedział, ale zalazło. Być może wszyscy wielcy panowie, jak Michałowa rodzina w Anglii, mają lekkiego bzika. Albo rzeczywiście w tym całym bajdurzeniu o poszukiwaniu zaginionych dziewcząt jest jakiś sens. Albert sam kiedyś poczuł niewytłumaczoną potrzebę udania się do Ballaratu na wyścigi i postawienia całych pięciu funtów na fuksa, który następnie przybiegł pierwszy na metę wygrywając czterdzieści do jednego. Może Michał odczuł coś podobnego w związku z zaginionymi dziewczętami. On sam, Albert, był już kompletnie znudzony tymi poszukiwaniami zaginionych... które zapewne dawno nie żyją... Pomyślał z nadzieją, że może kucharka zachowała coś gorącego na kolację. I co, u diabła, powie szefowi? Z takimi to niespokojnymi myślami Albert kłusował do domu puściwszy luźno cugle.

Ciemności wypełniały aleję wonną ponurością i tajemniczością, gdy skręcił w bramę Lake View. Rozsiodławszy Lansjera i obmywszy go wodą z węża na podwórku stajennym, udał się do kuchni, gdzie poprawił sobie humor sporą porcją odgrzanego befsztyka, cynaderek i placka z morelami.

– Lepiej idź do nich – poradziła mu kucharka. – Pan jest cały w nerwach, że się spóźniłeś i w ogóle... A co zrobiłeś z paniczem Michałem?

– Co miałem zrobić? Pójdę tam, jak skończę pić herbatę – odparł woźnica, biorąc jeszcze kawałek placka. Było już po dziesiątej i pan Fitzhubert siedział sam w swoim gabinecie. Układał pasjansa przy otwartych drzwiach werandy, gdy Albert zakaszłał głośno i zapukał w oprawioną w ołów szybkę.

– Wejdz, Crundall. Na miłość boską, gdzie panicz Michał?

– Kazał przekazać panu, że...

– Przekazać? Nie wróciliście razem? Co się, u Ucha, stało?

– Nic, proszę pana – odparł młody woźnica, szukając gorączkowo jakiejś wymówki, którą próbował wymyślić jedząc placek z morelami, a która teraz, pod oskarżającym spojrzeniem niebieskich oczu starszego pana, wypadła mu z pamięci.

– Co to znaczy: nic? Mój bratanek wcale mnie nie uprzedził, że nie będzie na kolacji. – W Lake View nie zapowiedziana nieobecność w czasie posiłku zasługiwała na niemal najwyższą karę.

– Bo nie zamierzał pozostać tak długo poza domem, psze pana. Rzecz w tym, że wyruszyliśmy w powrotną drogę trochę późno i panicz Michał postanowił spędzić noc w Gospodzie Macedońskiej i wróci jutro.

– W Gospodzie Macedońskiej? Tej nędznej karczmie koło Woodend Station? Co za nonsens!

– Myślę, że wydawało mu się – powiedział Albert nabierając pewności siebie, jak wszyscy dobrzy kłamcy – iż w ten sposób oszczędzi kłopotów.

Pułkownik prychnął drwiąco.

– Dobrze sobie, zważywszy, że kucharka trzymała dla niego gorącą kolację przez ponad trzy godziny.

– Mówiąc między nami – rzekł Albert – pan Michał był trochę zmordowany po takiej długiej jeździe w słońcu dzisiaj rano.

– Gdzieście jeździli? – spytał pułkownik.

– Dość daleko. Prawdę mówiąc, to ja mu poradziłem, żeby się nie szarpał i przenocował w Woodend.

– A więc to był twój genialny pomysł. Chłopak jest zdrow?

– Jak ryba.

– Miejmy nadzieję, że dla araba znalazło się przyzwoite miejsce w stajni... jeżeli tam w ogóle jest stajnia... No dobrze, możesz odejść. Dobranoc.

– Dobranoc panu. Będzie pan jutro potrzebował Lansjera?

– Tak. To znaczy nie. Do licha. Nie mogę ułożyć sobie planu na sobotę, póki się nie zobaczę z bratankiem. Jesteśmy umówieni na partię tenisa w letniej rezydencji gubernatora.

Chociaż normalnie zasypiał nie śniąc o niczym, ledwie przyłożył głowę do poduszki, tym razem Albert spędził noc pełną niepokojących majaczeń, w których wciąż słyszał przyzywający go na pomoc z jakichś niedostępnych miejsc głos Michała. Czasami głos ten dobiegał przez małe okienko od strony jeziora, czasem w jęśliwych powiewach z alei, kiedy indziej znów rozlegał się tuż obok, blisko ucha: „Albercie, gdzie jesteś, Albercie!” – aż wreszcie Albert usiadł na łóżku spocony i zupełnie rozbudzony. Tym razem odczuł zdecydowaną ulgę, kiedy słońce wstało napełniając jego kłitkę pomarańczowym blaskiem i pora była wstać, wsadzić głowę pod pompę i zająć się końmi.

Zaraz po śniadaniu, nie mówiąc nic nikomu – nawet swojej przyjaciółce kucharce – przypiął karteczkę do wrót stajennych, osiodłał Lansjera i ruszył poprzez grzbiet góry Maced on ku Terenom Piknikowym. „Zaraz wracam” – napisał na karteczce z rozmyślnym pragnieniem wyprowadzenia wszystkich w pole oraz zyskania na czasie. Nie było sensu nikogo denerwować, skoro mogło się okazać, że Michał kłusuje sobie spokojnie do domu i jest zaledwie o parę mil od skrzyżowania do Lake View. Rozsądek dowodził, że nie ma powodu do niepokoju. Michał był doświadczonym jeźdźcem, znał drogę, jednak na przekór rozsądkowi lęk nie ustępował.

Idąc początkowo spokojnym galopem Lansjer wkrótce zwolnił wśród wysokich leśnych drzew, gdzie doświadczony oko Alberta zauważyło, że na wilgotnej, czerwonej,

rzadko uczęszczanej dróżce były tylko wczorajsze ślady ich własnych koni. Na każdym zakręcie wyciągał szyję, spodziewając się zobaczyć śnieżnobiałą grzywę araba wśród paproci. W najwyższym punkcie drogi, gdzie las był rzadszy, zatrzymał Lansjera pod tym samym drzewem, pod którym stali z Michałem poprzedniego ranka. Ponad równiną wznosiła się Wisząca Skała ze swoimi silnymi kontrastami światła i cienia. Ledwie rzuciwszy na nią okiem, omiół wzrokiem pustą migocącą równinę, szukając ruchomej plamki bieli. Zejście po suchej śliskiej trawie i usuwających się kamieniach w dół zbocza było nawet dla tak pewnonogiego stworzenia jak Lansjer uciążliwe. Jednak gdy tylko poczuł równy teren pod czterema nogami, pomknął znów jak wiatr. Ledwie wjechali w pas rzadko rosnących drzew na obrzeżu Terenów Piknikowych, ogromny koń stanął tak gwałtownie wydając jednocześnie z siebie długie, zgrzytliwe rzenie, które poniosło się echem po polanie jak jęk syreny przeciwnie, że jego jeździec o mało nie wyleciał z siodła. Rzeniu odpowiedziało inne, trochę słabsze, i za kilka chwil przykłusował do nich biały kuc, bez siodła, wlokąc za sobą po ziemi postronek. Albert z lubością rozsiadł się w siodle pozwalając, żeby konie same odnalazły drogę nad strumień.

W cieniu czarnych drzew nad rozlewiskiem było chłodno i miło i na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało tak samo jak w chwili, gdy młodzi ludzie się rozstali poprzedniego wieczoru. Popiół ogniska Michała pokrywał kamienie paleniska, kapelusz z papuzim piórem za wstążką wisiał w tym samym miejscu na gałęzi. Nie opodal na gładkim pniu leżało godne zachwyty angielskie siodło kuca. („Mógł przykryć je workiem – pomyślał Albert z zawodowego nawyku – to by go sroki nie zapaskudziły. I czemu nie miał tyle rozumu, żeby włożyć kapelusz? Nie jest przyzwyczajony do australijskiego słońca w lutym...”) Z jakiejś niewyjaśnionej przyczyny wszystkie obawy i wątpliwości Alberta ustąpiły miejsca irytacji, nawet gniewowi. „A niech go nie wiem co, głupca! Mógłbym się założyć, że zabłądził gdzieś na tej cholerniej skale... Do licha! Nie powinienem był dać się wciągnąć w ten interes...” Jednakże czuł się wciągnięty do tego stopnia, że wpętał między krzaki i wypętał z mozołem, szukając świeżych śladów wiodących ku skale.

Miał wiele śladów stóp do wyboru, łącznie z własnymi z poprzedniego dnia. Na miękkiej glebie łatwo odnalazł wąskie odciski Michałowych butów do konnej jazdy. Kłopoty powstały, kiedy te ślady znikły pośród kamieni i gruzu na samej skale. Przeszedłszy ze czterdzieści metrów Albert zauważył inne ślady, o parę kroków w bok, niemal równoległe do tamtych, lecz prowadzące w dół, ku rozlewisku. „Śmieszna rzecz – pomyślał – wygląda na to, że wszedł i zszedł tą samą drogą. O rany, a tam co?”

Michał leżał na boku na kępie trawy, z podkurczoną nogą. Był nieprzytomny, śmiertelnie blady, ale oddychał. Pewnie się potknął i upadł – może łamiąc sobie żebra albo nogę w kostce. Nic jednak nie tłumaczyło rozcięcia na czole ani zadrapań na twarzy i rękach. Albert dostatecznie dobrze znał się na złamaniach, by go nie ruszać ani wygodniej układać. Udało mu się jednak podłożyć Michałowi pod głowę kilka świeżych gałązek orlicy, przynieść wodę ze strumienia i zmyć zakrzepłą krew z bladej brudnej twarzy. W kieszeni kurtki była jeszcze płaska butelka koniaku – Albert wyjął ją ostrożnie i wlał kilka kropel pomiędzy wargi Michała. Chłopiec jęknął nie otwierając oczu, gdy płyn mu pociekł strużką po brodzie. Jak długo leżał w ten sposób, napastowany przez mrówki i krążące nad nim muchy? Skórę miał zimną i wilgotną i w ogóle sprawiał tak kiepskie wrażenie, że Albert postanowił bezzwłocznie udać się po pomoc.

Z dwóch koni arab był świeższy. Lansjera mógł pozostawić na kilka godzin przywiązanego w cieniu. W kilka chwil kuc został osiodłany i mknął drogą do Woodend. Albert przejechał kilkaset metrów, kiedy zobaczył młodego pasterza ze szkockim owczarkiem idącego przez wygon po drugiej stronie płotu. Gdy znalazł się dostatecznie blisko, aby móc usłyszeć, co Albert do niego krzyczy, odkrzyknął, że właśnie się rozstał z doktorem McKenzie z Woodend, wezwanym do jego żony, która przed chwilą urodziła syna. Dumny ojciec z wielkimi pomarańczowymi uszami błyszczącymi w słońcu złożył czerwone łapska w trąbkę przy ustach i ryknął we wzbijającą się chmurę kurzu:

– Cztery kilo i dwadzieścia pięć deka na kuchennej wadze i najczarniejsze w świecie włosy.

Albert ściągnął cugle araba.

– Gdzie on jest teraz?

– Chyba w kołysce – odparł pasterz, który w swej prostocie mógł myśleć tylko o krzepkim noworodku.

– Nie dzieciak, bałwanie... Doktor!

– Och, ten! – Pasterz uśmiechnął się i wskazał niewyraźnie w stronę zakrętu pustej drogi. – W dwukółce. Łatwo go dogonisz na tym kucu. – W tej samej chwili owczarek kłapnął zębami tylną nogę araba, który go tak kopnął, że pies umknął w chmurze pyłu drogą.

Wkrótce Albert doścignął dwukółkę doktora McKenziego i powrócili razem na Tereny Piknikowe. Michał wciąż leżał w tej samej pozycji, w jakiej Albert go zostawił. Po krótkim badaniu staruszek zajął się raną na czole Michała. Wyjął z lśniącej czarnej torby skórzanej środek dezynfekujący i opatrunek. Ach, te małe czarne torby niosące w sobie uzdrowienie i nadzieję – ileż to długich nużących mil przemierzyły pod siedzeniem dwukółek i bryczek podskakując na wygonach i polnych drogach. Ileż to godzin cierpliwe konie stały czekając na słońcu lub w świetle księżyca, aż doktor wyjdzie z którejs z dotkniętych chorobą chat dźwigając swoją czarną torbę!

– Nie widzę nic poważnego – rzekł doktor McKenzie klęcząc przy Michale. – Stłuczona kostka u nogi. Prawdopodobnie upadł gdzieś na skale. I lekkie porażenie słoneczne. Najważniejsze to zawieźć go jak najszybciej do domu i położyć do łóżka. – Na noszach sporządzonych z pledu doktora (jedna strona imitowała lamparcią skórę, druga była czarna, impregnowana) i dwóch prostych gałęzi dźwignięto Michała na dwukółkę. – Zostaw to mnie, młody człowieku... mam trzydziestoletnie doświadczenie w wożeniu jemu podobnych, potrafię nie pogubić ich po drodze. – Był zdumiewająco burkliwy i sprawny, i zdumiewająco łagodny jak na człowieka, który przez pół nocy mocował się z ponadczterokilowym dzieciakiem żony pasterza.

Albert wsiadł na kuca i prowadząc Lansjera za cugle, ku ogromnemu niezadowoleniu tego wspaniałego zwierzęcia, jechał wolno przed dwukółką. Zbliżała się północ, gdy pochód skręcił w alejkę Lake View. Pułkownik, któremu posłano wiadomość z Woodend przed kilkoma godzinami, oczekiwał ich przed bramą z lampą sztormową w ręku. Jego żona dowiedziawszy się, że Michał wraca bezpiecznie do domu, położyła się do łóżka. Doktor McKenzie, stary przyjaciel rodziny, wychylił się z dwukółki.

– Nie ma się co denerwować, pułkowniku. Chłopak ma stłuczoną kostkę u nogi, rozciętą skórę na czole i jest w szoku.

W hallu kręciła się pokojówka z dzbankami gorącej wody i świeżą bielizną pościelową. Położono Michała do łóżka, przykryto puchową kołdrą, obłożono gorącymi butelkami. Po wypiciu łyka ciepłego mleka otworzył na chwilę wystraszone oczy. „Chłopiec przeżył jakieś piekło” – pomyślał doktor i powiedział:

– Niech pan na niego uważa, pułkowniku. Absolutny wypoczynek, żadnych gości i pytań... przynajmniej póki sam nie zacznie mówić.

– Chciałbym się dowiedzieć – wybełkotał pułkownik – czemu, u diabła, Michał został sam na noc pod Wiszącą Skałą? – Po dniu pełnym tajonych obaw oraz ataków wściekłości pułkownik był bliski wybuchu. – Niech cię diabli, Crundall, po co opowiadałeś mi wczoraj wieczorem te androny, że Michał nocuje w gospodzie w Woodend?

– Niech się pan uspokoi, pułkowniku. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem – przerwał mu doktor. – Chłopiec jest bezpieczny i cały w swoim łóżku, i tylko to jest ważne. A co do Crundalla, niech pan podziękuje gwiazdom, że nie tracił ani chwili, by ruszyć po pomoc.

Albert z kamienną twarzą postukiwał noskiem buta w nogę kredensu.

– To było tak. Pana bratanek się uparł, aby wyruszyć w piątek na Tereny Piknikowe i jeszcze raz poszukać dziewcząt. Nie, tak samo jak pan nie mam pojęcia dlaczego. Cały czas wałęsał się po skale i nie chciał wracać. Robiłem, co mogłem, żeby namówić go do powrotu. A jeśli pan mi nie wierzy, może pan sobie poszukać innego woźnicy. – Gdy Albert już się czule żegnał w myślach z arabem, ostatni raz czyścił zgrzebłem Lansjera i szukał zajęcia ujeżdżacza koni w nieznanym stronach, pułkownik wyciągnął do niego rękę. Z uczuciem litości Albert spostrzegł, że była to drżąca ręka bardzo zmęczonego starca. – Więc mi pan wierzy?

– Oczywiście, Crundall... ale diablo nas nastraszyłeś. Lepiej zjedz kawałek kurczęcia.

– Muszę najpierw oporządzić konie, a przed pójściem spać przegryzę coś w kuchni..

– Więc może trochę whisky?

– Whisky to nie dla mnie. Pójdę już. Dobranoc panu. Dobranoc, doktorze.

– Dobranoc, Crundall, dzięki za dzisiejszą pomoc.

– Masz rację co do Crundalla, doktorze. To dobry chłopiec, strasznie grubiański, ale bardzo by mi było żal, gdybym go stracił – rzekł pułkownik nalewając sobie whisky. – Zirykowało mnie to całodzienne łożenie i wyczekiwanie na wiadomości. Gorsze to od przebywania pod ogniem nieprzyjaciela na froncie. Napijesz się ze mną whisky?

– Dziękuję, nie piję, póki nie dojadę do domu i nie przebiorę się w szlafrok. Żona zawsze czeka na mnie z kolacją. – Wziął swoją czarną torbę lekarską i włożył skórzane rękawiczki. – Znam pielęgniarkę, która właśnie kończy się opiekować jednym z chorych, niedaleko stąd. Przyślę ją tu jutro rano, jeżeli pani Fitzhubert nie będzie miała nic przeciwko temu. Dobrze? Wpadnę za parę dni... A może wolisz wcześniej? Powiem wszystko, co trzeba, pielęgniarce.

Pułkownik Fitzhubert stał w hallu patrząc, jak dwukółka doktora zanurza się w mrok nocy, a potem zgasił światło. Przed drzwiami pokoju Michała połyskiwała lampka nocna, pod nią, zdjąwszy pantofle, drzemała na fotelu pokojówka. Pułkownik nalał sobie ostatnią porcję whisky i wszedł do gabinetu, aby dokonać cowieczornego rytuału zmiany daty na biurkowym kalendarzu. Sobota, 21 lutego. Wielkie nieba! To już niedziela! Niedziela, 22 lutego. Dokładnie osiem dni od tego piekielnego wydarzenia pod Wiszącą Skałą.

Ledwie oporządziwszy konie, Albert rzucił się w ubraniu na swoje nie pościelone łóżko polowe i natychmiast zasnął. Zdawało mu się, że dopiero co przyłożył głowę do poduszki, kiedy się obudził i spojrzął w prostokącik szarego światła w okienku. Wypadki poprzedniego dnia, tym razem nie zatarte jak w miniony wieczór fizycznym zmęczeniem, ułożyły się w wyraźny obraz niby elementy tekturowej układanki. Z tym zastrzeżeniem, że jednego z głównych elementów nadal brakowało. Jakiego i w którym miejscu obrazu? Najlepiej zacząć od początku, kiedy w sobotni rano znalazł Michała skulonego na kępie traw. Jak daleko zaszedł, zanim upadł i stłukł sobie nogę w kostce? Czy udał się do krzewu laurowego i stamtąd rozpoczął poszukiwania? Te głupie papierowe chorągiewki... W następnej chwili Albert już stał na nogach i wciągał buty.

Ptaki jeszcze spały w koronach kasztanów, kiedy szedł przez wciąż ciężki od rosy trawnik i wśliznął się bocznymi drzwiami cichutko do ciemnego domu z pozamykanymi okiennicami. Pokojówka leciutko chrapała przed drzwiami Michałowego pokoju, a zza przeciwległych drzwi dochodziło rytmiczne sapanie pogrążonych we śnie państwa Fitzhubertów. Michał leżał na plecach nieprzytomny, lekko pojękując. Jego bryczesy do konnej jazdy, mocno poszarpane i poplamione, wisiały na oparciu krzesła u stóp łóżka. Albert zapalił zapałkę i ostrożnie przeszukał kieszenie. Dzięki Bogu, notesik w okładkach ze świńskiej skóry nie zaginął! Albert podszedł z nim do okna i zaczął powoli odcyfrowywać strona po stronie nagryzłone zapiski. Zaczynały się od marca ubiegłego roku jakimś spotkaniem w Cambridge, potem był przepis na lekarstwo na psią zarazę, zaczerpnięty z „Country Life”, następnie uwaga: „Wstąpić po raketę tenisową”. Wreszcie, naprzeciw stronicy z jednym zapiskiem „Proszki na robaki” znalazł to, czego szukał. Nakreślone krzywo dużymi literami, gryzmoły: ALBERT NAD KRZAKIEM Z MOIMI CHORAĞIEWKAMI WYSOKO PIERŚCIEN SPIESZ SIĘ ZNALAZ...

W tym miejscu pismo się urywało. Przeczytawszy to kilkakroć Albert wyrwał kartkę i włożył notes z powrotem do kieszeni spodni. NAD KRZAKIEM Z MOIMI CHORAĞIEWKAMI. SPIESZ SIĘ. Miał uczucie, że Michał zagląda mu przez ramię i próbuje powiedzieć, że znalazł jakiś ważny ślad wysoko na skale – tak ważny, że zapisał instrukcje dla Alberta, zanim stracił przytomność nad strumieniem. Krzak z chorągiewkami. Na myśl o chorągiewkach podszedł do łóżka i pogłaskał leciutko przyjaciela po bezwładnej, poznaczonej błękitnymi żyłkami ręce leżącej na kołdrze. „Strasznie grubiański jest ten młody Crundall” – określił swojego woźnicę pułkownik. Nie było nic grubiańskiego w młodym Crundallu, kiedy wychodził na palcach w swoich niezgrabnych buciorach z pokoju Michała. Przekonany, że nie ma chwili do stracenia, kazał rozespanej pokojówce obudzić pułkownika. Wyrwanego z niedzielnego snu chłopaka ze Składu Manassy wsadzono na wpół śpiącego na rodzinny rower, aby zawiadomił posterunek policji w Woodend. Tymczasem Albert wyruszył na kasztanku na spotkanie z policjantami w umówionym miejscu na trasie do Wiszącej Skały. Ponieważ ani posterunkowy Bumpher, ani doktor McKenzie, który zwykle towarzyszył policjantom, nie mogli pojechać, młodemu Jimowi (zaopatrzonemu w notes i ściśle instrukcje Bumphera, aby wszystko skrzętnie zapisywał i trzymał język za zębami) zgodził się towarzyszyć doktor Cooling z Dolnego Macedonu. Jechali powozem z noszami i medykamentami.

Słońce stało wysoko, kiedy mijali bramę Terenów Piknikowych. Albert kłusował przodem z kartką z notesu Michała w zapiętej kieszeni koszuli. Dwaj młodzi ludzie

wkrótce znaleźli ślady Michała w miejscu, z którego wyruszył we wczesny sobotni ranek. Na karłowatym drzewie laurowym małe papierowe chorągiewki zwiisały bezwładnie w nieruchomym powietrzu południa. Albert już chyba po raz setny wyjął nagryzmołoną kartkę z kieszeni.

– NAD KRZAKIEM Z MOIMI...

– Ach... – westchnął policjant, na którym to wyraźnie zrobiło wrażenie, mimo że zazwyczaj odnosił się z pogardą do amatorów w swoim rzemiośle. – A więc to on je tutaj umieścił?

– O rany! A myślałeś, że same wyrosły?

W milczeniu szli ciężko pod górę kierując się śladami połamanych lub otartych paproci, a doktor pozostawał nieco w tyle i wyszukiwał wygodniejszą drogę w swoich przyciasnych niedzielnych butach.

– Że też taki żółtodziób potrafił w ogóle się tu wdrapać! – powiedział policjant.

– Niektórzy Anglicy świetnie sobie radzą w buszu, gdy trochę tu pobędą – zauważył doktor Cooling.

– Michał ma więcej rozumu i odwagi niż my trzej razem wzięci – rzekł Albert.

– Mimo wszystko – powiedział doktor, który w miarę jak mu puchły nogi, coraz bardziej tracił cierpliwość – odnoszę wrażenie, że to daremny trud. Wydaje się, że on nie mógł tu nic tak ważnego zobaczyć, co by nie zostało już dawno znalezione.

– Pan nie zna Michała, doktorze – wystąpił w obronie przyjaciela Albert. – Wcale by nie napisał tego, co napisał, gdyby nic nie znalazł. – Lecz doktor już wybrał sobie gładki kamień do siedzenia i rozsznurowywał buty.

– Zagwiżdż, Jim, jak coś znajdziecie.

Albert i Jim węszyli w krzakach jak teriery.

– Widzisz tę odłamana gałązkę? Jeszcze świeża. To tutaj Michał wszedł w te krzaki w sobotę rano. – Tak było rzeczywiście. Zaczęli znów się wspinać idąc górską ścieżką i klnąc głośno niewidoczne kamienie i dziury pod stopami.

– Co on tam pisze o jakimś pierścieniu? Myślisz, że o takim z brylantami?

Albert prychnął ze wzgardą.

– Chodzi mu raczej o pierścień kamieni.

Jim jednak upodobał sobie myśl o brylantach.

– Jedna z tych pensjonarek jest dziedziczką i nie wolno o tym zapominać. Nas, policjantów, nauczyli patrzeć na tego rodzaju sprawy z różnych stron.

– Lepiej patrz pod nogi, Jim, bo zlecisz w przepaść... ta skała przed nami to właśnie ten sławny monolit.

– Wiem – rzekł policjant potykając się o kamień – a te dwa wielkie głazy na górze nazywają się Balansującymi Głazami, dla twojej informacji. – U stóp monolitu Michał najwyraźniej skręcił ostro w lewo. Wysoko w górze, na tle bezchmurnego nieba, zębaty zarys najwyższych wierzchołków lśnił jak złoto.

– Ładnie, co? Byłaby z tego śliczna pocztówka... Ale heca! Co to takiego, tam, na ziemi?

Doktor Cooling właśnie zdążył zasnąć, kiedy nagle obudził go przeszywający głos policyjnego gwizdka. Szybko wciągnął buty i zaczął się pięć w stronę źródła dźwięku. Była to dręcząco powolna wspinaczka mimo pomocy Alberta, który zbiegł wielkimi susami ze zbocza błady i bełkocący coś niezrozumiale o jakimś ciele, a teraz włókł go

przez krzaki i okropne skały. Kiedy dotarli do Balansujących Głazów, Jim pracowicie kompilował swoje notatki i pomiary.

– Wygląda na to, że przybyliśmy za późno, doktorze – powiedział. – Szkoda.

– Och, zamknij jadaczkę – warknął Albert. Dałby funta, żeby móc wejść w krzaki i zwymiotować. Drobną ciemną dziewczyną z kręcącymi się włosami leżała twarzą w dół na skalnej półce, tuż pod niższym z dwóch głazów, z ręką nad głową jak dziecko, które zasnęło w upalne popołudnie. Nad przesyconym krwią muślinowym stanikiem krążyły roje malutkich muszek. Osławione loki były pozlepiane od kurzu i krwi.

– To cud, jeżeli jeszcze żyje – rzekł lekarz klękając i biorąc pewną ręką bezwładny nadgarstek. – Na Boga, czuję puls... ona żyje... słaby, ale wyraźnie wyczuwalny. – Podniósł się sztywno na nogi. – Crundall, biegnij po nosze, ja tymczasem się nią zajmę, a Jim dokończy notatki... Jesteś pewien, że jej nie dotykałeś, Jim?

– Całkowicie, proszę pana. Pan Bumpher dałby temu, kto by się ośmielił dotknąć zwłok.

– To nie zwłoki, młody człowieku – rzekł doktor Cooling surowo. – To, dzięki Bogu, żywa, oddychająca dziewczyna! Lepiej popraw swoje notatki, zanim weźmiemy się do roboty.

Nie było żadnych śladów walki ani zadanego gwałtu. Dziewczyna, o ile lekarz mógł się zorientować po pobieżnych oględzinach, nie doznała żadnych większych obrażeń. Stopy, o dziwo, miała białe i czyściutkie, bez sińców i skaleczeń, chociaż jak ustalono później, kiedy widziano ją ostatnio na Terenach Piknikowych, była w białych ażurowych pończoszkach i czarnych sznurowanych bucikach z koźlęcej skóry. Ani te pierwsze, ani drugie nigdy nie zostały odnalezione.

Jim Grant wysiadł przy posterunku policji w Woodend, aby złożyć raport Bumpherowi, gdy tylko ten powróci. Było późne niedzielne popołudnie, gdy Albert i doktor Cooling wnieśli wciąż nieprzytomną dziewczynę do domu ogrodnika u wrót Lake View, umieścili w najlepszej sypialni i oddali pod opiekę pani Cutler, żony ogrodnika.

Leżąc z zamkniętymi oczami w wielkim małżeńskim łóżu, pod pstrokatą kołdrą, ubrana w pachnącą prostym mydłem i lawendą perkalową koszulę nocną pani Cutler, dziewczynka wyglądała zdaniem żony ogrodnika „zupełnie jak laleczka”. Batystowy staniczek i majteczki „tego niebożątka”, całe zdobione prawdziwymi koronkami, były takie brudne i podarte, że ta poczciwa kobieta w poniedziałek rano własnoręcznie wsadziła je pod płytę i spaliła. Ku wielkiemu zdziwieniu pani Cutler „niebożątka” zostało przywiezione tak, jak je znaleziono na skale, bez gorsetu. Będąc skromną kobietą, która spaliłaby się ze wstydu, gdyby wypowiedziała słowo „gorset” w obecności mężczyzny, nie wspomniała o tym fakcie lekarzowi, ten zaś ze swej strony uznał za bardzo rozsądne, że dziewczyna wybrała się na szkolny piknik bez tego idiotycznego szczegółu garderoby, odpowiedzialnego jego zdaniem za tysiące kobiecych dolegliwości. W taki to sposób cenny ślad w postaci brakującego gorsetu nie został nigdy ujawniony policji. Ani też koleżankom z pensji, gdzie Irmę Leopold, znaną ze swego wybrednego smaku w sprawie strojów, kilka koleżanek widziało w sobotę, czternastego lutego, w długim, lekko usztywnionym fiszbinami francuskim atlasowym gorseciku.

Jej ciało było nietknięte, bez skazy. Po bardzo dokładnym zbadaniu doktor Cooling orzekł, iż dziewczyna doznała jedynie wstrząsu i lekkiego porażenia słonecznego. Nie

miała żadnego złamania, tylko kilka drobnych skaleczeń i sińców na twarzy i rękach. U rąk zwłaszcza miała połamane paznokcie. Istniało prawdopodobieństwo wstrząsu mózgu, na co mogłyby wskazywać sińce w odpowiednich miejscach głowy, lecz doktor wolałby, aby w tej sprawie mógł się wypowiedzieć jeszcze inny lekarz.

– Ach, dzięki Bogu i za to! – rzeki pułkownik Fitzhubert, który siedział jak na szpilkach w małym przedpokoju. – Jeśli chodzi o mnie i moją żonę, panna Leopold może tu pozostać dotąd, aż się poczuje dostatecznie dobrze, aby móc wyjechać. Pani Cutler jest pierwszorzędną pielęgniarką.

O zachodzie, kiedy doktor McKenzie wstąpiwszy po drodze, aby zbadać Michała, udał się do domku ogrodnika na konsultację z doktorem Coolingiem, który właśnie się zbierał do odjazdu, stary lekarz rzekł:

– Zgadzam się z tobą, Cooling. To cud. Według wszelkich podręcznikowych standardów pacjentka powinna już dawno nie żyć.

– Oddałbym wszystko, żeby móc się dowiedzieć, co tam zaszło na Wiszącej Skale – powiedział Cooling. – I gdzie, u diaska, są pozostałe dwie dziewczyny? A nauczycielka?

Ustalili, że doktor McKenzie przejmie opiekę nad pacjentką, skoro się już zajął Michałem Fitzhubertem, w razie czego pielęgniarka Michała pomoże pani Cutler.

– Ale to z pewnością nie będzie potrzebne – rzekł doktor McKenzie z uśmiechem. – Znam twoją panią Cutler, pułkowniku. Stanie na głowie, żeby się wywiązać ze swego zadania. I to z przyjemnością. Odpoczynek. To jest najważniejsze. I jeśli możliwe, kiedy odzyska przytomność, spokój ducha.

Doktor Cooling odjechał o zmierzchu zadowolony z siebie.

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy, doktorze, i dzięki za pomoc. Jest to przypadek, który mógłby się z powodzeniem okazać bardziej niebezpieczny. Wkrótce niewątpliwie przeczytamy o tym wszystkim w gazetach.

Doktor McKenzie nie był jednak taki pewny siebie. Wrócił do sypialni i długo stał patrząc w zamyśleniu na bladą twarzyczkę o serduszkowatym kształcie na poduszce. Nigdy nie wiadomo, zwłaszcza u istot młodych i delikatnych, jak skomplikowany mechanizm mózgu zareaguje na silny wstrząs emocjonalny. Instynkt mu mówił, że dziewczyna ogromnie cierpiała, jeżeli nie na ciele, to na duchu, bez względu na to, co się zdarzyło lub nie zdarzyło na Wiszącej Skale. Nie był to, zaczynał podejrzewać, zwykły przypadek chorobowy. Jak zaś niezwykle, jeszcze nie wiedział.

Dla Michała długie dni zwały się niedostrzegalnie z długimi nocami. Sen czy jawa nie stanowiły dla niego różnicy w mglistoszarych regionach, gdzie nieustannie poszukiwał czegoś niewiadomego i nienazwanego. To coś nieodmiennie znikало, gdy tylko się zbliżył. Czasami budził się i chwycił, gdy przemykało obok, a następnie stwierdzał, że trzyma w ręku koc, którym był okryty. Pałący ból w stopie pojawiał się i ustępował stopniowo, wraz z przejaśnianiem się w głowie. Czasem rozpoznawał zapach środków odkażających, kiedy indziej płynącą z ogrodu woń kwiatów. Ilekroć otwierał oczy, zawsze ktoś był w pokoju, zazwyczaj jakaś obca młoda kobieta, ubrana jakby w biały papier, który szeleścił, kiedy się poruszała. Na trzeci lub czwarty dzień zapadł wreszcie w głęboki sen bez zwidów. Kiedy się obudził, pokój był pograżony w ciemnościach, jeśli nie liczyć bladego, żarzącego się światełka, które się dobywało z białego łabędzia siedzącego na mosiężnym pręcie w nogach łóżka. Michał i łabędź patrzyli na siebie wzajem bez zdziwienia, aż wreszcie to

piękne stworzenie uniosło skrzydła i poszybowało przez otwarte okno. Zasnął znowu, a kiedy się obudził, świeciło słońce i pachniały bratki. Przy łóżku stał starszy pan z krótko przyszyżoną brodą.

– Pan jest lekarzem – rzekł Michał głosem, który po raz pierwszy rozpoznał jako własny. – Co mi jest?

– Paskudnie upadłeś, chłopcze, rozbiłeś sobie kostkę u nogi i trochę się potłukłeś. Dziś jednak już lepiej wyglądasz.

– Jak długo leżałem?

– Zaczekaj. Minęło jakieś pięć, sześć dni, odkąd cię przywieziono spod Wiszącej Skały.

– Spod Wiszącej Skały? Co ja tam robiłem?

– Porozmawiamy o tym później – rzekł doktor McKenzie. – Nie ma się czym martwić, mój chłopcze. Zmartwienie jeszcze nigdy żadnemu choremu nie pomogło. Teraz obejrzymy twoją kostkę.

W czasie bandażowania kostki Michał powiedział:

– Arab. Spadłem z konia? – I znowu zasnął. Kiedy nazajutrz pielęgniarka przyniosła mu śniadanie, Michał siedział na łóżku i głośno domagał się widzenia z Albertem.

– No, no, szybko zdrowiejemy! A teraz proszę wypić herbatkę, póki gorąca i świeża.

– Chcę się zobaczyć z Albertem Crundallem.

– Och, pan ma na myśli woźnicę? On tu przychodzi codziennie pytać o pana zdrowie. Cóż za niezwykle oddanie!

– O której zwykle przychodzi?

– Zaraz po śniadaniu. Ale nie wolno panu jeszcze przyjmować gości. Doktor McKenzie zakazał.

– Nie dbam o jego zakazy. Muszę zobaczyć się z Albertem i jeśli pani mu tego nie przekaże, wstanę i sam pójdę do stajni.

– No, no – powiedziała pielęgniarka z zawodowym uśmiechem, który przemienił ją w żywą reklamę pasty do zębów. – Niech się pan nie denerwuje, bo potem wszystko będzie na mnie. – Dziwny błysk w oczach morderczo przystojnego młodziana kazał jej dodać:

– Proszę jeść śniadanie, a ja tymczasem skoczę po pańskiego stryja. – Przywołany do łóża chorego pułkownik Fitzhubert wszedł ostrożniutko, jakby stąpał po skorupkach jajek, z twarzą ponurą. Toteż niezmiernie się uradował na widok siedzącego i zaróżowionego pacjenta.

– Świetnie! Wyglądasz na prawie zdrowego, prawda, siostrze? No więc, cóż to słyszę, pragniesz gości?

– Nie gości, tylko Alberta. Chcę się zobaczyć z Albertem – i głowa opadła mu na poduszki.

– Jesteśmy przemęczeni... ot co – powiedziała pielęgniarka. – Jeżeli mój pacjent zacznie rozmawiać z tym woźnicą, zaraz mu skoczy temperatura i doktor McKenzie z pewnością mnie zbeszta.

– Ta dziewczyna już nie jest małym upartym oślątkiem. lecz całą oślicą – stwierdził pułkownik, który nie pojmował podobnego uporu. – Nie martw się, Michale, każe Crundallowi przyjść tu na dziesięć minut. A jeżeli będą jakieś kłopoty, siostrze, wezmę winę na siebie.

Przyszedł więc Albert pachnący papierosami „Capstan” i świeżym sianem, i usadowił się na stojącym przy łóżku krześle, jakby to był narowisty źrebiec, gotów natychmiast skoczyć i pomknąć poczuwszy na sobie jego ciężar. Nigdy jeszcze nie był w pokoju chorego i nie wiedział, jak rozpocząć rozmowę z czyjąś odciętą prześcieradłem pod brodą twarzą.

– Ta twoja cholerna pielęgniarka... Czmychnęła, gdzie pieprz rośnie, gdy tylko mnie zobaczyła. – Dobrze i to na początek. Michał nawet uśmiechnął się słabo. Fala uczucia przyjaźni ogarnęła ich na nowo.

– Dobrze ci tak.

– Można zapalić?

– Pal. Nie pozwolą ci tu długo zostać. – Znow zaległo między nimi dawne przyjemne milczenie i stanowili jedno.

– Słuchaj – rzekł Michał – muszę się wielu rzeczy dowiedzieć. Aż do wczoraj miałem w głowie taką gmatwaninę, że nie mogłem należycie myśleć. Przyszła tu moja stryjenka i zaczęła rozmawiać z pielęgniarką... pewnie myślały, że śpię. Nagle wszystko zaczęło się wyjaśniać. Wygląda na to, że wybrałem się sam pod Wiszącą Skałę nie mówiąc o tym nikomu prócz ciebie. Prawda?

– Prawda. Żeby szukać tych dziewczyn... Uspokój się, Michał, jeszcze za dobrze nie wyglądasz.

– I znalazłem jedną z nich. Prawda?

– Prawda – powtórzył Albert. – Znalazłeś ją, a teraz ona jest tu, w domku ogrodnika, żywa i zdrowa.

– Która? – zapytał Michał tak cicho, że Albert ledwie go usłyszał. Jej śliczna twarzyczka, śliczna nawet na noszach, kiedy ją znosili ze Skały, stała mu wciąż przed oczyma.

– Irma Leopold. Ta mała, ciemna, z lokami – powiedział. W pokoju było tak cicho, że Albert słyszał oddech Michała, który leżał twarzą zwrócony do ściany.

– Więc nie masz o co się martwić – rzekł Albert.

– Tylko spiesz się z tym zdrowieniem... Niech mnie gęś kopnie! On zemdłał! Gdzie się podziała ta cholerna pielęgniarka? – Właśnie minęło dziesięć minut i pielęgniarka stała przy łóżku nalewając coś z butelki na łyżkę. Albert przemknął się koło niej ku drzwiom na taras i z ciężkim sercem ruszył do stajni.

9

DZIEWCZĘCE CIAŁO NA SKALE – ZAGINIONA SPADKOBIERCZYNI ODNALEZIONA. Znowu Tajemnica Pensji znalazła się na pierwszych stronach gazet, ozdobiona najdzikszymi wybrykami fantazji. Ocalona dziewczyna wciąż leżała nieprzytomna, zaś Michał Fitzhubert nie czuł się jeszcze dostatecznie dobrze, by móc odpowiadać na pytania. To dolewało oliwy do ognia plotek o domniemanych okropnościach, które jakoby miały zostać później wyjawione. Policja podjęła poszukiwania w rozmaitych prawdopodobnych i nieprawdopodobnych miejscach w okolicy, wspierana dodatkowymi siłami z Melbourne; sprowadzono ponownie psa i tropiciela w nadziei znalezienia klucza do zagadki, co stało się z trzema pozostałymi ofiarami. Zbadano rowy odwadniające, wydrażone pnie, przepusty, oczka wodne – nawet opuszczony chlew, w którym ktoś widział poruszające się światelko w ubiegłą niedzielę. Jakiś przerażony uczeń znalazł na dnie starego szybu kopalni w Czarnym Lesie czyjeś zwłoki – okazało się, że były to szczątki padłej jałówki. I tak dalej, i tak dalej. Posterunkowy Bumpher, nadal pocący się sumiennie nad notesami wypełnionymi pytaniami bez odpowiedzi, chwilami z przyjemnością powitałby wieść o całkiem nowym morderstwie.

Na pensji pani Appleyard przełożona obwieściła o uratowaniu Irmy krótko i oficjalnie zaraz po modlitwie w poniedziałek rano. Było to dobrze obmyślane, aby dać uczennicom pełną godzinę na przyswojenie sobie tej wieści przed pierwszą lekcją. Po chwili osłupienia nastąpił wybuch historycznej radości, łzy, zaś ci, którzy dotychczas prawie nie rozmawiali ze sobą, padali sobie w objęcia. Na schodach, gdzie wałęsanie się było surowo zabronione, Mademoiselle natknęła się na Blanche i Rosamundę, złączone we łzawym uścisku.

– *Alors, mes enfants*, to nie jest odpowiednia chwila na łzy – powiedziała i poczuła, że jej samej oczy wilgotnieją. W kuchni Minnie i kucharz radowali się nad szklanką mocnego piwa, natomiast za obitymi rypsem drzwiami Dora Lumley ścisnęła tanią koronkę przy szyi, jakby sama została uratowana na Wiszącej Skale. W cieplarni Tom i pan Whitehead najpierw dali się unieść radości, potem omówili temat zbrodni w ogóle, a skończyli na Kubie Rozpruwaczu i posępnej uwadze ogrodnika, że pora zająć się trawnikami.

W południe nieunikniona reakcja na poranne uniesienia stała się powszechna. Popołudniowe lekcje odbywały się wśród szeptów i pomruków. W salonie nauczycielskim temat odnalezienia Irmy był prawie nie poruszany. Jakby za ogólną zgodą cieniutkie zasłony pozorów okrywające szpetną rzeczywistość pozostawały nietknięte i tylko przełożona za zamkniętymi drzwiami swojego gabinetu pozwoliła sobie na zbadanie z zimną krwią nowego obrotu spraw. Z chwilą odnalezienia tylko jednej z czterech zaginionych osób sytuacja znacznie się pogorszyła, o ile chodzi o pensję.

Osoby zdecydowane, które piastują władzę, zwykle radzą sobie z praktycznymi problemami dotyczącymi faktów. Z faktami, choćby najbardziej oburzającymi, można się uporać za pomocą innych faktów. Problemy nastroju i atmosfery, znane w prasie jako „ sytuacje”, są dużo groźniejsze. „Sytuacji” nie da się odpowiednio posegregować, zaszufladkować i co za tym idzie, rozstrzygnąć. Atmosfera może powstać z dnia na dzień z niczego, z wszystkiego i wszędzie, gdzie są zgromadzone ludzkie istoty w warunkach nienaturalnych. Na dworze królewskim w Wersalu, w Pentridge Gaol, na ekskluzywnej pensji dla panien z towarzystwa, gdzie miazmat ukrytych lęków pogłębiał się i zagęszczał z godziny na godzinę.

Obudziwszy się nazajutrz z niespokojnego snu, przełożona czuła, jak ów miazmat uciska jej głowę już i tak ciężką, bo jeżącą się całym asortymentem drucianych lokówek. W ciągu wlokących się godzin między północą a świtem postanowiła, nie bez obaw, zmienić sposób postępowania: lekko rozluźnić dyscyplinę i wprowadzić zmiany w codziennej scenerii. W tym celu w bawialni pensjonarek zmieniono spiesznie tapety na dość okropny truskawkoworóżowy odcień, a do długiego salonu wstawiono fortepian. Z probostwa w Woodend zaproszono na wieczór wielebnego Lawrence'a z małżonką, aby wyświetlił przezroczą z Ziemi Świętej w salonie, gdzie w kominkach umieszczono najpiękniejsze hortensje pani Whitehead, a pokojówki w czepeczkach i plisowanych fartuszkach roznosiły kanapki, kawę i sałatkę owocową. Wszystko to składało się na wspaniały obraz modnej pensji u szczytu materialnego powodzenia i pedagogicznej doskonałości. Jednakże drobna pani Lawrence odjechała z migreną i niewytlumaczalnym przygnębieniem. Na próżno wysłano starsze dziewczęta z jedną z nauczycielek do Bendigo na poranne przedstawienie „Mikada”. Powróciły one jeszcze bardziej przygnębione: ludzie na widowni patrzyli i szeptali, kiedy siadały w pierwszym rzędzie. Dziewczęta czuły się częścią widowiska – aktorkami „Tajemnicy Pensji” – i z ulgą wsiadły po przedstawieniu do oczekujących powozów.

Zdawszy sobie sprawę z błędu taktycznego, przełożona zdecydowała się na zastosowanie surowszych środków – ukrócenia cugli zawsze zbyt gadatliwemu personelowi i przeforsowania prawa zakazującego poufnych rozmówek w grupach, nad którymi nie czuwa nauczycielka. Od tej chwili sznur idących parami dziewcząt w letnich mundurkach i brzydkich słomkowych kapeluszach wił się codziennie wzdłuż gościńca do Bendigo w nakazanym i pełnym urazy milczeniu areszt antek.

Zbliżała się Wielkanoc, a z nią koniec roku szkolnego. Letnie kwiaty zaczynały więdnąć, a pewnego ranka wśród wierzb obrzeżających strumień płynący za domem ukazały się odcienie złota. Ogród nie miał dla przełożonej uroków jesieni, dla niej bowiem dobrze utrzymane grządki i gazony były jedynie symbolem prestiżu. Schludność była wszystkim – a ciąg bujnych kwiatów czymś do podziwiania dla przechodniów zza ogrodzenia. Liście opadające z niewielkiego drzewka za oknem jej gabinetu stanowiły niepotrzebne przypomnienie upływającego czasu. Minał już prawie miesiąc od dnia pikniku. Pani Appleyard spędziła ostatnio kilka dni w Melbourne, głównie w komisariacie policji przy Russell Street. Tutaj pierwszą rzeczą, jaka przyciągała czujne oko, było obwieszczenie przypięte do tablicy ogłoszeń: ZAGINIONE, PRZYPUSZCZALNIE ZMARŁE, następnie szczegółowy opis i trzy okropne fotografie Mirandy, Marion i Greta McCraw. Słowo ZMARŁE rzucało się nieprzystojnie w oczy z zadrukowanego arkusza.

Tak, to możliwe, lecz wysoce nieprawdopodobne, rzekł starszy detektyw, z którym przesiedziała dwie godziny w dusznym pokoju, że dziewczęta zostały uprowadzone, zwabione, obrabowane... lub jeszcze gorzej.

– A co, jeżeli wolno zapytać – powiedziała przełożona pensji z zaciśniętymi wargami, aż lepka od nieznośnego gorąca i lęku – może być gorsze od tego? – Okazało się, że dziewczęta mogłyby zostać ukryte w jakimś sydneyjskim burdelu. W Sydney zdarza się to od czasu do czasu, kiedy dziewczęta z dobrych domów giną bez śladu. Rzadziej w Melbourne. Pani Appleyard mogła się tylko wzdrygnąć na te słowa. – Były wyjątkowo inteligentnymi i porządnymi panienkami, które nigdy by nie pozwoliły obcym na jakąkolwiek poufałość.

– Ma pani zapewne na myśli to – rzekł detektyw ironicznie – że większość młodych dziewcząt nie dałaby się zgwałcić pijanemu marynarzowi.

– Wcale nie miałam tego na myśli. Moja wiedza na ten temat jest z konieczności ograniczona. – Detektyw zabębnił grubymi poplamionymi tytoniem paluchami o blat biurka. Te wielkie damy to istna zaraza. Choć mógłby się założyć, że mają brudne myśli. Głośno zaś powiedział łagodnie: – Oczywiście. Jest to więc bardzo nieprawdopodobne. My, policjanci, musimy jednak rozważyć wszystkie możliwości w tego rodzaju przypadku, gdyż nie natrafiliśmy na żaden ślad, odkąd sprawa do nas trafiła. Od czternastego lutego, o ile mnie pamięć nie myli.

– Tak jest. Od dnia świętego Walentego.

Przez chwilę bał się, że stara zasłabnie. Na jej twarzy ukazały się brzydkie czerwone cętki. Nie chciał, aby mu tu zemdląła, więc wstał dając do zrozumienia, że rozmowa skończona. Dla pani Appleyard wychodzącej chwiejnie we wściekły upał ulicy rozmowa się skończyła, lecz koszmar pozostał i nie dawał się odpędzić ani pigułką nasenną, ani paroma kieliszkami koniaku w miejskim hotelu.

Tymczasem na pensji miało miejsce sporo niepowodzeń i niepokojących zdarzeń. Pod nieobecność przełożonej zjawiał się ojciec jednej z dziewcząt z pozornie uzasadnioną wymówką, aby niezwłocznie zabrać córkę. Pozbawiona pomocy Greta McCraw, która w chwilach kryzysu potrafiła się okazać nieoczekiwanie przenikliwą, wręcz praktyczną, Mademoiselle uległa i poprosiła pannę Lumley, aby pomogła Muriel się spakować, i kazała wysłać jej kufry do Melbourne. Co gorsza, nauczycielka francuskiego złożyła rezygnację z pracy „z powodu mego wyjścia za mąż za pana Louisa Montpeliera wkrótce po Wielkanocy”, ledwie pani Appleyard zdążyła zdjąć kapelusz w hallu. Przełożona umiała rozpoznać w kobiecie damę i Mademoiselle de Poitiers była zdecydowanym atutem towarzyskim wśród nauczycielek, niełatwym do zastąpienia. Miejsce panny McCraw już zajęła młoda, pełna werwy absolwentka o wystających zębach i nieszczęsnym nazwisku Buck, do której pensjonarki natychmiast poczuły niechęć. Greta McCraw mimo swojego powarkiwania nigdy nie ukąsiła żadnej przestępczyni.

Tego wieczoru na biurku pani Appleyard leżał stos listów, które musiała mimo zmęczenia przeczytać przed pójściem na spoczynek. Dzięki Bogu nie było wśród listów żadnego ze znaczkami z Queensland! Pierwszy zawierał prośbę jednej z południowoaustralijskich matek, aby natychmiast odesłać jej córkę Ekspresem Adelaidzkim „z ważnych przyczyn rodzinnych”. Rodzice dziewczynki byli zamożnymi, szanowanymi obywatelami. Czego musieli się nasłuchać, zadowoleni z siebie w swojej

podmiejskiej siedzibie? Z przyczyn rodzinnych! Też coś! Wyjęła butelkę koniaku z kredensu i otworzyła następne dwa listy, zanim spostrzegła na samym spodzie telegram od pana Leopolda. Wysłany przed kilku dniami z jakiejś zapadłej dziury w Bengalu, był sformułowany w całkiem odmienny sposób niż zwykle. ZABRANIAM MOJEJ CÓRCIE POWRÓCIĆ POD JAKIMKOLWIEK POZOREM NA PENSJĘ APPLEYARD. LIST W DRODZE. Utraciwszy w ten sposób najbogatszą i najbardziej uwielbianą uczennicę przełożona poczuła się bliska omdlenia, niemal chora. Konsekwencje tej nowej katastrofy były bardzo niebezpieczne i nieobliczalne. Zaledwie przed kilkoma tygodniami powiedziała żonie biskupa: „Irma Leopold to taka urocza dziewczyna! Podobno ma otrzymać pół miliona z chwilą dojścia do pełnoletności... Jej matka była z domu Rothschildówna”. Dwa niebotycznie wysokie rachunki od rzeźnika i ze sklepu spożywczego dopełniły spisu nieszczęść tego dnia.

Mimo że było już późno, zajrzała do ksiąg pensji. Niektóre z pensjonarek zalegały z opłatami. Chociaż zdrowy rozsądek jej mówił, że w obecnych okolicznościach nie może oczekiwać od rodziców Mirandy czy opiekuna prawnego Marion Quade zaliczki na następny okres nauczania, bardzo liczyła na czek od pana Leopolda obejmujący szereg dodatkowych opłat – za lekcje tańca, rysunku, comiesięczne poranki teatralne w Melbourne, co dawało pensji pokaźny dochód. Na schludnie poliniowanej stronie wybijało się jeszcze jedno nazwisko: Sary Waybourne. Nieuchwytny opiekun Sary nie pokazał się w gabinecie przełożonej od miesiąca. Zwykle zjawiał się osobiście i płacił gotówką wyjętą z portfela. W obecnej chwili cały miniony okres dodatkowych zajęć Sary pozostawał nie zapłacony. Pan Cosgrove, zawsze wytwornie ubrany, pozostawiający po sobie w gabinecie zapach wody kolońskiej i marokinu, nie miał żadnego usprawiedliwienia tej zwłoki.

Ostatnio sam widok małej Sary zgarbionej nad książką na ogrodowej ławce wystarczał, aby kark przełożonej czerwieniał z irytacji pod usztywnionym fiszbinami siatkowym kołnierzykiem. Mała, ostra twarzyczka stała się jakby symbolem nie nazwanej choroby, która drażyła w różnym stopniu wszystkie mieszkanki pensji. Gdyby to była słaba, krągła, dziecięca twarzyczka, mogłaby wzbudzać litość, nie zaś poczucie oburzenia, że ktoś tak słabowity i blady ma załazek tajemniczej siły woli równie żelaznej jak jej własna. Czasem na widok pochylonej głowy Sary w klasie, dokąd przełożona zstępowała ze swego Olimpu, aby wyklądać Pismo Święte, dławił jej krtań cierpki smak nie wypowiedzianej pasji. Mimo to nieszczęsne dziecko pozostawało pozornie uległe, grzeczne i pilne – zdradzał ją tylko jakiś tajemniczy wyraz bólu w absurdalnie wielkich oczach. Było już dawno po północy. Pani Appleyard wstała, włożyła księgę do szuflady i poszła ciężko po schodach na górę.

Następnego dnia, gdy Sara Waybourne przygotowywała przybory do rysowania na lekcję zajęć plastycznych z panią Valange, wezwano ją do przełożonej.

– Wezwałam cię, Saro, z ważnego powodu, który muszę ci wyjawić. Stój prosto i słuchaj uważnie, co mam ci do powiedzenia.

– Tak, proszę pani.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że już od kilku miesięcy twój opiekun nie płaci za twoją naukę? Pisałam do niego kilkakrotnie na zwykły bankowy adres, ale za każdym razem listy były mi zwracane.

– Och! – westchnęło dziecko z nie zmienionym wyrazem twarzy.

– Kiedy ostatni raz otrzymałaś list od pana Cosgrove'a? Dobrze pomyśl.

– Świetnie pamiętam. Na Boże Narodzenie... kiedy mnie prosił, żebym została na święta w szkole.

– Pamiętam. To nam sprawiło ogromny kłopot.

– Naprawdę? Czemu tak dawno nie pisał? Potrzebne mi książki i więcej kredek.

– Kredek? No właśnie, ponieważ nie możesz mi nic pomóc w tej nieszczęsnej sprawie, będę musiała powiedzieć pani Valange, aby przestała ci udzielać lekcji rysunku... od dziś począwszy. Łaskawie zwróć uwagę, że wszelkie przybory do rysowania w twojej szafce są własnością pensji i muszą być zwrócone pannie Lumley. Czy to dziura w twojej pończosze? Lepiej zajmij się nauką cerowania niż zabawianiem się książkami i kolorowymi ołówkami.

Ledwie Sara znalazła się przy drzwiach, gdy przełożona ją zatrzymała.

– Zapomniałam ci powiedzieć, że jeśli do Wielkanocy nie otrzymam wiadomości od twojego opiekuna, będę zmuszona załatwić inaczej sprawę twojej edukacji.

Po raz pierwszy wyraz ogromnych oczu się zmienił.

– W jaki sposób?

– To trzeba będzie jeszcze postanowić. Istnieją różne instytucje.

– Och, nie. Nie. Tylko nie to. Nigdy więcej.

– Trzeba się nauczyć stawiać czoło faktom, Saro. Ostatecznie masz już trzynaście lat. Możesz odejść.

Podczas gdy ta rozmowa trwała w gabinecie przełożonej, pani Valange, dojeżdżająca z Melbourne nauczycielka zajęć plastycznych, gramoliła się przed stacją Woodend na dwukółkę. Pomagał jej w tym Tom, którego ta drobna dama, jak zwykle obciążona szkicownikami, parasolką i wypchaną walizką, uczepliła się niczym tonący marynarz. Zawartość tej walizy była nieodmiennie ta sama: dla starszych uczennic gipsowy odlew głowy Cyncerona owinięty w szlafrok z flaneli, aby haczykowaty nos się nie odłupał w trzęsącym wagonie, gipsowy odlew stopy dla młodszych uczennic, rolka papieru, a dla niej samej wygodne pantofle z pomponami oraz płaska butelka koniaku. (Gdyby zamiłowanie do francuskiego koniaku stało się kiedykolwiek przedmiotem rozmowy między paniami Valange i Appleyard, byłby to jedyny temat nie wywołujący różnicy zdań).

– Słuchaj no, Tom – rzekła rozmowna i zawsze miła nauczycielka wychowania plastycznego, kiedy skręcili na gościniec ocieniony eukaliptusami. – Jak twoja umiłowana?

– Prawdę mówiąc, psze pani, ja i Minnie złożyliśmy wymówienie od Wielkanocy. Już nam tu nie przypada do gustu, jeżeli pani rozumie, o co chodzi.

– Rozumiem, Tom, i z przykrością to słyszę. Nie wyobrażasz sobie, jakie straszne rzeczy ludzie w mieście wygadują o tym wszystkim, chociaż zawsze im mówię, że najlepiej puścić to w niepamięć.

– Święta racja, psze pani – zgodził się Tom. – Ale i tak ja i Minnie nie zapomnimy panny Mirandy i tych innych nieszczęśniczek aż do śmierci.

Kiedy dwukółka skręciła w bramę pensji, pani Valange spostrzegła swoją ulubioną uczennicę Sarę Waybourne na trawniku od frontu i zamachała żywo parasolką.

– Dzień dobry, Saro... Nie, dziękuję ci, Tom, wolę sama nieść tę walizę... Chodź tu, dziecko... przywiozłam ci pudełko ślicznych pastel z Melbourne. Obawiam się, że są dość kosztowne, ale mogę je zapisać na twój rachunek... wyglądasz jakoś żałośnie dzisiaj rano.

Pani Valange przyjęła przygnębiającą wiadomość od Sary w charakterystyczny dla siebie sposób.

– Masz przestać uczęszczać na moje lekcje? Ależ to nonsens! Wcale się nie martwię o zapłatę, zwłaszcza że jesteś moją jedyną uczennicą, która ma szczyptę talentu. Pójdę teraz prosto do pani Appleyard i powiem jej to... Mamy jeszcze dziesięć minut do rozpoczęcia lekcji.

Nie będziemy przytaczali szczegółowo rozmowy, która się odbyła za zamkniętymi drzwiami gabinetu przełożonej. Po raz pierwszy i ostatni te dwie damy stanęły oko w oko bez rękawiczek. Po wymianie kilku zdawkowych grzeczności zaczęła się walka. Mała zapalczywa pani Valange miotła w przeciwniczkę efektowne oskarżenia, podkreślane niebezpiecznie wymachiwaniem parasolki, zaś pani Appleyard straciwszy zwykły dla siebie spokój coraz bardziej pęczniała i purpurowiała. W końcu dało się słyszeć trzaśnięcie drzwi gabinetu i nauczycielka wychowania plastycznego, która choć odniosła moralne zwycięstwo, to została pokonana w punkcie procedury zawodowej, stanęła w hallu z falującą piersią. Wezwano Toma i pani Valange ściskająca w rękach parasolkę i walizę z nie rozwiniętym ze szlafroka Cycleronem została dźwignięta na dwukółkę i odwieziona już po raz ostatni na stację do Woodend.

Po krótkim i rzadkim u niego milczeniu, w czasie którego jego pasażerka gryzmoła coś kawałkiem kolorowej kredy na skrawkach papieru, Tom otrzymał pół korony oraz kopertę z nazwiskiem Sary, z pouczeniem, aby doręczył ją adresatce jak najprędzej, nie mówiąc nic pani Appleyard. Tom z radością na to przystał. Miał słabość do małej pani Valange, tak samo zresztą jak do Sary, i szczerze zamierzał doręczyć list dziewczynce nazajutrz, gdy pensjonarki zbiorą się na pół godziny po śniadaniu w ogrodzie. Aliści przełożona wysłała go gdzieś w jakiejś sprawie i list wywietrzył Tomowi z głowy.

Po kilku tygodniach, gdy znalazł ten list zgnieciony na dnie szuflady i Minnie mu go przeczytała przy blasku świecy, nie mogli oboje zmrużyć oka przez pół nocy. Chociaż, jak Minnie zwróciła bardzo rozsądnie uwagę, nie było sensu tak się zamartwiać. To nie wina Toma, że list nie został doręczony.

Drogie dziecko – pisała pani Valange – pani A. powiedziała mi o wszystkim... To śmieszne, żeby robić taką awanturę o zwyczajne głupstwo! Piszę, bo chcę, żebyś przyjechała i zamieszkała u mnie we Wschodnim Melbourne (adres załączam), jak długo zapragniesz, o ile do Wielkiego Piątku Twój opiekun po Ciebie nie przyjedzie. Daj mi tylko znać, żebym mogła wyjść po Ciebie na stację. Nie martw się o lekcje rysunku, tylko rysuj sama, ilekroć znajdziesz jakąś wolną chwilę, jak Leonardo da Vinci. Całuję serdecznie. Twoja przyjaciółka Henrietta Valange.

Dramatyczne odejście pani Valange z pensji zintensyfikowało napięcia i naprężenia ostatnich kilku dni. Mimo przygnębiających nakazów milczenia i zakazu rozmowy w paruosobowych grupkach, którym nie towarzyszy żadna z nauczycielek, rozniosło się za pośrednictwem przekazywanych sobie karteczek oraz innymi sposobami, że w gabinecie przełożonej doszło do sceny, za co w jakiś sposób ponosi winę mała Sara. Sara jak zwykle nie miała nic do zakomunikowania.

– Pełza po domu jak ostryga – powiedziała o niej Edyta, która nigdy nie była mocna w przyrodoznawstwie.

– Jeżeli nie dostaniemy młodego, przystojnego nauczyciela rysunku – oświadczyła Blanche – zrezygnuję z lekcji wychowania plastycznego. Mam już tego dosyć, ciągle ta kolorowa kreda za paznokciami.

– Dziewczęta, nie słyszałyście dzwonka na ubieranie? – upomniała je Dora Lumley wpadłszy zniecacka. – Proszę w tej chwili iść na górę i każda z was ma kreskę za niedozwolone rozmowy na korytarzu.

W kilka chwil później, wciąż polując na zdobycz, panna Lumley natknęła się na Sarę Waybourne skuloną za drzwiczkami okrągłych schodów wiodących na wieżę. Wyglądało na to, że płakała, ale było za ciemno, żeby nauczycielka mogła zobaczyć wyraźnie jej twarz. Gdy wyszły na podest, w blask wiszącej lampy, mała przypominała zabłąkane, na wpół zagłodzone kocię.

– Co się stało, Saro? Jesteś chora?

– Nie, nic mi nic jest. Proszę mnie zostawić w spokoju.

– Nikt nie przesiaduje po ciemku na kamiennym schodku tuż przed podwieczorkiem, chyba że ma niedobrze w głowie – powiedziała panna Lumley.

– Nie chcę żadnego podwieczorku. Nie chcę niczego.

Nauczycielka prychnęła pogardliwie.

– Szczęśliwa jesteś! Chciałabym móc to powiedzieć o sobie. – „Nieszczęsne rozbeczane dziecko. Cóż za okropne domiszcze...”, pomyślała panna Lumley i postanowiła napisać do brata jeszcze tego samego wieczoru, żeby poszukał dla niej nowej posady. „Tylko nie na pensji. Mówię ci, Reg, nie zniósłabym tego...” Ledwie się opanowała, żeby nie wrzasnąć, gdy usłyszała niosący się w pustych pokojach na dole dźwięk dzwonu wzywającego na podwieczorek. Myszy swawolące w długim ciemnym salonie też go usłyszały i rozpierzchły się pod okryte pokrowcami sofy i fotele. – Słyszałaś dzwon, Saro? Nie możesz zejść na dół w takim stanie, cała w pajęczynach. Skoro nie jesteś głodna, połóż się do łóżka.

Pokój Sary był tym samym pokojem, który poprzednio dzieliła z Mirandą – najbardziej pożądanym w całym domu, o długich oknach wychodzących na ogród i z zasłonami w różyczki. Nic w nim nie zostało zmienione od dnia pikniku, gdyż takie były wyraźne instrukcje pani Appleyard. Śliczne, miękkie sukienki Mirandy wisały wciąż równiutkimi rzędami w cedrowej szafie, na którą Sara nie śmiała teraz spojrzeć. Rakietka tenisowa Mirandy stała oparta o ścianę dokładnie tak, jak jej zaróżowiona i promienna właścicielka ją zostawiła wbiegłszy na górę po grze z Marion w letnie popołudnie. Fotografia Mirandy w srebrnej owalnej ramce na półce nad kominkiem, szuflada biureczka wciąż wypchana przysłanymi Mirandzie na św. Walentego karteczkami, toaletka z kryształowym flakonem, gdzie Sara zawsze wkładała kwiat dla Mirandy. Często, udając, że śpi, leżała i patrzyła, jak Miranda w blasku świecy czesze szczotką swoje lśniące włosy.

– Saro, ty niegrzeczny kociaku, jeszcze nie śpisz? – mówiła wówczas Miranda, uśmiechając się w ciemnej toni lustra. A czasem nuciła, w ten swój specjalny monotony sposób, który znała tylko Sara, dziwne piosenki o swojej rodzinie, ulubionym koniu, kakadu swojego brata. – Kiedyś, Saro, zabiorę cię do nas, na stację hodowlaną, i wtedy

sama zobaczysz moją kochaną rodzinę. Chciałabyś, kotku? – Och, Mirando, Mirando... gdzie jesteś, kochana Mirando?

Wreszcie na milczący, niespokojny dom zstąpiła noc. W południowym skrzydle Tom i Minnie, objęci ramionami, szeptali sobie bez przerwy o miłości. Pani Appleyard, w papilotach, przewracała się na łóżku. Dora Lumley ssała cukierki miętowe i w swojej rozgorączkowanej wyobraźni pisała niekończące się listy do brata. Siostry nowozelandzkie wpełzły do jednego łóżka i leżały napięte i wystraszone, jakby w oczekiwaniu trzęsienia ziemi. W pokoju Mademoiselle wciąż lśniło światło, nawet bowiem okazała dawka Racine'a przy świecy okazała się jako środek nasenny nieskuteczna. Mała Sara też nie spała, tylko patrzyła szeroko otwartymi oczyma w przerażający mrok.

Wkrótce na matowych oblanych blaskiem księżycowym dachówkach zaczęły swe harce oposy. Z pochrząkiwaniem i piskami splatały się sprośnie u podstawy przysadzistej, ciemnej na tle blednącego nieba wieży.

10

Czytelnik patrzący z lotu ptaka na wydarzenia, które zaistniały od dnia pikniku, z łatwością zauważy, jak rozmaite osoby nie biorące w nim udziału zostały wciągnięte w rozprzestrzeniający się wzorzec: pani Valange, Reg Lumley. Monsieur Louis Montpelier, Minnie i Tom – porządek życia ich wszystkich został zakłócony, czasami gwałtownie. Tak samo jak na mniejszą skalę żywot niezliczonych istot niższych – pajaków, myszy, żuków – których ucieczkę, zagrzebanie w ziemi lub paniczny odwrót da się z tym porównać. Ten wzorzec zaczął powstawać na pensji pani Appleyard ni stąd, ni zowąd w chwili, gdy pierwsze promienie słońca rozpląsły dalej w dniu świętego Walentego, a dziewczęta rozpoczęły niewinną wymianę kart i życzeń. Aż do tej pory, do piątkowego wieczoru trzynastego marca, wciąż się rozprzestrzeniał, wciąż rozszerzał zyskując na głębi i intensywności, wciąż jeszcze niepełny. Dotarł tu z niższych partii góry Macedon, acz w weselszych barwach, aż po wyższe zbocza, gdzie mieszkańcy Lake View, nieświadomi wyznaczonych sobie miejsc w ogólnym schemacie radości i smutku, światła i cienia, jak zwykle zajmowali się własnymi sprawami, bezwiednie wplatając indywidualne nici własnego życia w złożony gobelin całości.

Oboje chorzy szybko dochodzili do zdrowia. Michał już pałaszował na śniadania jaja na bekonie, Irma zaś zdaniem doktora McKenziego na tyle wydobrzała, iż posterunkowy Bumpher mógł spróbować delikatnie ją wypytać, chociaż powiedziano mu, że dziewczyna jak dotąd zupełnie sobie nie przypomina, co się zdarzyło na skale, ani też wedle opinii doktora McKenziego oraz dwóch wybitnych specjalistów z Sydney i Melbourne nigdy sobie nie przypomni. Okazało się bowiem, że część delikatnego mechanizmu jej mózgu została nieodwracalnie uszkodzona.

– Jak w zegarku – wyjaśniał lekarz. – W zegarku, który się zatrzymał w niezwykłych okolicznościach i odtąd nigdy już nie posunie się poza określony punkt. Miałem taki w domu. Wskazówki zawsze zatrzymywały się na godzinie trzeciej...

Bumpher jednakże postanowił odwiedzić Irmę w domku ogrodnika i spróbować.

Wizyta rozpoczęła się o dziesiątej rano. Pięknie ogolony, z notesem i ołówkiem w pogotowiu, policjant usiadł na krześle przy łóżku. W południe popijał herbatkę i wyrażał wdzięczność za poświęcone mu dwie godziny, które nie przyniosły literalnie nic. Przynajmniej z urzędowego punktu widzenia, bo było mu bardzo przyjemnie w towarzystwie tak młodej i pięknej istoty, która raz po raz uśmiechała się do niego smutnie.

– No, to ja już pójdę, panno Leopold, a gdyby się pani coś niecoś przypomniało, proszę mi zaraz dać znać, to w mig przylecę. – Wstał, spiął gumką notes z niezupełnie służbową

opieszalnością, wsiadł na swojego wysokiego siwka i poczłapał wolno na obiad o pierwszej, w przygnębieniu, którego nawet jego ulubiony placek ze śliwkami nie zdołał odegnąć.

W sobotę po południu rozeszła się wieść o przybyciu jeszcze jednego gościa do domku ogrodnika – pewnej ślicznej jak obrazek damy w liliowych jedwabiach. Przyjechała powozikiem zaprzężonym w parę koni powożonych przez zagranicznego dżentelmena. Ów dżentelmen, który miał czarny wąsik, pytał w sklepie Manassy o drogę do Lake View. Wszyscy w Macedon wiedzieli, że pani Cutler opiekuje się bohaterką Tajemnicy Pensji, ocaloną przez młodego, przystojnego bratanka pułkownika Fitzhuberta. Ostatnie wydarzenia były tak barwne, że całe Górne Macedon aż wrzało od plotek i domysłów. Mówiono, że bratanek pułkownika połamał sobie wszystkie przednie zęby wdrapując się na dwudziestometrową ścianę skalną. Ze był do szaleństwa w dziewczynie zakochany. Że śliczna spadkobierczyni poszła do Melbourne po dwa tuziny szyfonowych koszul nocnych i sypiała z trzema sznurami pereł na szyi.

W rzeczywistości w sieni pani Cutler stał potężny stos jeszcze nie rozpakowanych marokinowych waliz Irmy. A któż inny, jeśli nie *la petite*, myślała Mademoiselle z lubością, mógł wyglądać tak pięknie, tak elegancko w spłowiałym japońskim kimonie? Drewniane żaluzje były opuszczone i sączył się przez nie zielonkawy ogrodowy blask, który pełgał po bielonych ścianach małego pokoiku i po ogromnym łożu przykrytym patchworkową kołdrą, jakby pływającym w podmorskiej jaskini. Łagodne letnie podmuchy pieściły i kołysały jak woda. Irma i Mademoiselle płakały trochę złączone w długim i tkliwym uścisku popadłszy po słowach gorącego powitania w milczenie wypełnione podzielanym wzajem smutkiem. Tak wiele miały sobie do powiedzenia, z czego tak mało dało się i zostało kiedykolwiek wypowiedziane. Geń Wiszącej Skąły leżał w sposób niemal fizycznie odczuwalny na ich sercach. Było to nie do wypowiedzenia, niemal poza możliwością odczucia. Mademoiselle pierwsza powróciła do spokojnej rzeczywistości letniego popołudnia, podnosząc z kojącym hałasem żaluzje. Wiąz u okna rozbrzmiewał gruchaniem plotkujących gołębi.

– Pozwól, niech ci się przyjrzę, *chérie*. – Błada twarzyczka okolona luźno przewiązanymi wstążką lokami była niemal tak biała jak perkalowa poszewka poduszek pani Cutler. – Jesteś za blada... ale taka ładna... Pamiętasz, jak cię strofowałam za nacieranie ust płatkami pelargonii? Ale spójrz! Mam dla ciebie cudowną wiadomość! – Zabytkowy francuski pierścionek na wyciągniętej ręce Dianne rzucił tęcze blaski na kołdrę, a na policzku Irmy ukazał się jak gwiazdka dołeczek.

– Kochana Mam'selle! Jak się cieszę! Pan Louis jest uroczy!

– *Tiens!* A więc odgadłaś mój sekret?

– Nie odgadłam, droga Dianne... poznałam. Miranda zawsze o mnie mówiła, że zgaduję głową, a poznaję sercem.

– Ach, Miranda – westchnęła nauczycielka. – Zaledwie osiemnaście lat, a taka mądrość... – Umilkły znowu, kiedy nad gazonem przypląnęło ku nim widmo Mirandy ze złocistymi włosami. Pani Cutler, która od razu poczuła sympatię do eleganckiej Francuzki, wniosła na tacy truskawki i śmietanę.

– Kochana pani Cutler! Co ja bym bez niej zrobiła? I bez państwa Fitzhubertów... Jacy oni wszyscy dla mnie dobrzy!

– I ten przystojny bratanek? – zapragnęła dowiedzieć się Mademoiselle. – On też? Sądząc po zdjęciach w gazetach, wspaniała sylwetka!

Irma nie miała nic do powiedzenia o owym bratanku, podobno wciąż za słabym, aby móc opuścić pokój.

– Zapominasz, Dianne, że widziałam Michała Fitzhuberta tylko raz, z daleka, na pikniku.

– Kobieta potrafi zobaczyć wszystko, co potrzebne, w jednym mgnieniu oka – zauważyła Mademoiselle. – *Tiens!* Kiedy pierwszy raz zobaczyłam tył głowy mojego Louisa, powiedziałam sobie: „Dianne, ten mężczyzna musi należeć do ciebie!”

Tymczasem Michał spoczywał właśnie w leżaku na gazonie, a długie nogi miał okryte derką z powozu stryjenki. Jeziorko za opadającym w dół trawnikiem, usiane rozchylonymi kielichami lilii, lśniło jak wielka wypolerowana cynowa misa odzwierciedlająca popołudniowy blask słońca. Dochodziły stamtąd głośne okrzyki i pohukiwania Alberta oraz pana Cutlera, którzy przedzierali się łodzią przez pływające liście lilii w poszukiwaniu splątanych wodorostów. Po jasnoblękitnym niebie, które będzie mu się odtąd zawsze kojarzyło ze spędzonym w Australii latem, nad ciemnymi szczytami sosnowego lasu na wierzchołku góry płynęły białe wełniste obłoczki. Po raz pierwszy od swojej choroby zdał sobie sprawę z przyjemności, jaką mu daje otoczenie.

– Ach, tu jesteś, Michale! Nareszcie na świeżym powietrzu! – powiedziała pani Fitzhubert, która wyszła na werandę niosąc parasolkę, poduszki i robótkę ręczną. – Jutro przyjedzie do ciebie gość, aby cię rozweselić. Pamiętasz pannę Angelę Sprack z siedziby gubernatora? – Bratanek jej męża nie okazał jednak entuzjazmu perspektywą tête-à-tête z panną Sprack, która o ile pamiętał, miała nogi niczym kręgle i białoróżową twarz głupawo uśmiechniętą, jak dziewczyna z portretu Reynoldsa wiszącego w pokoju jadalnym w Haddingham Hall.

– Nie wiem, czemu odnosisz się tak krytycznie do biednej Angeli.

– Wcale nie miałem takiego zamiaru, ale panna Sprack wydaje mi się... jak by to powiedzieć... zbyt angielska.

– Cóż to za brednie... Kto może być zbyt angielski? – zapytał pułkownik wynurzając się ze spanielami z zarośli. – Jak, u licha, można być zbyt angielskim?

Michał jednakże nie czuł się na siłach brać udziału w sporze na poziomie międzynarodowym. Zdołał jakoś przetrwać wizytę gości z letniej siedziby gubernatora. Panna Sprack była właśnie taka, jak Michał przewidywał – z rodzaju tych, z którymi na usilne prośby matki musiał na balach tańczyć walce.

– Do licha, Angie – utyskiwał major w dwukołowym powoziku wicekróla, kiedy wracali do domu aleją – okropna z ciebie ciamajda. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że ten młody człowiek jest jedną z najlepszych partii w całej Anglii? Stara, wspaniała rodzina... mnóstwo pieniędzy.

– Co mogłam zrobić, skoro on nie chciał ze mną rozmawiać – odburknęła nieszczęsna dziewczyna. – Sam widziałeś, jak było dzisiaj po południu. Jestem pewna, że mu się nie podobam, i na tym koniec.

– Ty głupia gąsko! Nie masz w sobie ani krzty ogłady towarzyskiej. Jestem przekonany, że ta ślicznotka z domku ogrodnika w Lake View na pewno robi, co może, żeby zdobyć panicza Michała, mimo że jest spadkobierczynią znacznego majątku.

Michał grzecznie pomógł okropnym nogom wgramolić się do powoziku i postanowił iść przed kolacją nad jeziorko. Państwo Sprack, jak wszyscy nudni goście, przedłużyli wizytę i niebo było już okryte przedwieczornymi obłokami, a jeziorko spokojne i piękne w gasnącym świetle. Właśnie odwrócił się plecami do oddalającego się powoziku i szedł dość chwiejnie przez trawnik, gdy nagle złowił uchem plusk wody dobiegający od strony jeziorka, gdzie jakaś dziewczyna w białej sukni stała przy olbrzymiej muszli pod dębem, służącej ptakom za kąpielisko. Dziewczyna miała twarz odwróconą, lecz poznał ją od razu po charakterystycznym nachyleniu jasnej główki i zaczął biec z dręczącym lękiem, że mu umknie, zanim ją doścignie, jak to się nieodmiennie zdarzało w jego snach. Już, już prawie dotykał muślinowej sukienki, gdy nagle ta przemieniła się w lekko drżące skrzydła łabędzia zwabionego iskrzącą się strużką wody płynącej z kranu. Gdy Michał osunął się na trawę o parę kroków od muszli, łabędź wzniósł się ponad nią niemal pionowo i zrzucając deszcz tęczyowych kropli odleciał nad wierzbami na drugą stronę jeziorka.

*

Michał stawał się z dnia na dzień silniejszy i pewniejszy, że nogi zaprowadzą go, dokąd im każe.

– Myślę – powiedziała jego stryjenka – że Michał powinien złożyć pannie Leopold grzecznościową wizytę. Ostatecznie ocaliłeś jej życie, Michale. Jest to po prostu kwestia dobrego wychowania.

– To piekielnie ładna dziewczyna, mój chłopcze – rzekł pułkownik. – W twoim wieku już dawno zapukałbym do jej drzwi z bukietem i butelką szampana!

Michał wiedział, że stryjostwo mają rację. Nie można było dłużej zwlekać z wizytą, więc posłał Alberta z liścikiem, w którym zapytywał, czy panna Leopold nie ma nic przeciwko temu, aby ją odwiedził następnego popołudnia. Irma odpowiedziała śmiałym, rozwlekłym pismem na najlepszym różowym papierze pani Cutler, iż będzie zachwycona, jeśli Michał przyjdzie do niej na herbatę.

Łatwo jest podjąć spokojną, rozsądną decyzję z wieczora, co innego zaś wprowadzić ją w czyn w jasnym blasku dnia. Michał zbliżał się do domku ogrodnika ciężkim krokiem. O czym, u licha, będzie rozmawiał z tą nieznaną dziewczyną? Pani Cutler stała na ganku uśmiechając się promiennie.

– Umieściłam pannę Irmę w ogrodzie, żeby zażyła trochę świeżego powietrza, niebożątko. – W małej kratowanej altance stał stolik do herbaty przykryty białą szydełkową serwetą i płócienny leżak z czerwoną pluszową poduszką w kształcie serca, dla gościa. „Niebożątko” siedziało w mgiełce muślinów i koronek ze szkarłatnymi wstążkami pod baldachimem purpurowych pnących róż, co nie wiadomo czemu przypomniało młodemu człowiekowi przysłane na świętego Walentego widokówki jego sióstr.

Chociaż mówiono Michałowi wielokrotnie, że Irma Leopold jest „szalenie piękna”, nie był przygotowany na ujrzenie tak pełnej słodyczy, poważnej twarzyczki zwróconej ku sobie. Wydała mu się młodsza, niż oczekiwał – niemal dziecięca – dopóki nie uśmiechnęła się i ze swobodnym wdziękiem osoby dorosłej nie wyciągnęła do niego ręki ozdobionej zapierającą dech w piersi bransoletką ze szmaragdów.

– Jak to miło z twojej strony, że przyszedłeś mnie odwiedzić. Czy nie masz nic przeciwko temu, że wypijemy herbatę w ogrodzie? Lubisz *marrons glacés*... prawdziwe

francuskie... ja za nimi przepadam. Leżaki zwykle się zapadają, ale pani Cutler mówi, że ten się nie złoży.

– Zachwycony, że nie musi brać czynnego udziału w rozmowie (jego ograniczone doświadczenie mówiło mu, że istoty „szalenie piękne” bywają przerażająco głupie), Michał opadł na rozciągnięte płótno leżaka i oświadczył zgodnie z prawdą, że niczego tak nie lubi jak herbatę w ogrodzie. To mu przypominało dom rodzinny. Irma znowu się uśmiechnęła i tym razem na jej twarzy ukazał się dołeczek, który miał wkrótce zyskać międzynarodową sławę. – Mój papa jest strasznie kochany, ale nie chce jadać na świeżym powietrzu. Nazywa to barbarzyństwem.

Michał uśmiechnął się również.

– Mój tak samo. – Pokręcił się trochę na leżaku, szukając wygodniejszej pozycji, i sięgnął nieproszony po drugie *marron glace*. – Moje siostry uwielbiają wszystko, co ma związek z piknikiem... O Boże... jaki ze mnie nietaktowny idiota... ostatnia z rzeczy, o których chciałem mówić, to piknik... do licha, znowu.

– Głupstwo... nie miej tak nieszczęsnej miny. Czy będziemy o tym mówili czy nie, ta straszna sprawa pozostanie w mej pamięci na zawsze... po wiek wieków.

– Iw mojej – rzekł Michał bardzo cicho, a Wisząca Skala wraz ze swoim mrocznym pięknem wyrosła między nimi.

– Cieszę się doprawdy – powiedziała w końcu Irma – że wspomniałeś przed chwilą o pikniku. Łatwiej mi teraz podziękować za to, co dla mnie zrobiłeś...

– Drobiazg, zupełny drobiazg – wymamrotał młody człowiek z głową zwróconą ku swoim nieskazitelnym angielskim butom. – A poza tym to nie ja – lecz mój przyjaciel, Albert.

– Ależ, Michale, ja nic nie wiem... doktor McKenzie nie pozwala mi czytać gazet... Kto to jest ten Albert?

Michał jął opisywać akcję ratunkową na skale, czyniąc z Alberta jej głównego bohatera i kierownika, po czym zakończył: – Woźnica mego stryja. Cudowny facet.

– Kiedy będę go mogła poznać? Pewnie uważa mnie za potwora niewdzięczności.

Michał roześmiał się.

– Przenigdy. Albert jest tak skromny, dzielny, mądry... Ach, musisz go poznać osobiście... – Irma jednak widziała tylko twarz siedzącego naprzeciwko młodego człowieka, zaczerwienioną i uroczo przejętą wychwalaniem swojego przyjaciela. Zaczynała już być nieco znużona słuchaniem o jakimś nieznanym Albercie, kiedy nadeszła pani Cutler z tacą do herbaty i rozmowa przeszła na tort czekoladowy. – Gdy miałem sześć lat – powiedział Michał – zjadłem za jednym posiedzeniem cały tort urodzinowy mojej małej siostrzyczki.

– Słyszysz pani, pani Cutler? Niech pani lepiej ukroi mi kawałek, zanim pan Michał pochłonie tort w całości. – Tego im właśnie trzeba, żeby się trochę pośmiali, niebożęta, pomyślała pani Cutler.

Tego wieczoru, gdy tylko zdołał uciec od stołu stryjenki, Michał udał się do stajni z lampą naftową i dwiema butelkami zimnego piwa. Młody woźnica leżał na łóżku nagi przy blasku świecy, której chwiejny płomyk rzucał pełgające blaski na jego potężną pierś porośniętą szorstkim czarnym włosom, i czytał w „Hawklet” typy na wyścigi konne.

Tatuowane smoki i rusałki wiły się i skręcały z każdym ruchem muskularnego ramienia, które wskazało złamany bujak stojący pod okienkiem.

– Cholernie tu gorąco nawet po zmroku, ale ja jestem przyzwyczajony. Zdejmij tę marynarkę. Na półce stoją kufle. – Kufle zostały napelnione i od razu przemieniły się w baseny pływackie dla rozmaitych cieni zwabionych światłem świecy. – Dobrze cię widzieć znów na nogach, Michał. – Zagłębił się w swoim dawnym przyjemnym milczeniu, które niebawem przerwał Albert. – Widziałem cię dziś w ogrodzie z tą panną Jak-jej-tam.

– No właśnie! Przypomniałeś mi! Ona chce, żebym ją jutro powoził łódką.

– Przywiążę ci łódź przy przystani i zostawię bosak na stole. I uważaj na korzenie lilii wodnych przy płytszym końcu jeziora.

– Będę uważał. Wcale nie chcę wywalić tej dziewczyny w błoto.

Albert uśmiechnął się.

– Gdyby to była panna Butelkowate -Nogi, myślę, że taka kąpiel by jej nie zaszkodziła. Te cichutkie, Michał, są najgorsze... – Zmrużył oko i pociągnął łyk piwa.

– Przy okazji – rzekł Michał ze śmiechem – Irma Leopold bardzo pragnie cię poznać.

– Naprawdę? To zimne piwo bardzo dobrze mi zrobiło.

– Ona nie miała pojęcia, kto ją znalazł na skale, dopóki jej nie powiedziałem. Może przyjdiesz jutro po południu na przystań?

– Nie ma mowy! – odparł i pociągnawszy następny łyk piwa zaczął gwizdać popularną melodyjkę. Gdy tylko przerwał, aby zaczerpnąć tchu, Michał zapytał:

– Więc kiedy będziesz mógł? – Lecz Albert przeszedł na dogodniejszą tonację i zaczął od początku, z irytującymi ozdobnikami własnego pomysłu. Gdy wreszcie przestał, pozbawiony tchu, Michał powtórzył:

– No więc kiedy?

– Nigdy. Wyłącz mnie z tego, Michał.

– A co, u diabła, powiem tej dziewczynie?

– Twoja sprawa. – Zaczął znowu gwizdać i Michał, teraz już naprawdę zirytowany, otworzył klapę w podłodze i zszedł po drabinie w mrok magazynu z paszą. Niech go diabli, tego Alberta! Co mu, u licha, zalało za skórę?

Następnego dnia Irma siedziała na prostej ławie na przystani czekając na Michała, gdy usłyszała chrzęst kół na żwirze i wyjrawszy zobaczyła pieczystego młodzieńca, pchającego taczkę po ścieżce nad brzegiem jeziora. Poruszał się tak prędko, że zanim zdążyła wstać i krzyknąć z drzwi przystani, chłopak był już w połowie drogi do zarośli i prawie poza zasięgiem głosu. Krzyknęła znowu, tym razem tak głośno, że się zatrzymał i powoli wrócił. W końcu stanął przed nią dostatecznie blisko, by mogła się przyjrzeć czerwonej jak cegła kanciastej chłopskiej twarzy pod zmierzwioną czupryną i głęboko osadzonym oczom, które niby to znalazły jakiś przedmiot zainteresowania nad jej głową.

– Panienska mnie wołała?

– Wrzeszczałam do ciebie, Albercie! Ty jesteś Albert Crundall, prawda?

– Tak – odparł nie patrząc na nią.

– I wiesz, kim ja jestem, prawda?

– Tak – odrzekł – wiem bardzo dobrze. Panienska chciała czegoś ode mnie? – Opalone ręce opadły na uchwyty taczek, a błękitne syreny zafalowały, gotowe do ucieczki.

– Tylko podziękować ci za uratowanie życia. Uratowałeś mi życie. – Dziwny osobnik zaczął się cofać gwałtownie między rączkami swoich taczek jak nieujędzony żredek. Niechętnie obniżył wbity w niebo wzrok i spojrzął jej w oczy.

– Prawdę mówiąc, wcale nie myślałem o tym od chwili, kiedy doktor i Jim położyli panienkę bezpiecznie na noszach. – Zupełnie jakby odzyskał jej zaginioną parasolkę albo jakiś pakunek, a nie uratował życie.

– Powinieneś posłuchać, co o tym mówi pan Michał.

Ceglasta twarz rozciągnęła się w uśmiechu.

– Byczy facet z tego Michała!

– Chi mówi o tobie dokładnie to samo.

– Tak? Niech mnie diabli! Proszę mi wybaczyć... nieczęsto mam okazję rozmawiać z takimi jak panienka. No, to ja już wrócę do swojej pracy. Do zobaczenia. – Z energicznym ruchem potężnych nadgarstków syreny ożyły. Albert znikł, a Irma poczuła się isticie królewsko odprawiona.

Była dokładnie trzecia. Na tym wirującym globie nie ma ani chwili, która nie byłaby dla milionów istot do wymierzenia według zwykłych standardów – cząstką wieczności utrwaloną w kalendarzu lub bijącym zegarze. W pamięci Alberta Crundalla ta krótka rozmowa nad jeziorem z czasem wypełni całe letnie popołudnie. To, co powiedziała Irma i co on jej odpowiedział, było stosunkowo mało ważne. W rzeczywistości sam widok oszałamiająco pięknej dziewczyny z oczyma jak dwie czarne gwiazdy, które on sam skrętnie omijał wzrokiem, nieomal odjął mu mowę. Teraz, w dziesięć minut po rozmowie, w wilgotnym cieniu zarośli usiadł na pustych taczkach ocierając pot z twarzy i czoła. Miał mnóstwo czasu, aby odzyskać psychiczną i fizyczną równowagę, ponieważ wiedział, miał absolutną pewność, że już nigdy więcej nie będzie z Irmą Leopold rozmawiał.

Ledwie Albert znikł za laurowym żywopłotem, kiedy dokładnie z wybiciem trzeciej na szwajcarskim zegarze Michał wyszedł z domu, a Irma stanęła w drzwiach przystani. Stała i patrzyła, jak spieszy ku niej lekko utykając na pstrokatej trawie.

– Poznałam wreszcie twojego Alberta.

Szczera twarz Michała rozpromieniła się, jak zawsze na wspomnienie przyjaciela.

– I co? Nie miałem racji? – Kochany Michał! Dziwiąc się, że ten niezdarny młodzian o ceglastej twarzy mógł wzbudzać takie uwielbienie, Irma weszła do oczekującej łódki.

Pogoda wciąż była ciepła i słoneczna, toteż przejażdżki po wodach jeziora przy wtórze katarynkowego szumu górskiego potoku odbywały się codziennie. W tym kosztownym zielonym zaciszu państwo Fitzhubertowie spoczywali na wiklinowych leżankach przyglądając się dobiegającemu końca latu. W ogrodzie Lake View było tego roku wyjątkowo bezwietrznie. Słuchali brzęczenia pszczoł na grządce wonnych laków pod oknem salonu, a czasem śmiechu Army dobiegającego z jeziora. Zza kępy dębów i kasztanów skrzypiał któryś z wozów Husseya jadący pod górę stromą czekoladową drogą. Skrzypienie to poderwało stadko gołębi z trawnika. Biały paw spał, dwa spaniele całymi dniami drzemały w cieniu.

Irma i Michał zbadali razem każdy cal ogrodu różanego pułkownika, ogród warzywny, obniżony trawnik do krykieta, wszystkie wijące się ścieżki wśród krzewów ozdobnych, zakończone rozkosznymi altankami, idealnymi do dziecięcych gier – jak halma, domino i

warcaby. Stały tam ogrodowe krzesła z lanego żelaza. Nie było potrzeby wysilać się zbytnio na rozmowę, co bardzo Michałowi dogadzało. Kiedy pani Fitzhubert spostrzegła, jak stojąc na mostku trzymali się za ręce, westchnęła:

– Jacyż oni szczęśliwi! Jacy młodzi! – i zapytała męża: – O czym ci dwoje mogą rozmawiać przez cały dzień?

Irma czasami przyłapywała się na tym, że po prostu paple jak dawno temu, w szkole, dla zwykłej przyjemności rzucania słowna wiatr, jak puszcza się latawce. Słów, na które Michał nie musiał odpowiadać, których nie musiał nawet słuchać, byle tylko znajdował się przy niej, oparty o barierkę, z pasmem gęstych włosów opadających na oko za każdym poruszeniem głowy, gdy celował kamykami w rozwartą paszczę kamiennej żaby w sadzawce.

Teraz, późnym popołudniem, spod ukośnych cieni na jezioru wiało chłodem, a wśród sitowia leżały tu i ówdzie żółte liście.

– Kochany – powiedziała Irma – nie mogę się pogodzić z myślą, że lato już się kończy i nie będzie więcej przejażdżek po jeziorze.

– No tak – odparł Michał, wprawnie kierując łódką wśród pływających lilii. Uśmiechnął się. – Poza tym ta stara łódź nie nadaje się już do pływania.

– Och, Michale!... Więc to rzeczywiście koniec.

– No, cóż... zabawa się skończyła.

– Miranda mawiała, że wszystko ma swój początek i koniec we właściwym czasie...

Michał zapewne za mocno zaparł się bosakiem, bo Irma usłyszała bulgotanie wody pod spróchniałymi deskami, gdy łódź skoczyła niezgrabnie do przodu.

– Przepraszam... Nie ochlapałem cię? Te piekielne wodorosty...

Lilie u przystani były już zamknięte, ukryte w półmroku. Z szuwarów wzbił się z wdziękiem w powietrze biały łabędź. Stali chwilę i patrzyli, jak szybuje nad wodą machając skrzydłami, dopóki nie znikł wśród wierzb po drugiej stronie. Właśnie tak Irma będzie później najlepiej pamiętała Michała Fitzhuberta. W Bois de Boulogne, pod drzewami Hyde Parku, będzie stawał przed jej oczyma z pasmem jasnych włosów opadłym na oko, z twarzą na wprost odwróconą, by śledzić lot łabędzia.

Tej nocy od lasu sosnowego napłynęła góraska mgła i zalegała jeszcze długo rankiem. Zastłaniała widok na jezioro z okna Irmy w domku ogrodnika, toteż pan Cutler idąc do swoich szklarni przewidywał wczesną zimę. W sklepie Manassy jakiś klient, który wstąpił po gazetę, zapytał ze słabnącym zainteresowaniem:

– Są jakieś wiadomości o Tajemnicy Pensji? – Nie było żadnych. Przynajmniej takich, jakie mogłyby uchodzić za nowiny na werandzie Manassy. Miejscowi ludzie powszechnie uznali, że sprawa została zakończona i najlepiej puścić ją w niepamięć.

Ostatnia przejażdżka po jezioru. Ostatni lekki uścisk dłoni... Niewidoczny, niezauważony wzorzec pikniku nabierał coraz mroczniejszych odcieni i nadal się rozszerzał.

11

Siedząca przy stoliku śniadaniowym pani Fitzhubert spojrzała na spowity we mgle ogród i postanowiła wydać zarządzenie, aby pokojówki zaczęły pakować perkaliki, gdyż należało je wkrótce zamienić na aksamity i koronki w Tooraku.

– Ta szynka jest zdecydowanie przypieczona – utyskiwał pułkownik. – Gdzie się, u licha, podział Michał?

– Poprosił o kawę do swego pokoju. Musisz przyznać, że ci dwoje są idealnie dobrani.

– Zdecydowanie przypieczona! Kto?

– Irma Leopold i Michał, oczywiście.

– Do czego dobrani? Do reprodukcji gatunku?

– Nie bądź wulgarny. Widziałam wczoraj, jak szli nad jeziorko... Czy ty nie masz serca?

– Co, u diabła, moje serce ma wspólnego z przypieczoną szynką?

– Co tam szynka! Nie możesz zrozumieć? Cały czas próbuję ci powiedzieć, że nasza mała spadkobierczyni przychodzi dziś do nas na obiad!

Dla państwa Fitzhubertów punktualne pojawianie się wybornych posiłków wnoszonych na ogromnych tacach do pokoju stołowego było uświęconym rytuałem, określającym oraz regulującym ich skądinąd beczynne, bezkształtne dni. Jednocześnie z uderzeniem w gong hinduski w hallu coś w rodzaju gastronomicznego zegara w żołądkach Fitzhubertów dawało znać o nadejściu pory posiłku.

– Zdrzemnę się trochę po obiedzie, kochanie... Herbatę wypijemy na werandzie kwadrans po czwartej... Powiedz Albertowi, żeby zajechał powozem o piątej...

Obiad w Lake View był punkt o pierwszej. Irma, ostrzeżona przez Michała, że niepunktualność jest u gościa grzechem kardynalnym, wygładziła na ganku swoją szkarłatną szarfę i spojrzała na zegarek wysadzany diamentami. Mgła wreszcie ustąpiła przed gorącym żółtym blaskiem, w którym piętrząca się fasada willi pod osłoną dzikiego wina zdawała się dziwnie nierealna. Ponieważ Michał się nie pokazał, skierowała się ku mniej imponującemu wejściu z boku werandy. Odgłos dzwonka sprowadził pokojówkę z ciemnego wykładanego ceramicznymi płytkami korytarza, gdzie nad różnorodnością czapek, kapeluszy, płaszczy, raket tenisowych, parasoli, siatek przeciw muchom, hełmów korkowych i lasek górował smutny łeb łosia. W salonie, którego okna wychodziły na jeziorko, nawet powietrze wydawało się różowe, przesycone zapachem róż La France w srebrnych wazonach. Obłożona różowymi aksamitnymi poduszkami pani Fitzhubert wstała z różowej kanapy, aby powitać swojego gościa.

– Panowie zaraz się pojawią. Właśnie idzie mój mąż. Wszedł do hallu prosto z ogrodu różanego, w ubłoconych buciorach.

Irma, która widywała zachód słońca na Matterhornie i Tadż Mahal w blasku księżyca, wykrzyknęła szczerze, że ogród pułkownika jest najpiękniejszy ze wszystkich, jakie zna.

– Glinę jest bardzo trudno usunąć z dywanów – rzekła pani Fitzhubert. – Kiedyś sama się o tym przekonasz.

– Dziewczyna była naprawdę śliczna i swą zwodniczo prostą sukienkę nosiła z szykiem. Jej słomkowy kapelusz ze szkarłatnymi wstążkami pochodził niechybnie z Paryża.

– Pierwszy mojej mamy był z Francji.

– Aubusson? – spytała pani Fitzhubert.

Boże! Kiedyż wreszcie przyjdzie Michał?

– Ja mówię o mężach, nie o dywanach...

Pani Fitzhubert nie uznała tego za zabawne.

– Pułkownik zawsze mawiał mi w Indiach, że dobry dywan to po brylantach najlepsza inwestycja.

– Mama mówi, że gust męczyzny można najlepiej ocenić po doborze biżuterii. Tatuś jest niemal ekspertem od szmaragdów.

Starsza pani aż otworzyła swoje nieco zwiędłe usta.

– Doprawdy? – Nie było nic więcej do powiedzenia i obie damy zaczęły popatrywać z nadzieją ku drzwiom, które za chwilę otworzyły się i do salonu wszedł pułkownik, a za nim dwa stare spaniele z wywieszonymi ozorami.

– Leżeć, psy! Leżeć! Zakazuję wam lizać białe jak lilia rączki tej młodej damy! Ha! Ha! Lubi pani psy, panno Leopold? Bratanek mówi, że są za tłuste... Gdzie Michał?

– Pani Fitzhubert omiotła wzrokiem sufit, jakby bratanek mógł być ukryty w lambrekinowym obramieniu zasłon lub zwiśać głową na dół z kandelabra.

– Wie doskonale, że obiad jadamy o pierwszej.

– Wczoraj wieczorem mówił coś o spacerze do lasu sosnowego... ale to żadne usprawiedliwienie, żeby się spóźnić, gdy panna Leopold jest u nas po raz pierwszy na obiedzie – rzekł pułkownik, zwracając spojrzenie szklonieniebieskich oczu na gościa i machinalnie rejestrując szmaragdy na jej nadgarstku. – Będzie musiała pani poprzestać na towarzystwie starych pierników. Bardzo mi przykro, ale nikogo więcej nie będzie. W Klubie Kalkuckim zawsze uważano, że osiem osób to najlepsza liczba ludzi na przyjęcie obiadowe.

– Na szczęście nie mamy na obiad tych wstrętnych indyjskich kurcząt – powiedziała jego żona. – Pułkownik Sprack był tak uprzejmy, że przysłał nam wczoraj wieczorem kilka górskich pstrągów z letniej siedziby gubernatora.

Pułkownik spojrział na zegarek.

– Nie będziemy dłużej czekać na tego trzpiota, bo ryba się zrobi do niczego. Czy pani lubi pstrąga z rusztu, panno Leopold? – Irma oznajmiła uprzejmie, że uwielbia pstrągi, i jak się okazało, znała nawet odpowiednie do nich sosy. Pułkownik pomyślał, że ten idiota Michał byłby szczęśliwy, gdyby mu się udało zdobyć rękę małej spadkobierczyni. Czemu, u licha, się nie pokazał?

Ogólne uznanie dla delikatnego smaku pstrąga nie mogło wystarczyć dla podtrzymania rozmowy trzech osób w ciągu długiego niespiesznego posiłku. Nakrycie dla Michała zostało niebawem zabrane. Musowi z ozora towarzyszyły chwile przykrego milczenia mimo monologów gospodarza na temat hodowli róż i niewdzięczności Burów względem naszej miłościwej królowej. Z rozpaczliwym ożywieniem panie wszczęły dyskusję na temat rodziny królewskiej, butelkowania owoców – dla Armii najnudniejszej z tajemnic – i jako ostatniej deski ratunku: muzyki. Młodsza siostra pani Fitzhubert grywała na fortepianie, Irma zaś na gitarze „z barwnymi serpentynami, do wtóru boskich pieśni cygańskich”. Gdy tylko podano kawę, gospodarz zapalił cygaro i opuścił panie ewakuując się na różową sofę przy indyjskim rzeźbionym stoliku. Za oszklonymi drzwiami Irma widziała jezioro ołowiane pod pociemniałym niebem. W salonie zrobiło się nieprzyjemnie gorąco i pomarszczona twarz pani Fitzhubert to pojawiała się, to znów nikła w różowym powietrzu jak pysk kota z Cheshire w „Alicji z krainy czarów”. Czemu, ach, czemu Michał nie przyszedł na obiad? Ale oto pani Fitzhubert właśnie pyta, jak Irma ocenia panią Cutler jako kucharkę.

– Kochana pani Cutler! Gotuje jak anioł! Dostałam od niej przepis na boski tort czekoladowy.

– Pamiętam, jak uczyłam się robić majonez na pensji... kropla po kropli drewnianą łyżką. – Irma zstąpiła z lasu sosnowego, gdzie Michał błędził bezcieleśnie we mgle. Salon wirował.

Wreszcie zegar na kominku wybił godzinę, która wyznaczała koniec wizyty, i Irma wstała.

– Wyglądasz na trochę zmęczoną – powiedziała pani Fitzhubert. – Musisz pić dużo mleka.

Dziewczyna miała piękne maniery i niezły styl jak na siedemnastolatkę. Michał skończył dwadzieścia lat – w sam raz odpowiednia różnica wieku. Odprowadziła gościa do drzwi hallu – niezawodny znak aprobaty towarzyskiej – i wyraziła nadzieję, z przyczyn zbyt skomplikowanych, aby je w tym miejscu przytaczać, że Irma odwiedzi ich w Tooraku.

– Nie wiem, czy bratanek męża mówił, że zamierzamy wydać dla niego bal zaraz po Wielkanocy. Biedaczek zna tak mało młodych ludzi w Australii!

Po dusznym cieple salonu wilgotne, przesycone zapachem sosen powietrze w ogrodzie było błogo orzeźwiające. Nagły podmuch wiatru przeszedł jak dreszcz przez dzikie wino, strząsając purpurowe liście na żwir przed domem i pochylając kwiaty róż na klombie. Potem powietrze znów znieruchomiało i w ciszy rozeszło się echem po jezioru uderzenie zegara stajennego. Uszły już mgliste przejrzystości poranka. Mętne szafranowe chmury piętrzyły się na ciemnym niebie, las sosnowy tworzył na wierzchołku góry żelazną koronę o sztywnych kolcach. Po drugiej stronie lasu, daleko w dole, niewidoczne równiny połyskiwały falami miodowego blasku, a wśród nich wznosiła się mroczna rzeczywistość Wiszącej Skały. Doktor McKenzie miał rację: „Nie myśl o skale, drogie dziecko. Skała to koszmar, a kosmary należą do przeszłości”. Trzeba spróbować posłuchać starszego pana i skoncentrować się na teraźniejszości, tak pięknej tutaj, w Lake View, z białym pawiem rozpościerającym swój ogon na trawniku, z tłustymi szarymi gołębiami kolebiącymi się na różowych nóżkach, nowym uderzeniem stajennego zegara, pszczołami powracającymi do

uli w uchodzącym świetle. Kilka kropli deszczu spadło z plaśnięciem na słomkowy kapelusz. Pani Cutler wychodziła właśnie z drzwi swojego domku z parasolem.

– Pan Michał uważa, że nadciąga burza. Okropnie mnie rwą nagniotki.

– Michał? Widziała go pani?

– Kilka minut temu. Przychodził z listem do panienki. To dopiero piękne maniery... och, jej! Ten piękny kapelusz! – Kapelusz bowiem padł na lśniące linoleum pani Cutler.

– Głupstwo...już nigdy więcej go nie nałożę... proszę mi dać list. – Rozczarowana pani Cutler ujrzała, jak drzwi do jej najlepszego pokoju sypialnego zamknęły się przed jej nosem, chociaż przez cały dzień cieszyła się na popołudniową pogawędkę. Kapelusz jednak został podniesiony z podłogi, jego wstążki pilnie wyprasowane i jeszcze przez wiele lat mógł się ukazywać w kościele na pobożnej głowie pani Cutler.

W pokoju Army rolety były opuszczone, co chroniło przed codziennym upałem. Irma właśnie je podciągnęła i już, już miała otworzyć list, kiedy na niebie zarysowała się zygzakiem błyskawica. W rozbłysku błękitnego światła ukazał się wiąz ze znieruchomiałymi liśćmi. Nagle zerwał się potężny, dziwnie gorący wiatr, wiąz zadrżał i zaszeleścił liśćmi, firanki wyduły się w pokoju. Zagrzmiało i rozpętała się burza, a z brzuchatych chmur lunęły strugi deszczu, jakich ludzie nie pamiętali tu, w Macedon, które w kilka minut zmyły żwir z podjazdu i podniosły wody w strumieniach. W sadzawce w Lake View błotnista woda polała się na łeb kamiennej żaby. Łódź na jeziorku zerwawszy cumę chwiała się gwałtownie wśród lilii wodnych. Gnane zawieruchą na wpół utopione ptaki spadały na ziemię z miotanych drzew, martwy gołąb przeleciał szybując za oknem jak mechaniczna zabawka. Wreszcie deszcz i wiatr utraciły swoją początkową furję. Wyszło blade słońce, przemokłe trawniki i sponiewierane grządki kwiatów nabrały teatralnego blasku. Burza przeszła i Irma, wciąż stojąca przy oknie, otworzyła sztywną kwadratową kopertę.

Formalnie zaadresowana i doskonale bezosobowa, mogłaby zawierać jakieś zaproszenie albo rachunek, gdyby nie dziwnie dziecinny charakter pisma z kaligraficznymi brzuszkami i kreskami, pracowicie przyswojonymi w czasie krótkiego zetknięcia z klasykami na uniwersytecie w Cambridge. Tak czy owak samo wzięcie pióra do ręki wywoływało u Michała zawrót głowy, który sprawiał, że chłopak zapominał, co chciał napisać. List zaczynał się od przeproszenia za zbyt długie pozostanie w lesie, co sprawiło, że Michał spóźnił się na pstrąga („a tym bardziej na Ciebie”). Z rosnącą irytacją Irma odwróciła stronę.

Dziś rano otrzymałem z domu list, w którym kazano mi bezzwłocznie stawić się u naszego bankiera. Nudna sprawa, lecz cóż zrobić. Obecnie tkwię po uszy w pakowaniu moich rzeczy i będę musiał wyjechać rannym pociągiem. Na długo zanim się obudzisz! Ponieważ Lake View za kilka dni zostanie zamknięte na zimę, postanowiłem już tu nie wracać, co znaczy, że nie będę mógł się z Tobą pożegnać osobiście. Paskudna sprawa, lecz jestem przekonany, że zrozumiesz. Więc skoro już się nie spotkamy w Australii, bardzo Ci dziękuję, kochana Irmo, że byłaś dla mnie taka miła. Te ostatnie tygodnie byłyby bez Ciebie nie do zniesienia.

Ucałowania od Michała.

PS. Zapomniałem Ci donieść, że zamierzam zwiedzić całą Australię rozpoczynając od północnego Queensland. Czy Ty ją jako tako znasz?

Jak na kogoś, kto ma trudności z wypowiedzeniem się na papierze, autor listu wyraził swe myśli zdumiewająco dobrze.

Aczkolwiek w kronice wydarzeń jesteśmy z konieczności zainteresowani fizyczną akcją w świetle dnia, historia uczy nas, że duch ludzki wędruje najdalej w cichych godzinach między północą a brzaskiem, tych ciemnych owocnych godzinach, rzadko rejestrowanych, których tajemne kwiaty rodzą wojnę i pokój, miłość i nienawiść, koronacje i detronizacje. Co na przykład pulchna cesarzowa Indii planuje w łóżku, we flanelowej koszuli, w Balmoralu, w tę noc marcową tysiąc dziewięćsetnego roku, że się tak uśmiecha i zaciska małe uparte usteczka? Kto wie?

Tak samo w ciszy i milczeniu ciemne indywidua, które figurują na tych kartach, spiskują, cierpią i marzą. W sypialni pani Appleyard za szczelnie zasłoniętymi oknami łojowosza maska kobiety leżącej na łóżku jest literalnie rozdęta i splamiona złymi waporami, niewidzialnymi w świetle dnia. O kilka pokojów dalej ostra twarz małej Sary jest rozjaśniona snami o Mirandzie tak wypełnionymi radością i miłością, że nie chce się z nimi rozstać przez cały następny dzień i zbiera niezliczone upomnienia za nieuwagę, a za poduszczeniem panny Lumley zostaje przywiązana na pół godziny do deski ortopedycznej, ponieważ się garbi z powodu zwieszanej, ciężkiej od marzeń głowy. W Lake View zegar stojący wybijając piątą budzi kucharkę, która ziewa i wstaje, by ugotować owsiankę na wczesne śniadanie dla Michała. Michał już nie śpi po niespokojnej nocy, w ciągu której dręczyły go sny o załatwianiu spraw bankowych, pakowaniu się i zdobywaniu miejsca w ekspresie do Melbourne. Raz śni mu się, że Irma idzie spieszenie ku niemu korytarzem kołyszącego się wagonu.

– Tutaj, Michale – mówi – masz tu miejsce koło mnie – on zaś odpycha ją końcem swego parasola.

W domku ogrodnika Irma też słyszy, jak zegar wybija piątą. Na wpół na jawie patrzy, jak ogród nabiera barw i zarysów w świetle nadchodzącego dnia. Pod Wiszącą Skałą pierwsze szare światło rzeźbi kamienne płyty i wieżycy wschodniej ściany – a może to zachód... Jest popołudnie w dniu pikniku i cztery dziewczęta zbliżają się do rozlewiska. Irma znów widzi mieniący się strumień, brek pod czarnymi drzewami i jasnowłosego młodzieńca, który siedzi na trawce czytając gazetę. Gdy tylko go spostrzeże, odwraca głowę i już nie patrzy na niego. Czemu? Czemu?... „Czemu?” wrzeszczy paw na gazonie. Ponieważ wiedziałam już wtedy... Wiedziałam od początku, że Michał jest moim ukochanym.

12

O drugiej po południu w czwartek dziewiętnastego marca na Pensji Appleyard było zimno, cicho i pachniało pieczoną baraniną i kapustą. Właśnie zjedzono obiad i pokojówki odpoczywały. Popołudniowe lekcje jeszcze się nie zaczęły. Dora Lumley leżała na łóżku i ssała jak zwykle miętowe cukierki, natomiast Mademoiselle siedząc przy oknie wychodzącym na frontowy podjazd czytała ponownie list od Army, który otrzymała w porannej poczcie.

Lake View. Domek ogrodnika

Najdroższa Diano!

W pośpiechu – obie z panią C. tkwimy po uszy w pakowaniu – ledwie znalazłam pióro. Pani C. pyta, czemuż nie ma tu z nami tej ślicznej Francuzki, która mogłaby nam pokazać, jak składać sukienki. Piszę, aby Ci przekazać CUDOWNĄ nowinę – moi kochani rodzice wracają w tym tygodniu z Indii! Jadę do Melbourne, aby czekać na nich w naszym apartamencie w Menzies Hotel! Mam wrażenie, jakbym się zbliżała do końca długiej, bardzo długiej opowieści, jakby nagle zrobił się OSTATNI rozdział i już nie było nic więcej do czytania. No więc, najdroższa Diano, w drodze na stację, prawdopodobnie w czwartek po południu, wstąpię na pensję. Będzie to moja ostatnia okazja, aby się pożegnać z Tobą – i kochanymi koleżankami – serce mnie boli na myśl, że tam jeszcze pozostają – i oczywiście z Minnie i z Tomem, lecz mam nadzieję, że NIE z panią A., jeśli się tego da UNIKNAĆ! Okropne, że to mówię, ale rozmowa z nią to MEKA! Nie miałam okazji kupić Ci prezentu ślubnego, Diano – w sklepie Manassy nie ma nic prócz butów, dzemów i cynowych kociołków – przyjmij więc, proszę, moją szmaragdową bransoletkę, tę, którą dostałam w Brazylii od babci, co miała zieloną papugę, pamiętasz? Babcia już nie żyje, więc nie weźmie mi tego za złe. Pani C. pyta o ten niebieski szyfon, który Ci się tak podobał, więc muszę już bieć.

Kochająca Irma

PS. Gdy tylko przyjadę, pobiegnę prosto do Twego pokoju – albo do klasy, jeżeli właśnie będziesz miała lekcję, bez względu na to, czy to się pani A. podoba czy nie.

Mademoiselle była pierwszą z osób w kilku oknach, która zobaczyła powozik Husseya zajeżdżający na podjazd. Z powoziku wysiadła Irma w szkarłatnej pelerynce i toczku ze szkarłatnymi piórami, które rozwiewał wiatr. Przełożona siedząca przy swoim biurku na parterze też ją zobaczyła i ku zdumieniu Mademoiselle – takie naruszenie form towarzyskich było nie spotykane na pensji – sama ukazała się w drzwiach hallu, zanim Francuzka zdążyła zejść do połowy schodów, i wciągnęła gościa do gabinetu na chłodnej fali formalnego powitania. W pochmurne popołudnie pozwalano, by jeden z posągów na podeście pierwszego piętra rzucał blade światło. Z mroku wyłoniła się Dora Lumley.

– Mam'selle! Pani gotowa? Spóźnimy się na lekcję gimnastyki.

– Ach, ta okropna gimnastyka! Idę teraz na dół.

– Ostatnio dziewczętom tak rzadko pozwala się przebywać na świeżym powietrzu... Z pewnością zgodzi się pani, że przyda im się trochę ćwiczeń fizycznych?

– Ćwiczeń! Masz na myśli te śmieszne tortury z drążkami i hantlami? Młode dziewczęta powinny spacerować pod drzewami w lekkich letnich sukienkach objęte ramionami młodych mężczyzn.

Dora Lumley poczuła się zbyt zgorzonna, by odpowiedzieć.

Wizyta Irmy Leopold, z punktu widzenia pani Appleyard, nie mogła wypaść w gorszym czasie. Tego ranka przełożona otrzymała wielce niepokojący list od pana Leopolda, napisany zaraz po przybyciu do Sydney i domagający się wszczęcia nowego i pełniejszego zbadania wypadków, które doprowadziły do nieszczęścia, jakie się wydarzyło na pikniku. „Nie tylko ze względu na moją córkę, cudownie ocaloną, lecz również ze względu na rodziców pozostałych ofiar, którzy wciąż nie wiedzą nic o losie swoich dzieci”. Była jeszcze wzmianka o jakimś pierwszorzędnym detektywie ze Scotland Yardu, który ma zostać sprowadzony na koszt pana Leopolda, i innych groźących okropnościami, niemożliwych do zlekceważenia.

Ku zaskoczeniu Irmy gabinet przełożonej okazał się o wiele mniejszy, niż go pamiętała. Poza tym nic się nie zmieniło. Był w nim ten sam zapach wosku i świeżego atramentu. Czarny marmurowy zegar na kominku tykał tak samo głośno. Zapanowało długie, niekończące się milczenie. Pani Appleyard usadowiła się za biurkiem i Irma z prostego nawyku wykonała ukłon. Kamea na okrytej jedwabiami piersi wznosiła się i opadała w dawnym nieugiętym rytmie.

– Usiądź, Irmo. Słyszałam, że już całkowicie wróciłaś do zdrowia.

– Dziękuję, proszę pani. Czuję się już doskonale.

– I nadal nie pamiętasz swoich przeżyć na Wiszącej Skale?

– Nic a nic. Doktor McKenzie powiedział mi jeszcze wczoraj, że mogę nigdy już nie przypomnieć sobie, co się zdarzyło, odkąd zaczęłyśmy się wspinać.

– To wielkie nieszczęście. Dla wszystkich zainteresowanych.

– Bardzo dobrze o tym wiem, proszę pani.

– Podobno wkrótce wyjeżdżasz do Europy?

– Mam nadzieję, że za kilka dni. Moi rodzice uważają, że będzie dobrze, jeśli na jakiś czas opuszczę Australię.

– Rozumiem. Szczerze mówiąc, Irmo, żałuję, że twoi rodzice nie uznali za stosowne, abyś ukończyła wykształcenie na Pensji Appleyard, zanim rozpoczniesz życie towarzyskie za granicą.

– Mam już siedemnaście lat, więc jestem dość dorosła, by móc poznawać świat.

– Jeśli mi wolno powiedzieć, skoro już nie jesteś pod moją pieczę, twoje wychowawczynie stale się skarżyły, że nie przykładasz się do nauki. Nawet dziewczyna o takich perspektywach jak twoje powinna znać ortografię. – Ledwie wypowiedziała te słowa, a już zdała sobie sprawę, iż popełniła błąd strategiczny. Musiała nade wszystko się starać, aby nie zrazić do siebie jeszcze bardziej państwa Leopoldów. Pieniądze to potęga. Pieniądze to siła i bezpieczeństwo. Nawet za milczenie trzeba płacić. Dziewczyna zrobiła się niepokojąco blada.

– Ortografię? A czy ortografia ocaliła nas od tego, co się stało na pikniku? – Mała dłoń w rękawiczce uderzyła mocno o blat biurka. – Powiem pani coś, proszę pani. Wszystkie pożyteczne rzeczy, jakich się nauczyłam tu, na pensji, pochodzą od Mirandy.

– Szkoda – powiedziała przełożona – że nie przyswoiłaś sobie odrobiny wspaniałego opanowania Mirandy. – Z ogromnym wysiłkiem woli, który sprawił, że wszystkie jej mięśnie i nerwy stały się napięte, wstała i nawet zdobyła się na zapytanie, czy przed podróżą do Melbourne Irma chciałaby spędzić noc w swoim dawnym pokoju.

– Nie, dziękuję. Pan Hussey czeka na mnie na podjeździe. Ale chciałabym się zobaczyć z dziewczętami i Mademoiselle, nim odjadę.

– Proszę bardzo. Mademoiselle i panna Lumley są w sali gimnastycznej. Myślę, że na ten raz można odstąpić od reguły. To wbrew dyscyplinie, ale możesz wejść i się pożegnać. Powiedz Mademoiselle, że masz moje zezwolenie.

Nastąpił lodowaty uścisk dłoni i Irma wyszła już po raz ostatni z pokoju, gdzie tak często stała – dawno, dawno temu, jako uczennica – w oczekiwaniu na polecenia i reprimendy, ilekroć przełożona zapragnęła. Nie bała się już tej kobiety za zamkniętymi drzwiami, której ręka owładnięta nieopanowanym drżeniem sama sięgnęła pod biurko po koniak.

Minnie, ukryta w cienistych rejonach za kotarą z zielonego rypsu, nadbiegła ku Irmie z otwartymi ramionami.

– Kochana panna Irma! Tom mi powiedział, że panienka przyjechała. Niechże się panience przyjrzę... No, no! Prawdziwa młoda dama!

Irma schyliła się i ucałowała ciepłą miękką szyję zalatującą tandetnymi perfumami.

– Kochana Minnie! Tak miło cię znów widzieć.

– I ja się cieszę, że widzę panienkę. Czy to prawda, że po Wielkanocy panienka już do nas nie wróci?

– Prawda. Wstąpiłam tylko po to, żeby się z wami wszystkimi pożegnać.

Pokojówka westchnęła.

– Wcale panienki nie ganię. Choć będzie nam smutno bez panienki. Okropnie tu ostatnimi czasy.

– Wierzę – rzekła Irma rozglądając się po ponurym hallu, którego nawet paśowe dalekie pana Whiteheada stojące w mosiężnych wazach nie potrafiły rozświetlić. Minnie zniżyła głos do szeptu:

– A te wszystkie zakazy i zarządzenia! Dziewczeta nie mogą otworzyć buzi po lekcjach! Dzięki Bogu, za kilka dni oboje z Tomem wyjeżdżamy.

– Och, Minnie, jakże się cieszę... Pobieracie się?

– W Poniedziałek Wielkanocny. Tego samego dnia co i Mademoiselle. Powiedziałam jej, że to chyba za sprawą świętego Walentego, a ona odpowiedziała poważnie: „Chyba masz rację, Minnie”. Święty Walenty jest patronem zakochanych.

Sala gimnastyczna, nazywana przez pensjonarki Komorą Okropności, była długim wąskim pokojem w zachodnim skrzydle, oświetlonym jedynie szeregiem okratowanych okienek w suficie i przeznaczonym przez pierwotnego właściciela dla Bóg wie jakich celów: być może jako dodatkowa spiżarnia lub miejsce przechowywania niepotrzebnych mebli. Obecnie na nagich ścianach pobielonych wapnem rozmieszczono rozmaite urządzenia mające wspomóc zdrowie i urodę dziewcząt. Była tam drabinka linowa

zawieszona u sufitu, para metalowych kółek i drażki. W kącie leżała wyściełana deska zaopatrzona w skórzane paski, na której mała Sara stale besztana za garbienie się, miała tego popołudnia spędzić godzinę poświęconą gimnastyce. Żelazne hantle, które jedynie Tom potrafił udźwignąć, ciężarki do balansowania na delikatnych dziewczęcych główkach i stosy ciężkich maczug gimnastycznych dawały wyraz despotycznemu lekceważeniu podstawowych praw natury ze strony władzy.

W końcu pomieszczenia, na podium wzniesionym o kilka stóp nad podłogą, siedziały panna Lumley i Mademoiselle.

Pierwsza z nich wypatrywała najdrobniejszych uchybień, druga bębniła na pianinie „Marsz żołnierzy z Harlech”. Raz, dwa, raz, dwa, raz, dwa. Trzy rzędy dziewcząt w majtkach z czarnej serży, czarnych bawełnianych pończochach i białych tenisówkach apatycznie robiły przysiady w takt wojskowej melodii. Dla Mademoiselle te lekcje gimnastyki były prawdziwą udręką. Niebawem, gdy przyjdzie czas pięciominutowej przerwy, obwieści dziewczętom, że Irma Leopold jest już tutaj i wkrótce przyjdzie do sali gimnastycznej, żeby się z nimi pożegnać. Raz, dwa, raz, dwa... Możliwe jednak, myślała bębniąc w klawisze, że one już o tym wiedzą. Raz, dwa, raz, dwa...

– Fanny – powiedziała odejmując na chwilę dłonie od klawiatury – straciłaś rytm. Zwróć większą uwagę na muzykę!

– Fanny, masz kreskę – mruknęła panna Lumley gryzmołąc w notesiku. Ociężałe ruchy nóg i ramion przeczyły wyrazowi czternastu par oczu strzelających na boki. Raz- -dwa, raz-dwa... czujne i przebiegłe jak oczy królika w drewnianej klatce. Raz, dwa, raz, dwa, raz, dwa... to monotonne dudnienie było nieludzkie, niemal nie do zniesienia.

Drzwi sali gimnastycznej zaczęły się wolniutko otwierać, jakby ktoś wchodził bardzo niechętnie. Wszystkie oczy zwróciły się w ich stronę i marsz ucichł w pół taktu. Mademoiselle wstała z uśmiechem od pianina, gdy Irma Leopold, promienna w szkarłatnej pelerynce, stanęła w progu.

– Wejdz, Irmo! *Quelle bonne surprise! Mes enfants*, przez dziesięć minut możecie swobodnie rozmawiać. *Voilà*, przerwa w ćwiczeniach! – Irma, która zrobiła kilka kroków ku środkowi sali, zatrzymała się nagle niepewnie i uśmiechnęła.

Nie powitały jej uśmiechy ani radosny szmer podniecenia. Szeregi rozstały się w milczeniu z szuraniem stóp w tenisówkach na posypanej trocinami podłodze. Nauczycielka spojrzała z ciężkim sercem na uniesione w górę twarze w dole. Czternaście par oczu utkwilo wzrok w czymś, co było poza nią, czymś za pobielonymi ścianami. Było to szkliste spojrzenie zwrócone do wewnątrz, spojrzenie lunatyków. Dobry Boże, cóż te nieszczęsne dzieci widzą, czego ja nie mogę ujrzyć? Roztacza się przed nimi jakaś wizja, a ona nie śmie rozerwać jej napiętej, cienkiej jak pajęczyna tkanki ani jednym słowem.

A one widziały, jak ściany sali gimnastycznej robią się przejrzyste, sufit rozchyła się jak kwiat w stronę jasnego nieba nad Wiszącą Skałą. Lśniący cień skały płynie niczym woda przez roziskrzoną równinę, a one są znów na pikniku i siedzą na cieplej, suchej trawie pod gumowcami. Nad strumieniem nakryto do posiłku. Widzą kosz z żywnością i inna Mademoiselle – pogodna, z twarzą ocienioną rondem kapelusza – podaje Mirandzie nóż, żeby pokroiła tort w kształcie serca. Widzą Manon Quade z kanapką w jednej i ołówkiem w drugiej ręce, i widzą pannę McCraw, która nie pamięta o jedzeniu, lecz siedzi wsparta o pień drzewa w swoim ciemnobrązowym płaszczku. Słyszą Mirandę, jak wznosi toast za

świętego Walentego. Słyszą glosy srok i plusk spadającej wody. Inna Irma, Irma w białej muślinowej sukience, potrząsa lokami i śmieje się z Mirandy myjąc kubki w strumieniu... Mirandy bez kapelusza, ze lśniącymi jasnymi włosami. Piknik nie byłby radosny bez Mirandy... Tej Mirandy przychodzącej i odchodzącej w olśniewającym blasku. Jak tęcza... Och, Mirando, Manon, gdzie jesteście?... Cień skały wydłużył się i sposepniał. Stoją jak przykute do ziemi i nie mogą się poruszyć. Ów straszliwy cień jest żywym potworem sunącym ociężale ku nim przez równinę i rozrzucającym wokół kamienie i głązy. Jest już tak blisko, że widzą szczeliny i zagłębienia, gdzie w jednej z jaskiń leżą rozkładające się szczątki zaginionych dziewcząt. Jedna z młodszych dziewczynek na wspomnienie słów Biblii o tym, że ciała zmarłych są wypełnione pełzającym robactwem, zaczyna gwałtownie wymiotować na posypaną trocinami podłogę. Ktoś przewraca stołek, a Edyta zaczyna głośno krzyżeć. Mademoiselle, rozpoznając w tym krzyku znajome hienie dźwięki hysterii, podchodzi na skraj podium z łomocącym sercem.

– Edyto! Skończ z tym okropnym krzykiem! Blanche! Juliano! Uciszcie się! Uciszcie się wszystkie! – Za późno. Jej rozkazujący głos nie dochodzi do uszu dziewcząt, a namiętności tłące się dotychczas pod szarżyzną dyscypliny i tajonych lęków wybuchają płomieniami.

Na pokrywce pianina stał mały gong mosiężny, w który zwykle się uderzać w celu przywrócenia ciszy i porządku. Mademoiselle uderzyła w ten gong teraz całą mocą szczupłego ramienia. Młodsza z nauczycielek cofnęła się za stołek pianina.

– Nie ma sensu, Mam'selle. Tu nic pomoże ani gong, ani nic innego. One się zbuntowały.

– Niech pani spróbuje się wymknąć niepostrzeżenie i sprowadzi przełożoną. Sprawa jest poważna.

– Pani się boi, prawda? – zadrwiła młodsza nauczycielka.

– Tak, panno Lumley. I to bardzo.

Ponad morzem nacierających głów i ramion, w środku którego stała Irma otoczona śmiejącymi się lub łkającymi dziewczętami, drżała kitka szkarłatnych piór, unosząc się i opadając jak zraniony ptak. Wśród rosnącej wrzawy pobrzmiwał rechot zła. Po latach, kiedy Madame Montpellier opowiadała swoim wnuczętom tę dziwną opowieść o panice w australijskiej szkole – to było pięćdziesiąt lat temu, *mes enfants*, lecz wciąż mi się to śni – scena ta przybrała rozmiary koszmaru. *Grand-mere* niewątpliwie skojarzyła ją z jedną z tych ohydnych starych rycin przedstawiających sceny z czasów Rewolucji Francuskiej, które ją tak przerażały, gdy była małą dziewczynką. Opisywała dzieciom te idiotyczne czarne majtasy, narzędzia tortur w sali gimnastycznej, rozhisteryzowane pensjonarki z twarzami wykrzywionymi szaleństwem, ich rozwichrzone włosy, ręce jak szpony.

– Myślałam, że stracą panowanie i rozedrą ją na strzępy. Zemsta, bezsensowna, bezlitosna zemsta. Oto czego chciały... Teraz to rozumiem. Pragnęły zemsty na tej ślicznej dziewczynie, która była niewinną przyczyną tylu cierpień...

Teraz zaś w to miłe marcowe popołudnie roku tysiąc dziewięćsetnego była to ohydna rzeczywistość, której młoda Francuzka, Dianne de Poitiers, musiała samotnie stawić czoło. Lekko uniósłszy szeroką jedwabną spódnicę zeskoczyła z podium i chciała podbiec do kłębiącej się grupy, gdy coś ostrzegło ją, aby podeszła raczej spokojnym krokiem z wysoko uniesioną głową.

Tymczasem Irma, słaba i kompletnie oszołomiona, była bliska uduszenia. Ta delikatna dziewczyna, która zwykle tak lamentowała nad rozmaitymi niewieściami zapachami i twierdziła, że potrafi wyczuć nasyconą miętą obecność panny Lumley na dwa metry, stała otoczona wianuszkami gniewnych twarzy powiększonych niemiłą bliskością. Ogromnie wyolbrzymiony mały zadarty nosek Fanny z widocznymi wewnątrz włoskami ział jak paszcza teriera. Przepastne usta ze złotą plombą w jednym z zębów – to z pewnością Juliana – wilgotny koniuszek zaślinionego języka. Czuła ich ciepły kwaśny oddech na swoich policzkach. Rozgrzane ciała gniotły jej wrażliwe piersi.

Krzyknęła przestraszona i daremnie usiłowała odepchnąć dziewczęta. Jakaś jakby odłączona od ciała księżycowata twarz uniosła się nad napierający tłum.

– Edyto! To ty?!

– Tak, złotko. To ja. – W swojej nowej roli herszta Edyta przeszła samą siebie filuternie kiwając grubym paluszkami. – No, Irmo, powiedz nam. Dość długo czekałyśmy na to.

Inne tręcały ją łokciami i pomrukiwały.

– Edyta ma rację. Powiedz nam, Irmo... powiedz.

– Co mogę wam powiedzieć? Czyście oszalały?

– O Wiszącej Skale – rzekła Edyta, przepychając się do niej. – Chcemy, żebyś nam opowiedziała, co stało się z Mirandą i Marion Quade. – Ta bardziej milcząca z nowozelandzkich sióstr dodała głośno:

– Nikt w tej szcurzej jamie o niczym nam nie mówi!

– Rozległy się inne głosy: – Gdzie Miranda, gdzie Marion Quade?

– Nie mogę powiedzieć, bo nie wiem.

Zyskawszy nagle siłę, która pozwoliła jej szczupłemu ciału przedrzeć się klinem przez zwarte szeregi, Mademoiselle znalazła się przy Irmie i wzięła ją pod rękę. Krzyknęła swym słabym głosikiem:

– *Imbeciles!* Nie macie rozumu? Nie macie serc? Jakże *la pauvre* Irma może wam powiedzieć coś, czego sama nie wie?

– Wie dobrze, tylko nie chce mówić. – Śliczna jak u lalki twarz Blanche była czerwona z gniewu pod zmierzwionymi lokami. – Irma lubi mieć dorosłe sekrety. Zawsze lubiła.

Wielka głowa Edyty zaczęła się kiwać jak u mandaryna.

– Jeżeli ona nie chce, to ja wam powiem. Słuchajcie wszystkie! One nie żyją... nie żyją. Miranda i Marión, i panna McCraw. Leżą wszystkie martwe w jakiejś paskudnej przedwiecznej jaskini pełnej nietoperzy na Wiszącej Skale.

– Edyto Horton! Kłamiesz i jesteś głupia! – Dłoń Mademoiselle uderzyła mocno Edytę w policzek. – Matko Boska – zaczęła się głośno modlić Francuzka. Rosamunda, która nie brała w tym wszystkim udziału, też się modliła. Do świętego Walentego. Był jedynym świętym, jakiego znała, toteż zupełnie słusznie modliła się do niego. Miranda kochała świętego Walentego. Wierzyła w potęgę miłością – Święty Walenty, nie wiem, jak się należy do ciebie modlić... drogi święty Walenty, spraw, aby one dały spokój Irmie i ze względu na Mirandę darzyły się wzajem miłością.

Nieczęsto dobry święty Walenty – tradycyjnie patronujący drobnym frywolnościom miłości romantycznej – słyszy modlitwy o tak niewinnej żarliwości. Słusznie więc jemu właśnie przypisujemy szybką i skuteczną interwencję za pośrednictwem uśmiechniętego wysłannika niebios w osobie Irlandczyka Toma, który się ukazał z rozdziawionymi ustami

w całej swej męskiej okazałości w drzwiach sali gimnastycznej. Dobry, kochany, bezzębny Tom prosto z wizyty u dentysty w Woodend, który mimo obolałych szczęk nie posiadał się z radości, że te biedactwa raz wreszcie urządziły jakieś figle. Uśmiechając się z szacunkiem do Mademoiselle czekał cierpliwie na przerwę w dokazywaniu (czegokolwiek miałoby dotyczyć), aby móc przekazać panie Irmie wiadomość od Bena Husseya.

Przybycie Toma spowodowało chwilowe odwrócenie uwagi dziewcząt od Irmy, która je wykorzystwała, aby się uwolnić. Rosamunda podniosła się z klęczek, Edyta przycisnęła dłoń do piekącego policzka. Poślaniec przekazał wyrazy szacunku pana Husseya oraz wiadomość, iż jeśli panna Irma zamierza złapać ekspres do Melbourne, niech natychmiast przyjdzie, i dodał już od siebie:

– I życzę panience powodzenia od siebie i od wszystkich w kuchni. – W ten sposób sprawa została szybko i prosto zażegnana. Dziewczęta rozstąpiły się grzecznie, aby Irma mogła przejść, i Mademoiselle pocałowała ją leciutko w policzek.

– Znajdziesz swój parasol w hallu, *ma chérie... au revoir*, kiedyś się spotkamy. – (Ach, lecz nigdy... nigdy nie spotkały się, gołąbeczki).

Wśród dziewcząt, które patrzyły, jak Irma kroczy z dawnym wdziękiem ku drzwiom sali gimnastycznej, dał się słyszeć zdawkowy pomruk słów pożegnania. Przepelniona bezbrzeżnym współczuciem z powodu nieodgadzionych, nigdy nie wyjaśnionych smutków, Irma odwróciła się, pomachała drobną dłonią w rękawiczce i uśmiechnęła się blado. W ten sposób usunęła się z Pensji Appleyard i z ich życia.

Mademoiselle spojrzała na zegarek.

– Jesteśmy dziś spóźnione, dziewczęta. – W sali gimnastycznej, zawsze słabo oświetlonej, zaczynało się robić ciemnawo. – Idźcie do swoich pokoi i przed kolacją przebierzcie się z tych brzydkich majtek w coś ładnego.

– Czy mogę włożyć różową sukienkę? – spytała Edyta.

Nauczycielka spojrzała na nią bystro.

– Możesz włożyć, co zechcesz.

Tylko Rosamunda zwlekała z wyjściem.

– Czy pomóc pani posprzątać?

– Nie, dziękuję ci, Rosamundo. Mam migrenę i chciałabym przez chwilę pobyć sama. – Drzwi za dziewczynką się zamknęły. Dopiero teraz Mademoiselle uświadomiła sobie, że Dora Lumley nie wróciła z przełożoną.

Niełatwo wyjść z godnością z wąskiej szafki, w której się siedzi, zgięta wpół, z okiem przylepionym do dziurki od klucza. Piękny to widok! Dora Lumley, która uznała za roztropne wyjść teraz ze swego bezpiecznego ukrycia, nie wierzyła własnym uszom.

– Więc to tak! Dzielna żabka wylazła wreszcie ze swojej jamki!

Kropelki śliny zwilżyły suche wargi Dory Lumley.

– Pani mnie obraża, Mam'selle!

Dianne składając skrupulatnie nuty rzuciła jej pogardliwe spojrzenie.

– Powinnam była się domyślić! Pani nie próbowała nawet dotrzeć do przełożonej?

– Było za późno! Ktoś mógł mnie zobaczyć... Sądziłam, że lepiej zostać i poczekać, aż się wszystko skończy.

– W szafce? Co za wstyd!

– Czemu? Dziewczęta zrobiły z siebie okropne widowisko. Nie mogłam nic na to poradzić.

– Więc niech się pani postara choć teraz mi pomóc zrobić trochę porządku w tej okropnej sali. Nie chcę, aby jutro rano służba zobaczyła tu coś niezwykłego.

– Rzecz w tym, Mam'selle, co powiemy pani Appleyard.

– Nic.

– Nic?

– Chyba mówię wyraźnie. Nic.

– Pani mnie zdumiewa! Gdyby to ode mnie zależało, wszystkie dostałyby lanie.

– Jest takie słowo w języku francuskim, które pasuje do pani: *à merveille*, Doro Lumley. *Malheuresement*, przyzwoici ludzie go nie używają.

Błede policzki panny Lumley poczerwieniały.

– Jak pani śmie tak do mnie mówić! Jak pani śmie! Sama poinformuję panią Appleyard o tych bezecnych wybrykach. Jeszcze dziś wieczorem.

Dianne podniosła z podłogi maczugę do gimnastyki.

– Widzi pani to? Mam wyjątkowo silne ręce, panno Lumley. Jeżeli pani mi nie przyrzeknie, że nie piśnie ani słówka o tym, co się zdarzyło dzisiaj po południu... zdziele panią tą maczugą. I nikt nie uwierzy, że to zrobiła nauczycielka francuskiego. Rozumie pani, co mówię?

– Pani nie jest godna sprawować opieki nad niewinnymi dziewczynkami.

– Zgoda. Wychowałam się w przewidywaniu znacznie ciekawszego losu. *Alors! C'est la vie*. Przyrzeka pani?

Dora Lumley spoglądając rozpaczliwie ku zamkniętym drzwiom zdecydowała, że nie zdoła do nich dopaść przy swojej zadyszce i platfusowatych stopach.

Francuzka kręciła maczugą.

– Mówię zupełnie serio, panno Lumley. Choć nie zamierzam tłumaczyć dlaczego.

– Przyrzekam – wysapała Dora Lumley, trzęsąca się teraz i biała jak marmur. Mademoiselle odłożyła maczugę na miejsce.

– Boże miłosierny! Co to za dziwny odgłos?

Z dalekiego kąta sali, teraz nieomal pogrążonego w ciemnościach, dobiegał szloch. Panna Lumley zapomniała wskutek przykrych wydarzeń tego popołudnia rozpiąć skórzane paski, którymi mała Sara była przymocowana do poziomej deski.

13

Można się tylko domyślać, czy pani Appleyard dowiedziała się z czasem o wypadkach, które zostały właśnie opowiedziane. Jest mało prawdopodobne, by Dora Lumley złamała dane Mademoiselle przyrzeczenie. Tego wieczoru przy kolacji, której przewodniczyła sama przełożona, co czasem lubiła czynić, dziewczęta zachowywały się grzecznie i cicho, choć nie przejawiały wielkiego apetytu. Wywiązała się dosyć chaotyczna rozmowa i nie zdarzyło się nic specjalnego, oprócz nieobecności Sary Waybourne z powodu migreny, i skargi Edyty Horton na ból newralgiczny w prawym policzku. Edyta przypuszczała, że to z powodu przeciągów w sali gimnastycznej.

– W sali gimnastycznej rzeczywiście bywają okropne przeciągi – wtrąciła Mademoiselle ze swojego końca stołu.

Przełożona, siedząca z ponurą miną po drugiej stronie, przypuściła szturm na kotlet z jagnięcia, zupełnie jakby ćwiartowała rekina ludojada. W rzeczywistości zaprzętało ją coś znacznie ważniejszego, a kotlet był zaledwie zewnętrznym objawem jej wewnętrznego konfliktu dotyczącego dwóch listów, jednego od pana Leopolda, drugiego zaś od ojca Mirandy, na które jeszcze nie odpisała. Ze względu na morale podopiecznych czuła się jednak w obowiązku podtrzymać rozmowę, zmusiła się zatem, aby zapytać siedzącą po jej prawej ręce Rosamundę, czy Irma Leopold popłynie do Anglii statkiem linii Orient czy też P. & O.

– Nie wiem, proszę pani. Irma była tak krótko, że prawie z nią nie rozmawialiśmy.

– My z siostrą uznałyśmy, że wygląda na bladą i zmęczoną – zapiszczała bardziej rozmowna z nowozelandzkich sióstr.

– Doprawdy? Irma zapewniała mnie, że czuje się doskonale. – Złoty zameczek przy grubym łańcuchu bransoletki przełożonej zagrzechotał o talerz. Wzdrygnęła się i wyobraziła sobie, że siedząca u drugiego końca stołu Francuzka patrzy na nią jakoś dziwnie. Zauważyła iskrzące się szmaragdy na jej nadgarstku i zastanowiła się, czy nie są za duże na to, aby mogły być prawdziwe. Widok klejnotów znowu skierował jej myśli na państwa Leopoldów, którzy podobno mają kopalnię diamentów w Brazylii. Dźgnęła zajadle kotlet i postanowiła, że choćby miała siedzieć całą noc, musi dać Tomowi wczesnym rankiem oba listy do wysłania.

Zaraz po kolacji i odmówieniu modlitwy dziękczynnej za zjedzoną zapiekankę z ryżu ze śliwkami przełożona wstała od stołu, udała się do swojego gabinetu, zamknęła drzwi na klucz i zasiadła z piórem w dłoni do obmierzłego zadania.

Większość kobiet w tak niebezpiecznej sytuacji, tak uwikłanej w tysiące spraw ubocznych, dawno by zastosowało najprostsze wyjście. Jeszcze teraz byłoby możliwe

zakomunikować, dajmy na to, konieczność załatwienia pilnej sprawy w Anglii i zamknąć pensję na dobre. Nawet ją sprzedać, za ile się da, w obecnym stanie. Jak ten stan się nazywa? „Reputacją interesu”. Zgrzytnęła zębami. Niezła reputacja! Ze na pensji straszy i Bóg wie jakie jeszcze bzdury. To nic, że przesiaduje większość dnia za zamkniętymi drzwiami gabinetu, ma przecież oczy i uszy. Zaledwie wczoraj kucharka powiedziała Minnie, że we wsi się mówi o dziwnych światłach pojawiających się na terenie pensji po zapadnięciu zmroku.

W przeszłości pani Appleyard i jej Artur stąpali ramię w ramię po niebywale cienkim lodzie. Nigdy jednak nie stali przed sytuacją nasyconą tak osobistą i publiczną klęską. Gdy weźmie się miecz i przeszyje nim trzewia wroga w świetle dziennym, to sprawa fizycznej odwagi, natomiast uduszenie niewidzialnego wroga w ciemnościach nocy wymaga całkiem odmiennych cech. Tej nocy przełożona całą swą istotą pragnęła zdecydowanego działania. Tak, ale jakiego rodzaju działania? Nawet sam Artur nie mógłby wypracować żadnej strategii, póki ta przekłeta tajemnica Wiszącej Skały pozostawała nie rozwiązana.

Zanim zabrała się do pisania listów, wyjęła już po raz drugi tego dnia z dolnej szuflady biurka księgę pensji i pilnie ją przestudiowała. Z obecnych kalkulacji wyglądało na to, że tylko około dziewięciu uczennic mogło powrócić na pensję po Wielkanocy. Jeszcze raz przebiegła spis nazwisk. Ostatnią ze skreślonych była Edyta Horton, której nieznośna głupia matka zaledwie dziś przysłała list obwieszczający, iż ma dla swojej jedynaczki „inne plany”. Przed kilku miesiącami podobna wiadomość została przyjęta z ulgą, a miejsce nieuka dałoby się z łatwością wypełnić. Bez Edyty pozostawało jedynie dziewięć uczennic, włącznie z Sarą Waybourne. W szafce za biurkiem stała butelka koniaku. Przełożona otworzyła ją i nalała sobie pół kieliszka. Ognisty płyn rozjaśnił jej myśli. Usiadła za biurkiem i zaczęła kreślić zdania bezosobowym kaligraficznym pismem, które zupełnie nie zdradzało charakteru i żelaznej woli kobiety trzymającej pióro. Była prawie trzecia, gdy listy zostały zaklejone, opieczętowane i przełożona powlokła swe znużone ciało na górę do sypialni.

Następny dzień przeszedł bez szczególnych zdarzeń. Poczta przyniosła wiadomość od posterunkowego Bumphera, że nie ma żadnych nowin w sprawie, lecz jeden z detektywów z Russell Street pragnąłby się spotkać z panią Appleyard w przyszłym tygodniu, o ile to możliwe. Jest kilka punktów odnośnie do szkolnej dyscypliny w okresie poprzedzającym piknik, które na prośbę niektórych rodziców należałoby wyjaśnić... Pogoda była ładna i pan Whitehead poprosił o długo odkładany wolny dzień, który spędził ze zdjętymi butami, czytając „Wiadomości Ogrodnicze”. Tom krzątał się wokół swych zajęć z obolałą szczęką obwiązaną kawałkiem flanelowej spódniczki Minnie, a Sara Waybourne na specjalne polecenie Mademoiselle przeleżała większą część dnia w łóżku. Poza tym wszystko było jak zwykle.

Sobota to zazwyczaj dzień poświęcony sprawom domowym i gospodarskim. Dziewczęta zajmowały się naprawą odzieży i pisaniem listów do domu – ich korespondencja podlegała ścisłej cenzurze w kwaterze głównej przy lampce spirytusowej stojącej na biurku – grały przy pięknej pogodzie w krykieta lub tenisa albo spacerowały bez celu po terenach pensji. Tom właśnie strasznie się męczył rozmową z panną Buck przy grzędce dalii, kiedy przyjazd dorożki pana Husseya przed frontowe drzwi uwolnił go z opresji. Nie było jednak bagażu do zanieśienia – z dorożki wysiadł tylko młody człowiek

mniej więcej w wieku Toma, w wytartym ubraniu i z wyświechtaną teczką, który poprosił woźnicę, aby zaczekał gdzieś z dala od frontowych okien na instrukcje. Mimo że ów młody człowiek był bardzo niepozorny, Tom od razu rozpoznał w nim zarozumiałego braciszka panny Lumley. Po kilku miesiącach niebytności Reg Lumley przyjechał złożyć wizytę swojej siostrze. Czemu jednak, na Boga, wybrał sobie właśnie ten dzień? myślała przełożona patrząc, jak Reg wkłada rękawiczki i obciąga na sobie wyświechtaną kurtkę przed pociągnięciem za rączkę dzwonka. Pani Appleyard, która chlubiła się skrycie, że potrafi się pozbyć niepożądanego gościa w ciągu trzech minut – z całym wdziękiem w razie konieczności – już podczas pierwszego spotkania rozpoznała w nim niepokonanego nudziarza. Krótko mówiąc, takiego samego głupca jak jego siostra Dora. Zjawił się jednak, niestety, a raczej zjawiła się jego niezbyt czysta wizytówka z adresem firmy w miasteczku Warragul.

– Możesz przyprowadzić pana Lumleya, Alicjo, ale mu powiedz, że mam bardzo mało czasu.

Reg Lumley, ciemny, nadęty młodzian bez ogłady, był ekspedientem w jednym z gippslandzkich sklepów, miał wyrobiony pogląd i opinię na temat wszelkich spraw pod słońcem, od wykształcenia kobiet po nieporadność miejscowej straży pożarnej. Którą z nich, myślała przełożona bębniąc ze zniecierpliwienia palcami po stole, ma zamiar poruszyć tym razem? I co go sprowadza bez uprzedzenia aż z Warragul?

– Dzień dobry panu. Wolałabym, aby pan uprzedził nas listownie o swojej wizycie. Tak się akurat zdarzyło, że jestem bardzo zajęta dziś po południu, a pana siostra również. Proszę odłożyć kapelusz na tamto krzesło, jeżeli panu przeszkadza... parasol też.

Reg, który przeleżał pół minionej nocy wyobrażając sobie, jak wygłasza swoje ultimatum we władczej pionowej pozycji, niechętnie usadowił się na krześle z parasolem między kolanami.

– Nie miałem zamiaru dziś przyjeżdżać, proszę pani, lecz wczoraj po południu dostałem telegram od mojej siostry Dory. Bardzo się zdenerwowałem.

– Ach tak? Czemu?

– Ponieważ telegram potwierdził moją opinię, że ta pensja przestała być odpowiednim miejscem zatrudnienia dla mojej siostry.

– Nie interesują mnie sprawy związane z czyjąś czysto osobistą opinią. Czy ma pan jakieś podstawy do tego niezwykłego stwierdzenia?

– Tak, mam. I to cały szereg. Prawdę rzekłszy – zaczął gmerać w wyświeconych kieszeniach – mam tu list... na wypadek, gdyby pani była nieobecna. Mam go przeczytać?

– Dziękuję, nie. – Spojrzała przez ramię na zegar za sobą. – Proszę powiedzieć mi możliwie jak najkrócej wszystko, co pan ma do powiedzenia.

– No więc po pierwsze chodzi o ten rozgłos dotyczący pensji. Moim zdaniem za dużo jest hałasu od czasu tego... hm, tych wydarzeń pod Wiszącą Skałą.

– Nie przypominam sobie, aby siostra pana była kiedykolwiek wymieniona w prasie – rzekła przełożona cierpko.

– Moja siostra może nie... ale wie pani, jak ludzie gadają. Nie można otworzyć gazety, żeby zaraz czegoś o tym nie przeczytać. To niesprawiedliwe, moim zdaniem, żeby tak przyzwoita młoda kobieta jak Dora była w jakikolwiek sposób wiązana ze zbrodnią i tego rodzaju rzeczami. – (Gdyby serce młodego Lumleya mogło być wystawione na widok

publiczny jak serce poety, miałyby wygrawerowane słowa POWSZECHNE POWAŻANIE. Rozgłos jego zdaniem klócił się z tymi słowami, jeśli się nie jest kimś tak strasznie ważnym jak Lord Kitchener).

– Niech się pan liczy ze słowami, panie Lumley. To nie jest zbrodnia, ale tajemnica. A to całkiem inna rzecz.

– Więc dobra... tajemnica. Ale ona mi się nie podoba. I nie podoba się mojej siostrze.

– Moi doradcy prawni twierdzą, że wkrótce znajdzie się rozwiązanie niezależnie od tego, co pan i pana przyjaciele w Warragul sobie myślicie. Czy to już wszystko, co ma pan do powiedzenia?

– Jeszcze tylko to, że Dora, jak mi napisała, pragnie zakończyć pracę u pani w dniu dzisiejszym, to jest w sobotę, dwudziestego pierwszego marca. Właśnie sprowadziłem dorożkę, która czeka na nią, niech zatem będzie pani uprzejma powiadomić ją, że przyjechał jej brat, i kazać jej się spakować. Ciężki bagaż można wysłać później.

Wówczas, jak potem opowiadał siostrze w pociągu, młody człowiek zauważył, że szyja pani Appleyard pod koronkowym kołnierzykiem pokryła się dziwnymi cętkami.

Jej oczy, które dotychczas omijał wzrokiem, zrobiły się krągłe jak kulki i o mało nie wyskoczyły z jej głowy. W następnej chwili starsza pani wybuchła.

– Fiu, Dora, szkoda, że jej nie słyszałaś! Na szczęście panowałem w pełni nad sytuacją i nie próbowałem jej odpowiadać.

Bezstronny świadek zdarzenia mógłby zauważyć, że gość również zmienił się na twarzy, która przybrała woskowozielonkawy odcień, i trząśł się w sposób widoczny.

– Pana siostra to idiotka o różowych oczach, panie Lumley. Powinam była jej wymówić przed Wielkanocą nawet bez pana ingerencji. Szczęśliwie pan oszczędził mi kłopotu. Rozumie pan z pewnością, że przez swoje zachowanie siostra traci pensję na skutek zerwania kontraktu?

– Nie jestem tego taki pewien. Można jednakże zająć się tym później. A przy okazji, o ile wiem, Dora chciałaby od pani pisemnych referencji.

– Ja myślę! Jednakże jakiegokolwiek referencje napisane z najmniejszym szacunkiem dla prawdy nie zapewniłyby jej nigdzie posady! – Ręka pani Appleyard uderzyła w bibularz z taką mocą, że ów omal nie spadł z biurka, na co pan Lumley o mało sam nie spadł z krzesła.

– Jestem osobą prawdomówną, proszę pana, i jeśli pan jeszcze tego nie odkrył, proszę pozwolić sobie powiedzieć, że pana siostra jest zrzędną ignorantką i tępakiem, toteż im prędzej opuści ten dom, tym lepiej. – Pociągnęła za sznur dzwonka u swojego łokcia i wstała zza biurka. – Zechce pan łaskawie poczekać w hallu, aż pokojówka przyprowadzi pana siostrę, a wtedy będzie pan mógł jej powiedzieć, żeby spakowała rzeczy. Jeśli się pospieszy, może zdążyć na ekspres do Melbourne.

– Ale proszę pani! Musi mnie pani wysłuchać! Nie chce pani wiedzieć, jaki jest mój pogląd na tę całą sprawę? Szereg ludzi... – Sam nie wiedział, jak znalazł się za drzwiami gabinetu. Drżąc z tłumionego gniewu stał samotny i bez kapelusza w hallu. Cierpiąc z powodu przerwanej potoki wymowy i urażony w swojej dumie musiał czekać na mahoniowym krześle z wysokim oparciem, obmyślając, jak bez utraty twarzy odzyskać pozostawiony w gabinecie kapelusz.

W ciągu godziny Dora Lumley zdołała upchnąć swój skąpy zasób ubrań i kilka osobistych rzeczy – wachlarz japoński, metrykę urodzenia, matczyne pierścione z granatem – do kosza z wikliny, kilku toreb oraz zawiniętych w szary papier pakowy paczek, i usiąść obok brata w dorożce pana Husseya. Nie trzeba dodawać, że dorożka odjechała odprowadzana wzrokiem licznych par niewidocznych oczu. Ciekawość ma własne osobliwe środki wyrazu. Wypowiadany słowom towarzyszyło uniesienie brwi, kiwnięcie lub kręcenie głową i wzruszenie ramionami. W sobotni wieczór dwudziestego pierwszego marca ciekawość na pensji pani Appleyard osiągnęła temperaturę iście malaryczną. Pomimo nakazów milczenia wrażliwe ucho pochwyciłoby nieustanne niby komarze brzęczenie na schodach i podestach: bezsłowny pomruk kobiecej ciekawości rozbudzonej, lecz jak dotąd nie zaspokojonej. Odkąd dostrzeżono pannę Lumley i jej brata odjeżdżających razem dorożką ze spieszenie spakowanymi rzeczami na ławeczce, zaczęły powstawać najrozmaitsze domysły. Czy młodsza wychowawczyni na dobre opuściła pensję? A jeśli tak, to czemu w tak niezwykłym pośpiechu? Wszyscy się zgadzali, że to bardzo niepodobne do panny Lumley, takie zmarnowanie okazji spektakularnego pożegnania. Błagano pokojówkę, aby powiedziała, co rzekł brat panny Lumley, kiedy przybył, i jak długo siedział opuszczony w hallu. A także co powiedziała sama panna Lumley, gdy Alice powiadomiła ją, że jej brat czeka na dole. Wszystko było bardzo tajemnicze i na dobrą sprawę posłużyło jako zabawne odprężenie po skądinąd bezbarwnym dniu, Dora Lumley bowiem i jej niemożliwy braciszek uchodzili już od dawna za osoby śmieszne.

Jedynym domownikiem, który nie okazał zainteresowania odjazdem panny Lumley, była Sara Waybourne. Spędziła ona popołudnie spacerując z książką po parku. Zaniepokojona powiększającą się bladością dziewczynki Mademoiselle zdecydowała się wreszcie „wziąć byka za rogi” i poprosić panią Appleyard, aby posłała po doktora McKenziego. Od sceny w sali gimnastycznej Dianne była świadoma swojej dziwnej nowej siły. Nie bała się już gniewu pani Appleyard pozbawionego obecnie mocy przez bezosobowy gniew niebios.

Pozostało już tylko pięć dni do środy, kiedy miały się rozpocząć ferie wielkanocne. Wtedy pensja pani Appleyard pozostanie już tylko złym snem dla leżącej w ramionach Louisa Mademoiselle. Rosamunda, spojrzawszy na nią nad stołem przy kolacji, ujrzała jej nagły uśmiech nad talerzem z gulaszem i zaraz odgadła jej myśli. Życie na pensji bez drogiej Mademoiselle będzie nie do zniesienia. „Czemu ja tu jestem z tymi wszystkimi głupimi dziećmi?” – pomyślała i postanowiła ubłagać rodziców, aby pozwolili jej po Wielkanocy pozostać w domu na dobre.

Nie tylko Sara Waybourne, lecz także pani Appleyard potrzebowała porady doktora McKenziego. W ciągu ostatnich kilku tygodni straciła sporo na wadze i jej obfite jedwabne spódnice zwisały luźno z masywnych bioder. Obwisłe policzki bywały czasami blade i zapadnięte, czasem okryte niezdrowym rumieńcem i nabrzmiałe, jak u ryby, która leżała za długo na słońcu”, szepnęła Blanchedo Edyty. Dziewczęta chichotały w cieniu posągu Afrodyty widząc, jak przełożona mozolnie wspina się po schodach w hallu. W połowie schodów zatrzymała się na widok Minnie idącej po kuchennych schodach z tacą nakrytą serwetą z koronkowym wykończeniem i japońską porcelaną.

– Czyżbyśmy mieli kogoś chorego w domu? – spytała cierpko.

Minnie, w przeciwieństwie do Sary i Alicji, nigdy nie dawała się zastraszyć pani Appleyard.

– To kolacja panny Sary, psze pani... Mam'selle prosiła mnie, żebym przyniosła jej coś do zjedzenia, bo w sobotni wieczór panienki nie mają żadnych lekcji do odrabiania, a ta mała bardzo źle się czuje.

Minnie była już u drzwi pokoju Sary, gdy pani Appleyard, udająca się wcześniej niż zwykle do swojej ogromnej sypialni mieszczącej się bezpośrednio nad gabinetem, zawołała ją.

– Bądź łaskawa powiedzieć pani Sarze, aby nie gasiła światła, póki nie porozmawia ze mną.

Sara siedziała w łóżku przy ledwie pełgającym płomyku lampy, z rozplecionymi gęstymi włosami, które opadały na wąskie ramionka. Wygląda, myślała Minnie, niemal ślicznie z gorączkowymi rumieńcami na twarzy i ciemnymi pałającymi oczyma.

– Przyniosłam panience gotowane jajko na specjalne polecenie naszej Mam'selle. A tę galaretkę z kremem uszczknęłam sama z obiadowej tacy przełożonej. – Spod kołdry wysunęło się chude ramię.

– Zabierz to z powrotem. Nie tknę tego.

– Niechaj panienka nie będzie dziecinna! Taka duża panna... trzynaście lat, prawda?

– Nie wiem. Nawet mój opiekun nie wie tego na pewno. Czasami czuje się, jakbym miała sto.

– Nie będzie się panienka czuła w ten sposób, kiedy panienka opuści szkołę i wszyscy chłopcy zaczną za panienką biegać... Panience brak tylko trochę radości.

– Radości! – powtórzyła dziewczynka. – Radości! Podejź bliżej, do samego łóżka, powiem ci, czego nikt tu, na pensji, nie wie oprócz Mirandy, która obiecała, że nigdy, nigdy nikomu nie powtórzy. Minnie! Ja się wychowałam w sierocińcu. Radość! Czasami myślę o tym jeszcze teraz, kiedy nie mogę zasnąć. Kiedyś powiedziałam, co to byłoby za radość zostać woltyżerką na ślicznym białym koniu, w mieniącej się sukni. Wówczas przełożona przestraszyła się, że ucieknę do cyrku i zgoliła mi głowę. Ugryzłam ją w rękę!

– No, no, nie trzeba płakać, panienko. – Dobroduszna Minnie była okropnie zakłopotana. – Słuchaj, kochaneczko, zostawię tacę na umywalce, może zmienisz zdanie. Boże! O mało nie zapomniałam! Przełożona powiedziała, żebyś nie gasiła światła, póki do ciebie nie przyjdzie. Na pewno nie spróbujesz troszkę galaretki?

– Nigdy! Choćbym nawet miała umrzeć z głodu! – Odwróciła się twarzą do ściany.

W przedziale drugiej klasy pociągu jadącego do Melbourne Reg i Dora Lumley rozmawiali bez ustanku. Dora co chwila ocierała gniewne łzy chusteczką i wydawała okrzyki z rodzaju: „Potworne! Niemożliwe! Co ty mówisz! Jak śmiała!” A tymczasem pociąg mijał w gęstniejącym zmierzchu stacje hodowlane. Brat Dory obmyślał sposoby wyciągnięcia od pani Appleyard pełnego wynagrodzenia siostry za miniony semestr, co jego zdaniem było sprawą nie cierpiącą zwłoki, gdyż:

– Słuchaj, Dora, o ile nam wiadomo, stara może w każdej chwili zbankrutować... w każdym razie zanosi się na to.

Gdy pociąg wjechał na stację przy Spencer Street, zdążyli już postanowić, że Dora pojedzie z bratem do Warragul, aby gotować dla trzech osób w rozpadającym się domu swojej starej ciotki.

– Moim zdaniem, Dora, mogło być znacznie gorzej. Ostatecznie ciotka Lidia nie będzie żyć wiecznie. – Z tą podnoszącą na duchu myślą wysiedli z pociągu i pojechali tramwajem do małego przyzwoitego hoteliku przy przyzwoitej ulicy. Dora była pełna zachwyty dla swojego brata, który pomyślał nawet o tym, aby zarezerwować dla nich na tę noc dwa tanie pokoiki w oficynie. Przyjechali akurat w samą porę na późną kolację i zjadłszy trochę zimnej baraniny, którą popili mocną herbatą, udali się zmęczeni do łóżek. Około trzeciej nad ranem pozostawiona na drewnianych schodach, zbyt blisko poruszającej się na wietrze firanki, lampa naftowa spadła na podłogę. Płomienie zaczęły lizać lichą tapetę i łuszczącą się farbę. Spirale dymu wylewały się niewidoczne z okna na schodach na ulicę. Po kilku minutach cała oficyna stanęła w ogniu.

Ostatecznemu odejściu Rega Lumleya, aczkolwiek w pełni zasługującemu na szacunek, towarzyszył tak sensacyjny rozgłos, iż młody ten człowiek jakby zmartwychwstał na podobieństwo Feniksa w płomieniach hotelu. Sklep w Warragul, gdzie przez piętnaście szarych lat pracował, spierał się i rozprawiał, został zamknięty na pół dnia z okazji pogrzebu rodzeństwa Lumleyów, co stanowiło hołd publiczny, o którym zmarły nie mógł wyrazić swojej opinii bez względu na to, czy go pochwalał czy nie.

W poprzednim rozdziale byliśmy świadkami fragmentu wzorca, który powstawszy pod Wiszącą Skałą dosłownie się wypalił pięć tygodni później w miejskim hoteliku. W końcu tego samego tygodnia, kiedy wybuchł pożar, inny fragment wzorca stopniowo zastygał wśród mroźnych górskich mgieł Lake View. Michał spędził blisko tydzień wmieście i państwo Fitzhubert powrócili już do Tooraku na zimę, kiedy zawieruszony list doradcy prawnego zmusił młodego człowieka do spędzenia kilku dni w Macedon. W sobotę wieczorem dwudziestego pierwszego marca na stacji powitał Michała Albert z kucem – pociąg Michała minął się z pociągiem, którym jechali Lumleyowie do Melbourne. Kiedy dwukółka wjechała w bezlistną już aleję kasztanową, zaczął właśnie padać deszcz ze śniegiem.

– Wcześniej zaczyna się zima tego roku – zauważył Albert podnosząc kołnierz. – Nie dziwota, że wszyscy wielcy państwo, których na to stać, zmykają stąd na zimę.

– Zaledwie kilka świateł paliło się w zazwyczaj jasno oświetlonej fasadzie domu. – Kucharka jeszcze nie wyjechała na święta, ale Biddiesowie pojechali razem z państwem do Tooraku. Twój dawny pokój jest przygotowany i są drwa w kominku. – Uśmiechnął się. – Potrafisz je rozpalić?

– W hallu rzucała mglisty blask jedna tylko lampa, a przez otwarte drzwi salonu zobaczyli kanapy i fotele osłonięte pokrowcami. – Nie za wesoło tutaj, co? Lepiej zjedz kolację i przyjdź do mnie do stajni. Mam tam butelczynę, którą dał mi pułkownik na pożegnanie. – Michał był jednak zmęczony i przygnębiony, toteż obiecał przyjść nazajutrz.

Pozbawiony obecności właścicieli dom był ponury i bez życia. Istniał jedynie jako wakacyjne tło stryj a i stryjenki i nie miał własnej osobowości. Zajadając kotlet przy kominku Michał niejasno zdawał sobie sprawę z różnicy pomiędzy Lake View a Haddingham Hall, którego porośnięte bluszczem ściany istniały i będą istnieć setki lat dominując nad życiem pokoleń Fitzhubertów, którzy czasami nawet walczyli i umierali, aby utrzymać przy życiu to normañskie zamczysko.

Nazajutrz Michał znalazł list swego doradcy dokładnie w miejscu, w którym spodziewał się go znaleźć – w głębi szuflady biureczka w pokoju gościnnym. Była

niedziela, a ponieważ Albert miał jakieś tajemnicze spotkanie w sprawie jakiegoś konia na odległej farmie, spędził większość dnia blakając się bez celu po terenie Lake View. Około południa kłębiące się mgły ustąpiły odsłaniając widok lasu sosnowego na tle bładoniebieskiego nieba. Po obiedzie, kiedy zabłyśły żółtawe promienie kapryśnego słońca, udał się na przechadzkę do domku ogrodnika, gdzie został powitany z otwartymi ramionami przez państwa Cutlerów i uraczony gorącymi plackami z herbatą w przytulnej kuchni.

– A jak się miewa panna Irma? Nie zgadnie pan, jak tu nam bez niej pusto! – Michał przyznał się, że jej nie widział w mieście, ale podobno miała odpłynąć we wtorek do Anglii, na co pani Cutler jeszcze posmutniała. Po wyjściu gościa pan Cutler, który jak większość ludzi żyjących w codziennej styczności z naturą był świadom żywiołowych rytmów, rzekł łagodnie:

– A mnie się zdawało, że ci dwoje mają się ku sobie. Szkoda!

– Nie wierzyłam własnym uszom, kiedy on tak obojętnie mówił o moim jagniątku – powiedziała z westchnieniem jego żona.

O zmierzchu Michał poszedł nad jezioro, gdzie suchy szelest szuwarów i zanurzające się w wodzie zatoczki nagie gałązki wierzby (latem ocieniona przystań dla łódki) napęłniły go uczuciem niespokojnej melancholii. Łabędzie znikły, znikły też lilie wodne, których ciemnozielone liście leżały na czarnej bezsłonecznej powierzchni wody. Dąb, spod którego ujrzał łabędzia pijącego przy tamie w kształcie muszli, był nagi na tle nieba. Z oddali dochodził szmer strumienia przepływającego pod mostkiem. Ten dźwięczny odgłos jeszcze podkreślał ciszę i spokój kończącego się dnia.

Zaraz po kolacji wziął latarnię, która zawsze wisiała w bocznym korytarzu, i udał się przez zacinający deszcz ze śniegiem do stajni. W oknie pokoju Alberta błyszczało światło i kłapa w podłodze była podparta butem na przyjście gościa. Na stole stała butelka whisky i dwie szklaneczki.

– Przepraszam, że tu nie napalone... nie ma komina... Ale whisky odpędza chłód, a kucharka zrobiła nam parę kanapek. Częstuj się.

Michał odczuł tu atmosferę gościnności, a nawet wygody, których brakowało salonowi stryjenki.

– Gdybyś był żonaty – rzekł, sadowiac się na złamanym bujaku – wtedy byś na pewno zajął się wiciem gniazda, jak to nazywają w kobiecych pismach.

– Ja lubię wygodę, jeżeli mogę sobie na nią pozwolić... skoro o tym mowa.

– Nie tylko o tym... – Jak tyle rzeczy, które chciałoby się powiedzieć, sprawa była zbyt skomplikowana, żeby ją ująć w słowa. – Chciałbym cię kiedyś móc zobaczyć w twoim własnym domu.

– Tak? Zaraz by mnie zaczęły swędzić pięty, choćbym nawet miał pieniądze, żeby móc gdzieś osiąść i splodzić kilkoro dzieciaków. Jak ci się podoba miejskie życie?

– Ani trochę. Stryjenka ciągle tylko wydaje te swoje okropne przyjęcia... niby dla mnie. Jeszcze im nie powiedziałem, że za tydzień, dwa jadę na północ... pewnie do Queensland.

– Tego stanu to po prawdzie wcale nie znam... oprócz wybrzeża w Brisbane i aresztu w Toowoombie... Och, tylko przez jedną noc. Mówiłem ci już, że w tamtych czasach włóczyłem się z nielichymi rozrabiakami.

Michał spojrział z czułością na ceglastą twarz, uczciwszą w migotliwym blasku świecy niż twarze wielu przyjaciół z Cambridge, którzy przez całe lata nie płacili rachunków u krawców, a nigdy nie spędzili ani jednej nocy za kratkami.

– Weź sobie urlop i jedź ze mną na północ.

– Rany! Mówisz poważnie?

– Oczywiście.

– Gdzie chcesz się zatrzymać?

– Jest taka wielka stacja hodowlana, którą chcę obejrzeć... hen, aż nad granicą. Nazywa się Goonawingi.

– Chyba z łatwością znalazłbym sobie jakąś pracę na jednej z tych wielkich stacji – rzekł Albert z namysłem.

– Ale mimo wszystko nie mogę tak po prostu zostawić twego stryja i koni, póki nie znajdę kogoś odpowiedniego na swoje miejsce w Lake View. Stary traktował mnie nieźle, nie ma mowy.

– Rozumiem cię – odrzekł Michał. – W każdym razie zacznij wypatrywać odpowiedniego faceta na swoje miejsce, a ja do ciebie napiszę, gdy tylko moje plany się skryształizują.

– O pieniądzach wyraźnie nie było najmniejszej wzmianki. Na tym etapie propozycja opłacenia biletu kolejowego do Queensland kłóciłaby się z dostojnością pełnego zrozumienia. Mały duszny pokójek wydawał się niemal przytulny za sprawą whisky i dwóch świec. Michał nalał sobie jeszcze szklaneczkę i poczuł w żyłach łagodne ciepło. – Kiedy byłem dzieckiem, zawsze myślałem, że whisky jest rodzajem leku na ból zębów. Niania zanurzała kawałek watki w butelce i przykładła do zęba. Ostatnio przekonałem się, że mocna whisky bardzo mi pomaga, kiedy nie mogę zasnąć.

– Ciągłe myślisz o tej piekielnej skale?

– Nic na to nie poradzę. Powraca do mnie w snach.

– Skoro mowa o snach – rzekł Albert – ubiegłej nocy przyśniło mi się coś naprawdę dziwnego. Mówmy lepiej o rzeczywistości.

– Opowiedz mi ten sen. Odkąd znalazłem się w Australii, jestem prawdziwym ekspertem od koszmarów.

– To niezupełnie był koszmar... Do diabła! Nie potrafię ci tego wytłumaczyć.

– Spróbuj chociaż! Moje sny bywają tak realne, że czasem nawet nie jestem pewien, czy to nie jawa.

– Spałem jak kamień. Miałem za sobą ciężką sobotę. Położyłem się chyba koło północy. No i nagle zrobiłem się jakby w pełni rozbudzony, tak jak jestem teraz, i poczułem zapach bratków. Otwieram oczy, żeby zobaczyć, skąd dochodzi. Nigdy nie myślałem, że bratki tak bardzo pachną. I jakoś tak delikatnie. Głupio to brzmi, nie?

– Dla mnie wcale nie – rzekł Michał, nie odrywając wzroku od twarzy przyjaciela. – Mów dalej.

– No więc otwieram oczy, a w pokoju jest jasno jak za dnia, chociaż na dworze ciemno jak w piekle. Dopiero teraz, jak o tym mówię, wydaje mi się to śmieszne. – Zapalił capstana. – No właśnie. Jakby lampa była podkręcona na największy płomień. I ona stoi w nogach łóżka, dokładnie tam, gdzie ty teraz siedzisz.

– Kto? Kto to był?

– Rany, Michał! Po co tak się przejmować głupim snem... – Pchnął butelkę w jego stronę. – Tu stała moja mała siostrzyczka. Pamiętasz? Ta, która była zwariowana na punkcie bratków. Miała na sobie coś jakby koszulę nocną. To też dopiero teraz wydaje mi się dziwne. Poza tym wyglądała tak samo, jak ją ostatni raz widziałem... chyba jakieś sześć, siedem lat temu. Już nie pamiętam.

– Powiedziała coś czy tylko stała?

– Stała, patrzyła i uśmiechała się. A potem powiedziała: „Nie poznajesz mnie, Bertie?” A ja jej na to: „Oczywiście, że cię poznaję”. To wtedy ona: „Och, Bertie, ja poznałabym cię wszędzie po tych twoich biednych rękach z rusałkami i po tym, jak leżysz z rozdziawionymi ustami i złamanym zębem!” I właśnie siadałem, żeby się jej lepiej przyjrzeć, kiedy zaczęła się robić... do diabła, jak to się mówi, gdy ktoś zaczyna się robić jak mgła...

– Zaczęła znikać – podpowiedział Michał.

– No właśnie. Skąd wiedziałeś? Krzyczę więc: „Hej, siostrzyczko! Nie odchodź!” Ale już jej prawie nie ma i tylko słychać głos. Zupełnie wyraźnie, tak jak teraz twój. „Żegnaj, Bertie. Przybyłam z bardzo daleka, żeby cię zobaczyć, i muszę już iść”. Powiedziałem: „Do widzenia”, ale już jej nie było. Przeniknęła przez tę ścianę za tobą... Jak myślisz, dostałem bzika?

Bzika! Jeśli w tej spiczastej głowie Alberta, tak mocno osadzonej pośrodku szerokich ramion, nie było zdrowego rozsądku, to gdzie w ogóle był? Jeżeli Albert ma bzika, to nie ma sensu w nic wierzyć. Mieć nadzieję na cokolwiek. Zanosić modły. Modlić się do Boga, w którego kazano Michałowi wierzyć, odkąd niania zaprowadziła go pierwszy raz do niedzielnej szkółki przy wiejskim kościele. Tam zaś był sam Bóg w czerwono-niebieskim witrażu – straszny starzec podobny do jego dziadka, hrabiego Haddingham, siedzący na chmurze i wtrącający się w życie wszystkich ludzi w dole. Bóg, który karze złych, troszczy się o wróble w parku, czuwa nad rodziną królewską w jej rozlicznych pałacach, chroni – lub pozwala zatonać, zależnie od kaprysu – „tych, co na morzu...” Odnajduje i ocala albo pozwala szczeznąć zagubionym pensjonarkom na Wiszącej Skale. Takie to myśli i jeszcze wiele innych przewinęło się przez biedną głowę Michała, tworząc trudną do strawienia – a cóż dopiero przekazania – gmatwaninę wyobrażeń, kiedy siedział patrząc na swojego przyjaciela, który teraz uśmiechnął się i powiedział:

– Bzika! Poczekaj, aż tobie samemu coś takiego się przyśni!

Michał wstał ziewając.

– Masz bzika czy nie masz, mnie tam wszystko jedno. Wypiję jeszcze łyczek i idę spać. Dobranoc.

Choć mgła się rozeszła i słońce świeciło od pewnego czasu, gdy Michał siedział następnego ranka przy śniadaniu, światło dnia nie dotarło jeszcze do ogrodów po cienistej stronie góry. Po raz ostatni patrzył przez okno pokoju jadalnego na jeziorko, wciąż pogrążone w cieniu, podobne do płyty chłodnego szarego kamienia. Góra Macedon, odarta ze swojego letniego piękna, była równie ponura jak złane deszczem boiska Cambridge. Czuł dreszcz zimna, kiedy włożywszy płaszcz i wzięwszy walizkę szedł do stajni. Albert, który miał go zawieźć na pociąg do Melbourne, gwizdał przez zęby polewając wodą z węża ceglana podłogę stajni, a Toby stał zaprzężony do dwukółki.

Kuc się niecierpliwił rzucając łbem z pięknie przyszywaną grzywką i podzwaniając lśniącem wędzidłem.

– Nie spiesz się, Michał. To bydlę ma żelazny pysk, ale przytrzymam je, póki nie wsiądziesz.

Ledwie skręcili z alei na gościniec, gdy Albert zatrzymał dziarskiego kuca ujrawszy chłopaka Manassy pedałużącego na rowerze swojej siostry z poranną pocztą w poczerwieniałej z zimna ręce.

– Weźmie pan krople od kaszlu dla kucharki, panie Crundall? I jeszcze chwilka... mam tu dla pana list.

– Bez kawałów. Nikt do mnie nigdy nie pisze.

– Chyba umiem czytać, nie? Tu stoi napisane: pan A. Crundall, może nie?

– No to dawaj ten list i dość gadania. Niech mnie gęś kopnie. Od kogo on może być? – Nie mogąc dać na to odpowiedzi, której zresztą od niego nie oczekiwano, chłopak skręcił rozdrażniony na swoim rowerze w jedną z bocznych alejek. Michał i Albert ruszyli w dalszą drogę w milczeniu, póki nie dojechali do stacji Macedon. Mieli dobre dziesięć minut do przybycia pociągu, a ponieważ Albert był zaprzyjaźniony z zawiadowcą, zaproszono ich, aby weszli i ogrzali się przy piecu w jego biurze.

– Nie otworzysz listu? – spytał Michał. – Nie zwracaj na mnie uwagi.

– Prawdę mówiąc, nie za bardzo umiem czytać takie zakrętasy. Wolę drukowane. Może ty mi go przeczytasz?

– Wielkie nieba, tam może być coś osobistego.

Albert uśmiechnął się.

– Najwyżej to, że mnie policja ściga. Wal śmiało.

Ten Albert, który mówił bez żadnych oporów o areszcie w Toowoombie i kazał sobie otwierać i głośno czytać swoją prywatną korespondencję, nie przestawał zaskakiwać i podniecać. W domu Michała wszystkie listy wyłożone po porządku na stoliku zażywały niemalże boskiego prawa tajemnicy. Z takim uczuciem, jakby się zabierał do obrabowania banku, Michał wziął list, otworzył go i zaczął czytać.

– Napisany w Galleface Hotel...

– Nie znam tej budy. Gdzie to jest?

– Wygląda na to, że został tam napisany, a wysłany później z Freemantle.

– Nie zawracaj sobie głowy głupstwami... powiedz mi tylko, o co w nim chodzi, a ja go sobie potem w całości rozszyfruję.

Był to list od ojca Irmy Leopold z podziękowaniem dla pana Alberta Crundalla za jego udział w odnalezieniu i uratowaniu córki na Wiszącej Skale.

O ile mi wiadomo, jest Pan młodym człowiekiem, nieżonatym. Bylibyśmy z żoną oboje szczęśliwi, gdyby Pan zechciał przyjąć załączony czek w dowód naszej dozgonnej wdzięczności. Wiem od mojego radcy prawnego, iż jest Pan obecnie zatrudniony prywatnie jako woźnica... Gdyby w przyszłości pragnął Pan zmienić zajęcie, proszę bez wahania porozumieć się ze mną za pośrednictwem mojego bankiera pod adresem załączonym poniżej...

– Rany! – Dalszy komentarz został zagłuszony hukiem wtaczającego się na stację ekspresu. Michał wcisnął list w zastygłą dłoń Alberta, chwycił walizkę i wskoczył do pierwszego z brzoza przedziału właśnie w chwili, gdy pociąg ruszał. Pięć minut później Albert jeszcze stał przy piecu zawiadowcy stacji patrząc na czek na tysiąc funtów.

Jeszcze drzwi hoteli w miasteczku były zamknięte, gdy pan Donovan z Hotelu Kolejowego Donovana został obudzony gwałtownym pukaniem, które sprowadziło go w piżamie do bocznego wejścia zamkniętego na wszystkie spusty baru.

– Co, do licha!... Ach, to ty, Albercie! Otwieramy dopiero za godzinę.

– Nic mnie to nie obchodzi. Daj mi jak najszybciej podwójny koniak. Ten cholerny kuc nie chce ustać w miejscu... – Pan Donovan, poczciwa dusza przywykła do podobnych żądań ze strony osób rozpaczliwie potrzebujących mocnego napoju przed śniadaniem, otworzył bar, postawił butelkę i kieliszek bez zbędnych pytań.

Albert był w podobnym stanie ducha i ciała jak wówczas, gdy „Cud” Castlemaine znokautował go w dziesiątej rundzie walki. Jechał do domu i był w połowie ulicy Głównej, kiedy zobaczył Irlandczyka Toma z pensji, jadącego krytym powozikiem w przeciwną stronę. Albert nie miał nastroju do rozmowy z Tomem ani kimkolwiek innym i tylko uniósł bat w geście powitania. Tom jednak zatrzymał się przy chodniku kiwając głową z tak wielkim przejęciem na twarzy, że Albert ściągnął lejce kuca. Tom zeskoczył z powoziku, cisnął lejce na grzbiet cierplivej brązowej klaczy i podszedł do dwukółki.

– Albert Crundall! Chłopie, nie widziałem cię od tej niedzieli, kiedy byliśmy na skale z gliniarzami. Widziałeś dzisiejszą gazetę?

– Jeszcze nie. Nie jestem jej pilnym czytelnikiem... czytuję tylko wyniki gonitw.

– Więc nic jeszcze nie wiesz?

– Niech mnie gęś kopnie! Czyżby znaleźli dwie pozostałe dziewczyny?

– Och, nie, nic takiego, biedne dzieciaki! Spójrz tu, na pierwszą stronę: POŻAR W HOTELU MIEJSKIM. SIOSTRA i BRAT POPARZENI NA ŚMIERĆ. Boże! Co za kres. Ostatnio jak nie jedna, to druga tragedia, tak powiedziałem Minnie.

Albert w pośpiechu rzucił okiem na artykuł, z którego się dowiedział, że rodzeństwo było w drodze do Warragul i że panna Dora Lumley wpisała do książki hotelowej jako swój poprzedni adres: Pensja Appleyard, Bendigo Road, Woodend. Albert gotów był współczuć każdemu, kto miał takiego pecha, by spłonąć żywcem w łóżku, ale obecnie miał na głowie znacznie ważniejsze sprawy.

– To ja już jadę. Toby bardzo nie lubi stać w miejscu.

Jednakże Tom miał ochotę na dłuższą pogawędkę przy kole dwukółki.

– Ślicznego masz kuca, Albert.

– Bardzo żywy. Uważaj z ręką... On bardzo nie lubi, kiedy dotyka się jego ogona, jak jest zaprzężony do dwukółki.

– Wcale się nie dziwię. Mamy jednego takiego na pensji. A przy okazji, nie wiesz, czy ktoś tam u was, w Macedon, nie przyjąłby małżeństwa do pracy? My z Minnie bierzemy ślub w Poniedziałek Wielkanocny. Potem będziemy szukali pracy.

Ciągle oszołomiony listem od pana Leopolda, Albert nie mógł się doczekać, kiedy się wreszcie znajdzie w swoim pokoiku na poddaszu, żeby go sobie spokojnie przeczytać, gdy na słowo „praca” coś mu zaświtało w głowie. Tom ciągnął dalej:

– Ciotka Minnie chce, żebyśmy jej trochę pomogli w barze, który ma w Point Lonsolale... Mówiłem ci, że właśnie tam jedziemy spędzić miodowy miesiąc? Ale ja wolałbym pracować przy koniach, a Minnie... ty nie znasz mojej Minnie... zdatna jak nie wiem co do pracy w domu... Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś tak dobrze czyścił srebra jak ona!

– Będę miał oczy otwarte, Tom. Coś mi mówi, że może będę coś wiedział po Wielkanocy, ale nigdy nie wiadomo. Cześć. – I pomknął skręciwszy z turkotem kół drogą do Górnego Macedonu.

W ten sposób, nim Tom zdążył dojść do swego powoziku po drugiej stronie ulicy, zapadła decyzja co do przyszłości jego i Minnie w błogiej domowej atmosferze, o jakiej nawet w najśmielszych snach nie marzył. Tak oto jeszcze jeden wycinek wzorca Wiszącej Skały zbliżał się do zakończenia, w tym wypadku ze spektakularnym zakrętasem ozdobionym nieodgadnionymi przyszłymi radościami, włącznie z wygodną chatką za stajniami w Lake View, która następnie miała się zapełnić szczebiotem wesołookich dzieci, kubek w kubek podobnych do Irlandczyka Toma. Jeden z jego synów został później dzokejem w stajniach wyścigowych w Caulfield i zdobył nieśmiertelną sławę dla siebie i rodziców przychodząc jako drugi z siedemnastu biorących udział w wyścigach o Puchar Caulfield. Nie możemy w tym miejscu zajmować się dłużej losami Toma i jego Minnie, które to losy stanowią ostatecznie podrzędne nici we wzorcu Tajemnicy Pensji mającym wkrótce przyjąć nowy i nieprzewidywany obrót, na szczęście nie dotyczący tych dwojga.

Wyprzągłszy Toby'ego Albert natychmiast zasiadł na swoim fotelu na biegunach i wyjął z kieszeni list, który przez całą drogę ze stacji do domu palił go w prawe udo. Odcyfrowawszy pracowicie jego zawartość, prawie nauczył się jej na pamięć, nie wyłączając adresu – zaleta, którą jest obdarowane bractwo niepiśmiennych, pozwalająca im na bezpieczne przechowywanie koniecznych informacji. Niepiśmienny chłop, który sieje i zbiera plony według pór roku, nie ma potrzeby zapisywania dat w notesie. Tak samo Albert, który zawsze wiedział co do dnia, kiedy grzywa Toby'ego była ostatnio strzyżona, a kiedy klacz podkuwana w Woodend, umieściwszy pieczołowicie czek pana Leopolda w puszcze po dżemie pod łóżkiem nie miał więcej potrzeby wracać do listu, toteż spaliwszy go nad ogarkiem świecy usiadł, aby przemyśleć sobie sprawę. Tak samo jak on ukształtował kilkoma słowami tego ranka los Toma i Minnie, również ojciec Army w chwilowym odruchu hojności zmienił cały bieg życia Alberta. Zapewne bardzo to dobrze dla zachowania naszej równowagi nerwów, że podobne kataklizmy ludzkich losów zwykle przybierają postać codziennych wydarzeń, jak wybór między sadzonymi a gotowanymi jajkami na śniadanie. Młody woźnica, który po wieczornej herbacie siadł w ten poniedziałek na swoim bujaku, nie zdawał sobie zupełnie sprawy, że już wyruszył w długą i nieuchronną podróż bez powrotu.

Albert czuł, że przydałby mu się krótki urlop. Zawsze pragnął zwiedzić Queensland, a teraz właśnie nadarzała się po temu okazja. Była to decyzja łatwa, o wiele mniej kłopotliwa niż konieczność napisania trzech listów jeszcze tego samego wieczoru, co wymagało pożyczania od kucharki papieru listowego, trzech kopert oraz odszukania pióra z grubą zaschniętą warstwą czerwonego atramentu. Pomimo tych drobnych uciążliwości Albert doskonale wiedział, co miał donieść każdemu z trzech adresatów, czego się nie da zawsze powiedzieć o ludziach, którzy mają znacznie większą znajomość ortografii i potrafią pisać czytelniej od niego.

Wylizawszy stalówkę do czysta zabrał się do pisania pierwszego listu, który rozpoczął gładko od:

Szanowny Panie Leopold!

Gdy dziś rano (23 marca) otrzymałem Pana list z załączonym czekiem, to tak mnie z wrażenia zemgliło, że gdyby mnie ktoś dotknął piurkiem, zaraz bym się zwałił z nug.

Po czym uświadomił sobie, że poza rzadkimi napiwkami i bożonarodzeniowym suwerenem od pułkownika nigdy, o ile pamiętał, nie dostał od nikogo żadnego prezentu. Raz tylko, w sierocińcu, jakaś stara kwoka wręczyła mu w najlepszej wierze Biblię. Ponieważ wydawało się konieczne napisać coś jeszcze oprócz zwykłego „Dziękuję” za czek na 1000 funtów (tak realny jak samo życie, w blaszanej puszcze po dżemie), postanowił zwierzyć się panu Leopoldowi, że przehandlował ową Biblię za pięć szylingów w nadziei, iż kiedyś kupi sobie kuca.

Byłem wtedy smarkaczem, pszepana, i nigdy sobie tego kuca nie kupiłem, jako że od dwunastego roku muszę zarabiać na życie, więc teras zaczę się rozglondać za czymś, co ma w sobie trochę krwi – za czymś na czternaście dłoni w kłembie. Jest trochę naprawdę dobrych koni jak się rozglondnąć i mieć ze 30 funtów do wydania, które ja teras mam dzieńki pana chojności. Reszta pieniędzy może sobie spokojnie poleżeć w banku, aż się zdecyduję, co z nimi zrobić. No to ja jusz kończę, proszę Szanownego Pana, bo jusz północ blisko, a jeszcze nie przyszedłem do siebie po owszymaniu tego chojnego daru. Jeszcze ras bardzo dziękuję i życzę Szanownemu Panu i Jego Rodzinie długich lat dostatniego życia

Wdzięczny Albert Crundall.

Pozostało jeszcze coś do dodania w postscriptum, co zajęło Albertowi tyle czasu, ile sam list.

To było naprawdę nic, to, co ja zrobiłem dla curki Szanownego Pana tam na Wiszoncej Skale. Każdy tu Szanownemu Panu może powiedzieć to samo. To muj kompan. Młody gość nazwiskiem Szanowny Fitzhubert ocalił jej życie. Nie ja. Albert Crundall.

Drugi list, do pułkownika Fitzhuberta, był dużo łatwiejszy. W liście tym woźnica złożył wymówienie z pracy i polecił Toma z pensji pani Appleyard jako naprawdę umięjącego obchodzić się z końmi. *Pan był dla mnie zawsze dobry – napisał w zakończeniu – za co bardzo dziękuję i gdyby Pan potszebował siodło Lansjera przed wiosną, to ono wisi na gwoździu w moim pokoju, bo lepiej, żeby było w suchym w tę wilgoć, z poważaniem Albert Crundall.*

Ostatni list, do Michała, został nabazgrany z ogromną prędkością już bez najmniejszego baczenia na interpunkcję. Pocziwy Michał wiedział, że Albert nie ma zmysłu do tego cholernego pisania. *Drogi Michale! Rany, jak ten czek zawruciliśmy w głowie. I tak dalej i dalej, po czym następowało zakończenie: No to słuchaj, Michał, spotkamy się kiedy tylko zechcesz w mieście znasz hotel Pocztowy przy ulicy Burke'a? Wypijemy po piwku i umuwimy się na wyprawę do Queensland. Napisałem jusz do twego stryja, że odchodzę z Lake V. i wszystko jest w porządku więc powiedz tylko kiedy. Albert.*

W niedzielę rano dwudziestego drugiego marca na pensji pani Appleyard trwała jak zwykle krzątanina przed wyruszeniem do kościoła w Woodend. Rozmyślnie odcięte od zbędnych kontaktów ze światem zewnętrznym mieszkanki pensji pozostały przez całą nudną niedzielę nieświadome wstrząsających wypadków, które w przeciwnym razie rozruszałyby wszystkie języki bez względu na zakazy. Nie było niedzielnych gazet, toteż spokojnie jedzono obiad, podczas gdy hotel rodzeństwa Lumleyów dopalał się w bladych promieniach jesiennego słońca. Posterunkowy Bumpher zrobił sobie wolne łowiąc ryby w Kyneton i wrócił uradowany o północy z jednym jedynym okoniem, którego upiekł na ruszcie na poniedziałkowe śniadanie. Posiłek ten został jednak bezlitośnie przerwany przybyciem młodego Jima z prośbą o informacje dla melbournskich gazet, jako że dramatyczna śmierć nikomu nie znanej nauczycielki została w dziennikarskich głowach natychmiast połączona z niemal już wygasłą Tajemnicą Pensji.

Na skutek zmniejszenia się personelu zarówno Mademoiselle, jak i panna Buck zostały powołane do akcji. Nagły wyjazd panny Lumley zakłócił cały porządek, toteż Minnie, która miała właśnie wolny dzień, pozostała z dobroci serca na posterunku. Czyszcząc srebra stołowe w spiżarni, zobaczyła przez wąskie okienko obie nauczycielki, jak kierują ubrane w kapelusze i rękawiczki dziewczęta do oczekujących powozików, a potem Toma, Alice i kucharkę wsiadających do dwukółki. Ledwie zdążyła wyjść przez obite rypsem drzwi wiodące do hallu, kiedy ku swemu wielkiemu zdziwieniu ujrzała przełożoną, która nieomal biegła po schodach z czymś, co wyglądało jak mały koszyczek w ręku. Na widok pokojówki stanęła jak wryta uchwyciwszy się poręczą, jakby zasłabła, i przywołała skinieniem dziewczynę.

– Minnie! Przecież ty masz tę niedzielę wolną?

– To nie szkodzi, psze pani – odparła Minnie. – Jesteśmy dziś ze wszystkim spóźnione... po wczorajszym.

– Wejdz na chwilę do mojego gabinetu. Czy Alice jest na dyżurze?

– Nie, psze pani. Tom zabrał ją i kucharkę dwukółką do kościoła. Czy mogę ją w czymś zastąpić?

– Przeciwnie. Wyglądasz na zmęczoną, Minnie. Pójdź się położyć. – A biedny Tom, któremu wyrwano wszystkie zęby, nie otrzymał współczucia.

– Najpierw nakryj do stołów. Poza tym ktoś może przyjść.

– No właśnie. Miałam ci powiedzieć, że się spodziewam dziś przed południem pana Cosgrove'a. Opiekuna panny Sary. Ale zobaczę go przez okno, jak przyjedzie, i sama otworzę.

– Nie, psze pani, nie uchodzi – rzekła Minnie z wahaniem, czując rozkoszne ukłucie bólu w brzuchu.

– Dobra z ciebie dziewczyna, Minnie, można na tobie polegać. Dostaniesz pięć funtów w dniu ślubu. A teraz zrób, jak mówię, i zostaw mnie samą. Muszę napisać parę listów przed przybyciem pana Cosgrove'a.

– Rety! Tom – powiedziała Minnie tego wieczoru – stara wyglądała okropnie... Była blada jak kreda i dyszała jak parowóz. Pięć funtów! Myślałam, że się przewrócę.

– Chwała Bogu... cudom nie ma końca – rzekł Tom, obejmując ją w pasie i cmokając w policzek. Miał rację. Nigdy nie będzie.

Wróciwszy z kościoła Mademoiselle zdjęła kapelusz i woalkę, nałożyła *souçon* pudru na twarz, podmalowała szminką wargi i stanęła przy drzwiach gabinetu. Dochodziła pierwsza. Jak zwykle ostatnio drzwi były zamknięte na klucz.

– Proszę wejść, Mademoiselle. O co chodzi?

– Czy mogłabym z panią pomówić, Madame, przed *déjeuner*? *À propos de Sara Waybourne*? – Wiedziała, że Sara nie jest wcale pupilką przełożonej, ale nie była przygotowana na to, że naraz zmarszczki poorzą twarz starszej kobiety niczym morowe powietrze.

– O Sarze Waybourne? – Oczy zimne jak kamyki zrobiły się czujne, baczne, jakby się bała tego, co o niej powiem, stwierdziła później Dianne. – Powiem pani coś, Mam'selle. Traci pani mój czas i swój. Sara Waybourne wyjechała dzisiaj rano ze swoim opiekunem.

– Och, nie! Nie! – wyrwało się z gardła nauczycielki.

– Wczoraj to nieszczęsne dziecko nie nadawało się do podróży. Właśnie o jej zdrowiu chciałam z panią porozmawiać.

– Dziś rano wyglądała dobrze.

– *Ach, pauvre enfant...*

Przełożona spojrzała na nią ostro.

– Intrygantka. Od początku były z nią kłopoty.

– Sierota – powiedziała Mademoiselle śmiało.

– Trzeba wiele wybaczyć tym samotnym dzieciom.

– Prawdę mówiąc, nawet nie wiem, czy przyjmę ją na następny okres. Jednakże tym można zająć się później. Pan Cosgrove się uparł, aby zabrać z sobą Sarę od razu. Bardzo mi to nie odpowiadało, ale cóż było robić.

– To dziwne – powiedziała Mademoiselle. – Pan Cosgrove jest uroczym człowiekiem o doskonałych manierach.

– Mężczyźni, Mam'selle, bywają często w takich sprawach bardzo nierozważni, o czym się wkrótce pani przekona osobiście. – Wąty, pozbawiony wesołości uśmiech nie pasował do niezmiennie czujnego wyrazu oczu.

– A rzeczy Sary? – spytała Dianne wstając. – Szkoda, że nie mogłam jej pomóc w pakowaniu.

– Sama pomogłam jej spakować te kilka drobiazgów, na których jej specjalnie zależało. Zabrała tylko małe zamykany koszyczek. Pan Cosgrove czekał na dole i bardzo się niecierpliwił... Przyjechał dorożką czy wynajętym powozem.

– Pewnie minęliśmy się z nimi w drodze z kościoła. Szkoda, że ich nie zauważyłam, bo bym pomachała Sarze na do widzenia.

– Jest pani sentymentalna, Mam'selle... w przeciwieństwie do większości swoich rodaków. Ale cóż... Sary już nie ma. – Nauczycielka jednak ociągała się z odejściem. Nie bała się już tej kobiety, której szeleszcząca niedzielna tafta kryła starzejące się ciało boleśnie pragnące spoczynku, termoforów, drobnych kobiecych udogodnień. – Czy pragnie mi pani jeszcze coś powiedzieć?

Wspomniawszy swoją elegancką babcię, która w każde popołudnie kładła się na dwie godziny na szezlongu, Dianne odważyła się na pytanie, czy nie byłoby dobrze, aby Madame poprosiła doktora McKenziego o coś na wzmocnienie. Ostatnie dni były tak męczące... poza tym jest wczesna jesień.

– Dziękuję... Nie. Zawsze źle sypiam. Która godzina? Wczoraj wieczorem zapomniałam nakręcić zegarek.

– Za dziesięć pierwsza, Madame.

– Nie przyjdę na obiad. Proszę powiedzieć, żeby nie stawiano dla mnie nakrycia.

– Ani dla Sary – wymknęło się z ust Mademoiselle.

– Ani dla Sary. Czy to róż na pani policzkach, Mam'selle?

– Puder. Uważam, że mi z nim dobrze.

Gdy tylko zuchwała dziewczyna opuściła pokój, przełożona wstała i schyliła się nad szafką za biurkiem. Ręce tak mocno jej dygotały, że nie mogła otworzyć drzwiczek. Kopnięte z wściekłością zaokrąglonym noskiem czarnego pantofla z koźlęcej skóry, otworzyły się z trzaskiem i z szafki wypadł na podłogę mały zamykany koszyczek.

Przełożona pozostała w swoich prywatnych pokojach przez resztę dnia i wczesnie położyła się do łóżka. Rankiem Irlandczyk Tom doświadczył smutnej przyjemności – zdarzają się bowiem dobroduszne osoby, które znajdują pociechę w dostarczaniu przykrych wiadomości – osobistego doręczenia pani Appleyard gazet pełnych sensacyjnych opowieści o tragedii rodzeństwa Lumleyów. Ku rozczarowaniu Toma wiadomość została przyjęta w kamiennym milczeniu, z rozkazującym: – Daj mi je! – Tymczasem w rejonach kuchni było dramatyczne zarzucanie fartuchów na przerażone głowy i przenikliwe, niedowierzające okrzyki, że coś takiego mogło się zdarzyć zaledwie w dwa dni po tym, jak Lumleyowie znajdowali się w tym oto domu, co w jakiś sposób intensyfikowało całą tę okropność, przybliżając i czyniąc płomienie bardziej realnymi.

Wtorek minął bez szczególnych wydarzeń. Rosamunda zorganizowała wysłanie wspólnego telegramu pożegnalnego do Armii po południu, gdy państwo Leopold odpływali do Londynu. Wraz z nimi płynęła pokojówka, sekretarka, stajenny i pół tuzina koni do gry w polo. Z ustąpieniem drobnych ograniczeń, których przestrzegania pilnowała Dora Lumley, dziewczęta zażywały swobody. Podniecone środowym gromadnym wyjazdem na wielkanocne ferie, nie odczuwały nieziemskiej obecności tej okropnej postaci w brązowej serży. Dawno już nie słyszano tylu szeptów po kątach, różnych uwag, a czasem nawet śmiechu na pensji pani Appleyard. Atmosferę poprawiło również kilka dni babiego lata, które rozświetliły ogród, aż pan Whitehead musiał nawet zraszać wodą grządkę hortensji, które wciąż jeszcze kwitły niebiesko i purpurowo pod oknami zachodniego skrzydła. Gazety zapowiadały piękną i ciepłą pogodę w Niedzielę Wielkanocną ze stopniową zmianą w poniedziałek.

Dwie przyszłe panny młode dzieliły się uwagami na temat swoich wypraw i Dianne, w radosnej szczerości, opowiedziała pokojówce, która słuchała z wytrzeszczonymi oczyma, o szmaragdowej bransolecie.

– Nie mam innej biżuterii – mówiła. – Nasze wesele będzie bardzo skromne. Mamy bardzo mało pieniędzy i żadnych krewnych prócz tych, którzy mieszkają we Francji.

Minnie zachichotała.

– Nasze przyjęcie urządziła moja ciocia i Tom mówi, że chyba nie wciśniemy się do kościoła – tylu sprosiła krewnych z jednej i drugiej strony.

Panna Buck dowiodła w czasie krótkiego sprawowania swojej nowej roli, że prócz przekazywania podstaw geometrii euklidesowej oraz arytmetyki jest zupełnie nieprzydatna, toteż Mademoiselle niebawem musiała spędzać większość dnia na rozstrzygnięciu drobnych spraw domowych. Wszyscy – nawet kucharka i pan Whitehead – zwracali się do nauczycielki francuskiego ze swymi problemami.

Tego przedpołudnia biegła właśnie na górę po pudełko szpilek, gdy na podeście ukazała się Alicja, pomocnica pokojówki, z kubłem i szczotkami.

– Minnie kazała mi posprzątać w tym dużym podwójnym pokoju, ale tam leży tyle porozrzucanych sukienek i innych rzeczy, że nie wiem, od czego zacząć.

– Pomogę ci – rzekła Mademoiselle. – Stwierdziłam, że młode Australijki są bardzo nieporządne... Ostatnio nabrałam wprawy w składaniu i pakowaniu ich sukien.

– Panna Irma była właśnie taka! – przyznała Alicja z podziwem w głosie. – Jeja! Szczotki w złotej oprawce razem z pantoflami i broszki powpinane w halki. Gdyby taka była panna Sara, przełożona dopiero by jej dała! Oto co znaczy być dziedziczką. – Dawny pokój Mirandy, zwykle tak pełen światła i powietrza dzięki dwu wysokim oknom, był niemal mroczny, gdy otworzyły drzwi, z zaciągniętymi żaluzjami z wyjątkiem wąskiego okienka nad łóżkiem Sary, wciąż nie zaścielonym i wygniecionym. – Trochę tu straszno – zauważyła rosla dziewczyna rzucając szczotki i biorąc się do roboty. Żaluzje odsłoniły z grzechotem widok przygnębiającego bałaganu. Szlafrok Sary leżał na oparciu krzesła, na umywalce stała para pantofli. – No, no! Niedużo wzięła z sobą – powiedziała, zabierając się do ścielenia łóżka.

– Tu jest koszula nocna i woreczek na gąbkę – rzekła Mademoiselle – z gąbką w środku. Przełożona mi mówiła, że ona wzięła na drogę tylko kilka niezbędnych przedmiotów w małym koszyczku. Najlepiej włóżmy wszystkie rzeczy do komody, póki panna Sara nie wróci po świętach.

– Podobno jej opiekun ma mnóstwo pieniędzy – zauważyła Alicja z przekąsem. – Nie zaszkodzi, jak jej kupi nowy szlafrok... Czy mam położyć świeże prześcieradła na tamtym łóżku? To łóżko panny Mirandy. Śliczna była z niej dziewczyna! Prawdziwa elegantka i wcale nie czuła się tak wielka, żeby nie pośmiać się z Minnie i ze mną. Nieznośna była ta niezdara.

– Nie. Zabierz całą bieliznę pościelową i nakryj łóżko kapą. *Comme ça*. – Miranda nie będzie już nigdy spała w tym domu...

– Nie rozumiem, czemu panienska Sara nie wzięła na drogę w niedzielę tego ślicznego granatowego płaszczyka z futrzanym kołnierzykiem. Taka trzynastoletnia panienska potrafi być bardzo nierozsądna w sprawach ubrania.

– Panna Sara wyjechała w pośpiechu i nie powinno cię obchodzić, Alicjo, co postanowiła włożyć na drogę. Zajmij się, z łaski swojej, odkurzaniem... Już pewnie zaraz będzie obiad. – Spojrzała na zegar, który stał na marmurowej półce nad kominkiem, gdzie z fotografii w srebrnej ramce uśmiechała się spokojnie Miranda. W przeciwieństwie do większości zdjęć to było nadzwyczaj żywe i realne. Alicja ścierała kurze w pełnym urazy milczeniu, Mademoiselle zaś stała przyglądając się w zamyśleniu portrecikowi Mirandy.

– Alicjo – powiedziała z nagłą – czy to ty przyniosłaś śniadanie pannie Sarze w niedzielę rano?

– Tak, panienko. Minnie wtedy spała.

– Mam nadzieję, że zjadła chociaż jajko... i trochę owoców. Całą sobotę miała migrenę i nie brała nic do ust.

– Alicja, która zupełnie zapomniała, że Minnie kazała jej zanieść chorej dziewczynie śniadanie, i nie przyniosła jej nic w niedzielę rano, skinęła głową, co się jej wydało mniej śmiertelnym grzechem od jawnego kłamstwa. Miała już wyżej uszu pensjonarek z ich fanaberiami. Kończąc wycierać kurz za dwoma łózkami zdecydowała się postarać po Wielkanocy o pracę kelnerki.

Dianne de Poitiers bardzo źle spała we wtorkową noc. Księżyc, jasny i ogromny, rzucał srebrny snop między nieco rozsunięte firanki w otwartym oknie, które wychodziło na część zachodniego skrzydła. W pokoju Minnie paliło się światło, poza tym w całym domu – a przynajmniej w tej jego części, którą widziała – panowała ciemność. Wychyliwszy się przez parapet, widziała stromy dach łupkowy lśniący w blasku księżyca, a za nim przysadzistą wieżę czerniejącą na tle nieba. Czy to możliwe, aby Księżyc mógł wywierać wpływ na myśli, a nawet czyny ludzkich istot milion mil niżej, na Ziemi? Czuła, jak fale srebrnego blasku oblewają jej wrażliwą skórę. Nie tylko jej umysł, lecz cała była jakoś dziwnie rozbudzona. Położyła się znów do łóżka, ale słabe bzyczenie komara unoszącego się nad poduszką rozrywało ciszę jak harfa. Sen w taką noc był niemożliwy. Gdy tylko zamykała oczy, zaraz zaczynała myśleć o małej Sarze. Czy ona też leży nie śpiąc? Jakim człowiekiem był jej opiekun pod swoją pełną uroku fasadą dobrych manier? Dokąd ją zabrał na święta? Co przyszłość kryła w zanadrzu dla tego samotnego i nie kochanego dziecka? Miranda była jedyną osobą w pensjonacie, która potrafiła wydobyć uśmiech na twarz Sary, a teraz Mirandy już nie ma... Miranda... Miranda uśmiechająca się z fotografii w owalnej ramce na półce nad kominkiem była najcenniejszym skarbem Sary.

– Proszę sobie wyobrazić, Mam'selle! Miranda dała mi ją na urodziny!

– Powinnaś ją pokolorować, Saro... ślicznie malujesz – zasugerowała nauczycielka. – Włosy Mirandy mają taki piękny kolor... jak dojrzałe zboże.

– Mirandzie to by się nie podobało, Mam'selle. Irma Leopold zaklinała ją, żeby dała sobie ondulować włosy... do fotografii... ale Miranda powiedziała: „Będą proste albo nie dam się fotografować. Muszą być takie, jakie zawsze noszę w domu. Mała Jonnie nie poznałaby swojej siostry z kręcącymi się włosami”. – I jeszcze jeden dzień, w Ogrodach Bałlarat. Jak wyraźnie teraz sobie wszystko przypomniała.

– Saro... twoja kieszeń. Jest rozdęta jak ropucha!

– To Miranda. Nie, proszę się nie śmiać. Gdyby Edyta i Blanche się o tym dowiedziały, nigdy nie przestałyby ze mnie drwić. Ja ją wszędzie noszę z sobą... nawet do kościoła...

jest taka poręczna, w tej owalnej ramce. Ale proszę mi obiecać, że pani nie powie Mirandzie. – Drobna, szczupła twarzyczka była zaczerwieniona i poważna.

– Czemu? – spytała Dianne ze śmiechem. – To takie zabawne... mnie samej nikt nie nosił w kieszeni do kościoła.

– Bo Miranda nie pochwaliłaby tego – odparła dziewczynka z powagą. – Ona mówi, że już niedługo tu pozostanie i ja muszę się nauczyć kochać mnóstwo innych ludzi oprócz niej.

Co mogło się wydarzyć w niedzielny poranek, że Sara nie wzięła portreciku z półki nad kominkiem? Takiego drobiazgu. Tak łatwego do zabrania... Spieszyła się, Alicjo, mówiłam ci już... Panna Sara spieszyła się i zapomniała szlafrocza. Szlafrocza. Torebki z gąbką. Łatwo zapomnieć o takich rzeczach dziecku i bardzo nie nawykłej do zajmowania się nimi starszej pani, która pomagała zapakować drobiazgi do koszyczka. Ale Sara nie mogła zapomnieć o portreciku. Nigdy, przenigdy nie zapominała o nim, nigdy go nie zostawiała. Może więc była bardzo chora? Tak bardzo, że przełożona nie chciała o tym mówić? Czy opiekun, zobowiązany do milczenia, zabrał małą do szpitala? Nocny powiew wyrzucił koronkowe firanki... Chłód przeszył Dianne, okropny chłód. I strach. Zarzuciwszy na ramiona szlafrok zapaliła świecę i siadła przy stoliku, żeby napisać list do posterunkowego Bumphera.

W środowe popołudnie dwudziestego piątego marca ostatnia dorożka Husseya zabrała ostatnią z pensjonarek. Ciche pokoje były pełne papierów, pozostawionych szpilek, skrawków wstążek i sznurka. W pokoju stołowym ogień na kominku wygasł, wędły goździki w wysokich szklanych flakonach. Uderzenia zegara na schodach zrobiły się tak głośne, że pani Appleyard wyobraziła sobie, iż słyszy jego nieustające tykanie przez ścianę swojego gabinetu. Minuta za minutą, godzina za godziną – niczym serce bijące w martwym już ciele. O zmierzchu weszła Minnie z listami na srebrnej tacy.

– Przyszły dziś późno, psze pani. Tom mówi, że to z powodu przedświątecznego tłoku w pociągach. Zaciągnąć zasłony?

– Jak sobie chcesz.

– Jeden list jest zaadresowany do panny Lumley... czy weźmie go pani?

Przełożona wyciągnęła rękę.

– Będę musiała poszukać adresu jej brata w Warragul.

– Kto inny, jeśli nie Lumleyowie, mógł umrzeć, nie zostawiwszy adresu? Dora Lumley zawsze była bałaganiarska, jeśli idzie o korespondencję. Do samego końca. Przełożona siedziała, patrząc na ciężkie zasłony, które odcięły widok ogrodu tonącego w zmierzchu, i myśląc, jak mało rzeczy w życiu jest uporządkowanych, wyraźnie nakreślonych. Można organizować, kierować, planować z góry każdą godzinę, a wciąż jest bałagan. Nie ma w życiu nic nieprzeniknionego, nic tajemniczego, nic pewnego. Dość spojrzeć na takich ludzi jak Dora Lumley i ta mała Sara. Takie z nich słabe istoty... Człowiek je trzyma mocno w garści, ale ledwie odwróci głowę, wymykają się między palcami... Wzięła machinalnie plik listów i jęła je sortować jak zwykle rezerwując tę czynność dla siebie. Kilka listów dla pracownic – jeden zaadresowany cienko purpurowym atramentem od Louisa Montpeliera do Mademoiselle, kolorowa pocztówka dla Minnie z Queenscliff. Odręczny niedorzeczny rachunek piekarza, w brudnej kopercie. Żadnych czeków. Zaraz po Wielkanocy będzie musiała pojechać do Melbourne i sprzedać kilka akcji, odwiedzi też wówczas Russell

Street. Jeżeli kiedykolwiek był czas na konstruktywne działanie, to właśnie teraz. Mimo że wolałaby zjeść kolację w samotności i odosobnieniu, pociągnęła za sznur dzwonka przy kominku.

– Alicjo, zjem na dole z Mademoiselle i panną Buck. Powiedz o tym kucharce i poproś, żeby po deserze przysłała tacę z kawą, cukrem i śmietanką dla trzech osób. – Każdy drobiazg był w tych okolicznościach ważny, zwłaszcza staranna toaleta z aksamitną wstążką pod szyją i dodatkowo broszką. Mademoiselle z pewnością to dostrzeże i uzna za uspokajające. Panna Buck ze swoim obojętnym uśmiechem ukazującym plomby w zębach oraz grubymi szklami może się okazać podejrzliwa. Z tymi młodymi mądralami nigdy nic nie wiadomo. Są tępaki i głupcy, którzy widzą za dużo, i tacy, którzy nic nie widzą. Och, gdybyż móc mieć przy sobie pomocną dłoń Artura! Albo móc usłyszeć chłodny sąd Grety McCraw. Po raz pierwszy od wielu tygodni pomyślała o nauczycielce matematyki i zaraz uderzyła pięścią w toaletkę z taką mocą, że aż grzebienie, szczotki i lokówki zatańczyły na polerowanym blaciku. Rzecz niepojęta, że ta kobieta o męskim umyśle pozwoliła się uprowadzić, zagubić, zgwałcić, zamordować z zimną krwią na Wiszącej Skale jak niewinna uczennica. Pani Appleyard nigdy nie widziała skały, lecz owa skała ostatnio często rzucała na nią swój cień – zalegającą czernią, nieprzeniknioną jak mur.

Dwie młode kobiety jeszcze nigdy nie widziały przełożonej tak łaskawej jak tego wieczoru przy kolacji. I takiej rozmownej. Nauczycielki tłumili ziewanie po całym dniu szalonej pracy, gdy przełożona kazała pannie Buck zadzwonić na Minnie.

– W szpiarni jest, zdaje się, resztkę koniaku w karafce. Pamiętasz, Minnie? Z tego dnia, gdy biskup Bendigo gościł u nas na obiedzie. – Przyniesiono karafkę i trzy kieliszki. Panie moczyły skromnie usta, a nawet wypily za zdrowie i pomyślność Mademoiselle i Monsieur Montpeliera. Idąc na górę ze świecą o godzinie jedenastej Dianne pomyślała, że był to najbardziej nużący wieczór w jej życiu.

Zegar na schodach wybił wpół do pierwszej, gdy drzwi pokoju pani Appleyard otworzyły się bezszelestnie i wyszła z nich z nocną lampką w ręku stara kobieta. Stara kobieta z głową pochyloną pod gęstwą lokówek, z obwisłymi pod flanelowym szlafrokiem piersiami i brzuchem. Żaden człowiek – nawet Artur – nie widział jej nigdy takiej, bez zbroi ze stali i fiszbinów, w której przez osiemnaście godzin na dobę przełożona zwykła stawiać czoło światu.

Z okna u szczytu schodów padał na rząd cedrowych drzwi blask księżyca. Mademoiselle spała w odległym końcu korytarza. Panna Buck w pokoiku za wieżą. Stara kobieta z nocną lampką stała nad słuchując tik-tak, tik-tak zegara w mrokach schodów w dole. Drgnęła gwałtownie omal nie wypuszczając lampki z dłoni, kiedy po płytkach dachu śmignął w pędzie opos. W słabym świetle lampki wielka podwójna sypialnia wydawała się we wzorowym porządku i pachniała lekko perkalem i lawendą. Rolety były spuszczone na tę samą wysokość, ukazując identyczne prostokąty oświetlonego księżycem nieba i ciemne wierzchołki drzew. Dwa łóżka ze schludnie złożonymi różowymi kołdrami puchowymi były nieskazitelne. Na toaletce z dwoma różowo-złotymi flakonami po obu stronach leżała poduszczyca na igły, w kształcie serca, gdzie poprzednio znalazła tę notatkę, którą natychmiast zniszczyła. Znów ujrzała siebie pochyloną nad dziewczynką leżącą w mniejszym z łóżek. Oczywiście, teraz już nie twarz – tylko te ogromne czarne oczy palące ją spojrzeniem. Znów usłyszała krzyk: „Nie, nie! Tylko nie to! Tylko nie

sierociniec!" Przełożona zadrżała, żałując, że nie nałożyła pod szlafrok wełnianego spencerka. Postawiła lampkę na nocnym stoliku, otworzyła szafę, gdzie z lewej strony wciąż wisały suknie Mirandy, i jęła metodycznie przeszukiwać półki. Z prawej strony granatowy płaszczyk Sary z futrzanym kołnierzem i bobrowa czapka. Pantofle. Rakiety tenisowe. Teraz komódka. Pończochy. Chusteczki. Te śmieszne kartki z życzeniami na świętego Walentego... całe ich tuziny. Zaraz po Wielkanocy każe usunąć rzeczy Mirandy. Teraz toaletka. Umywalka. Orzechowy stoliczek do robótek, w którym Miranda trzymała kolorową włóczkę. Wreszcie półka nad kominkiem. Tutaj nic szczególnego... prócz fotografii Mirandy w srebrnej ramce. Za oknami zaczynało szarzeć, kiedy przełożona zamykała drzwi i wróciwszy do swego pokoju zgasiła lampkę i padła na wielkie łóżko z baldachimem. Nie znalazła nic, niczego nie wydedukowała, niczego nie zdecydowała. Czekał ją nowy okropny dzień przymusowej bezczynności. Zegar wybił piątą. Sen nie przychodził. Wstała i zaczęła wyjmować z włosów lokówki.

Czwartek był niebywale ciepły jak na tę porę roku, toteż pan Whitehead, który zamierzał wziąć sobie wolne w Wielki Piątek, postanowił zrobić tego dnia w ogrodzie jak najwięcej. Nie zanosilo się na deszcz, chociaż szczyt góry był jak zawsze spowity w pierzastych białych mgłach. Pomyślał więc, że przydałoby się podlać hortensje za domem. Po wyjeździe dziewcząt wszędzie panowała dziwna cisza, którą przerywały tylko głosy ptactwa domowego, dalekie chrząkania świń, a czasem turkot kół na gościńcu. Tom pojechał dwukółką do Woodend po pocztę. Kucharka mająca zaledwie kilka dorosłych osób do karmienia, w miejsce pełnego kontyngentu zgłodniałych uczennic, zabrała się do wielkich porządków w ogromnej, wyłożonej płytami kamiennymi kuchni. Alicja szorowała kuchenne schody mając nadzieję, że czyni to już ostatni raz. Panna Buck odjechała dorożką na poranny pociąg. Minnie zrobiła sobie dziesięciominutową przerwę w pracy i łapczywie zajadała się w swoim pokoiku bananami, które od miesiąca uwielbiała, oraz poszerzała w pasie perkalową suknię ostatnio już nieco ciasnową.

Dianne de Poitiers pakowała wśród stosu bibulek swoją skromną, lecz elegancką garderobę. Sam widok prostej białej satynowej sukni ślubnej przyprawiał ją o bicie serca. Za kilka godzin Louis odprowadzi ją do skromnego pensjonatu w Bendigo, gdzie wynajął dla niej do poniedziałku pokój. Czuli się jak ptak, który po latach niewoli w ponurym pomieszczeniu, gdzie tak często zasypiała z płaczem, ma odzyskać wolność, i zaczęła cichuteńko śpiewać: „*Au claire de la lune, mon ami pierrot*”. Z otwartego okna ta słodko-gorzka melodyjka spłynęła na trawnik, gdzie pani Appleyard omawiała właśnie z panem Whiteheadem sposób obsadzenia krawędzi podjazdu.

– Będę się musiał do tego zabrać po Wielkanocy, proszę pani, jak na wiosnę ma być ładnie. – Może szalwią? To pożyteczny kwiat, zasugerowała przełożona. Ogrodnik zgodził się niechętnie. – Panienki mają swoje ulubione kwiaty. Na przykład ile razy spojrzę na lilię bożonarodzeniową, to mi się przypomina panna Miranda. „Lilie zawsze mi przywodzą na myśl anioły”, mówiła do mnie. No cóż, pewnie sama jest teraz aniołkiem, biedactwo. – Westchnął. – Może lepiej bratkami?

Przełożona z trudem skierowała myśli ku bratkom i zauważyła, że ładnie wyglądają od frontowej bramy.

– Panienka Sara to wręcz przepada za bratkami. Często prosi, żebym jej dał kilka do pokoju. Zimno pani? Może przynieść szal?

– W marcu zazwyczaj bywa chłodno, Whitehead. Ma pan mi jeszcze coś do powiedzenia, nim pójdę do domu?

– Tylko o fladze, proszę pani.

– Wielkie nieba, o jakiej fladze? Czy to takie ważne? – Postukała niecierpliwie nogą w żwir. – Mam dzisiaj wiele spraw do załatwienia.

– No więc – rzekł ogrodnik, który był pilnym czytelnikiem lokalnej prasy – chodzi o taką rzecz. „Macedon Standard” prosi wszystkich, którzy mają flagi narodowe, aby je wywiesili w Poniedziałek Wielkanocny. Lord Mayor Melbourne przyjeżdża na obiad do Shire Hall.

Podwójny koniak po śniadaniu nadał niezwykłą jasność jej myślom. W mgnieniu oka ujrzała flagę brytyjską zawieszoną na szczycie wieży i głoszącą całemu plotkarskiemu i wścibskiemu światu, że na pensji pani Appleyard wszystko w porządku.

– Ależ oczywiście, niech pan wywiesi flagę – odparła łaskawie. – Znajdzie ją pan pod schodami... włożyliśmy ją tam po zeszłorocznych urodzinach królowej.

– Słusznie. Sam ją złożyłem i schowałem.

Nadszedł Tom z torbą na listy.

– Tylko jeden list dla pani. Weźmie go pani czy zanieść na biurko?

– Daj mi go. – Odwróciła się i odeszła bez słowa.

– Dziwna kobieta – rzekł ogrodnik. – Gotów jestem się założyć, że nie potrafi odróżnić bratka od chryzantemy – i zdecydował się obsadzić podjazd begoniami.

List, zaadresowany do pani Appleyard, był skreślony pismem dystyngowanym, wyraźnym i nieznanym. Datowany przed dwoma dniami z drogiego hotelu w Melbourne brzmiał:

Szanowna Pani,

zmuszony zająć się sprawami mej kopalni w północno- zachodniej Australii, gdzie pozostawałem odcięty od świata, nie mogłem aż do dziś przestać Pani załączonego czeku za kwartalny pobyt na Pensji Sary Waybourne. Pragnę Pani donieść, iż zamierzam przybyć na Pensję po Sarę rano w Wielką Sobotę (28.). Ufam, że nie sprawi to Pani kłopotu, ponieważ w Wielki Piątek będę cały dzień zajęty i nie chciałbym, aby Sara pozostawała w hotelu sama, aczkolwiek hotel jest wykwintny. Jeżeli Sara potrzebuje nowych sukien, książek, przyborów do rysowania etc., uprzejmie proszę o sporządzenie spisu owych rzeczy, abyśmy mogli je razem nabyć w Sydney, dokąd zabieram moją podopieczną na kilkudniowy pobyt. Ponieważ Sara ma już prawie czternaście lat, z czym trudno mi się pogodzić, zapewne pożądanym będzie dla niej strój wizytowy? Chętnie zapoznam się z Pani opinią na ten temat, kiedy się spotkamy.

Z wyrazami szczerego szacunku oraz nadzieją, że nie przysporzyłem Pani kłopotu pozostawiając Sarę (na mój koszt, oczywiście) na pensji do soboty.

Jasper B. Cosgrove.

16

Posterunkowy Bumper był uodporniony na wszelkiego rodzaju wstrząsy i niespodzianki. Niemniej list z zaznaczeniem na kopercie: POUFNE, który właśnie położono przed nim na biurku, sprawił, że używając jego własnych słów – „zrobiło mu się w gębie paskudnie”.

*Pensja Appleyard
Wtorek, 24 marca*

Szanowny Monsieur Bumper!

Proszę mi wybaczyć, jeśli tytułuję Pana niepoprawnie, lecz jeszcze nigdy nie zwracałam się listownie do dżentelmena służącego w Policji Australijskiej. Bardzo mi trudno wytłumaczyć po angielsku, czemu w tej chwili – jest blisko północ – piszę do Pana ten list. Chyba dlatego, że jestem kobietą. Mężczyzna zachełby zapewne na jakiś pewniejszy dowód. Czuję jednakże, iż muszę działać, z porywu serca, bez zwłoki. Pan zaś zapewne pomyśli, że bez dostatecznej przyczyny.

W niedzielny ranek (22 marca), kiedy wróciłam ze mszy świętej na pensję, pani Appleyard poinformowała mnie, że Sara Waybourne, dziewczynka trzynastoletnia i nasza najmłodsza tutaj uczennica, została wkrótce po wyjeździe większości domowników do kościoła zabrana przez swojego opiekuna. Zdziwiłam się, że monsieur Cosgrove (opiekun dziewczynki), człowiek wykwinionych manier, mógł to uczynić nie uprzedzając przełożonej. Nigdy jeszcze, o ile mi wiadomo, nie postąpił tak niegrzecznie. Pisząc to wiem, że Monsieur nie uzna tego za dostateczny powód do niepokoju. Prawda jest taka, Monsieur, iż moim zdaniem to nieszczęsne dziecko w tajemniczy sposób zaginęło. Zadałam kilka pytań – bardzo dyskretnych – dwu osobom, które oprócz Madame przebywały w domu w czasie wizyty monsieur Cosgrove'a. Obie te osoby są kobietami dobrymi i uczciwymi. Żadna z nich, a mianowicie ani femme de chambre Minnie, ani kucharka, nie widziały, jak monsieur Cosgrove przyjeżdżał lub odjeżdżał, z Sarą czy bez. Rozumiem jednak, iż może być na to wyjaśnienie. Inne powody moich obaw są znacznie ważniejsze i dużo trudniejsze do wytłumaczenia po angielsku. Jest późno i dom tonie w ciemnościach. Tego ranka spędziłam z godzinę w sypialni zajmowanej przez Sarę i początkowo przez Mirandę. Zauważyłam tam kilka rzeczy, które wyjaśnię przy okazji. Obecnie nie mam czasu ani możliwości, aby bez posłużenia się słownikiem opisać wstrząsające spostrzeżenia, jakie dotarły do mnie stopniowo, z przerażającą wyrazistością, po opuszczeniu tego pokoju. Ponieważ pojutrze (tj. we czwartek) wyjeżdżam z pensji i w Poniedziałek Wielkanocny biorę ślub w Bendigo, załączam swoje nowe nazwisko i adres na wypadek, gdyby Monsieur pragnął do mnie napisać w tej sprawie. Tymczasem jestem poważnie zatroskana i byłabym niezmiernie wdzięczna, gdyby Monsieur odwiedził pensję jak najprędzej i zbadał sprawę. Proszę pod żadnym pozorem nie mówić Madame ani nikomu innemu, że napisałam ten list. Mam nadzieję, że Monsieur otrzyma go we czwartek rano. Niestety, nie mogę wysłać tego listu

wcześniej, ponieważ Madame ogląda wszystko, co trafia do torby na listy, muszę więc czekać, aż wyśle go ktoś zaufany. Jestem wyczerpana i spróbuję przespać się nieco do świtu. Nie mogę nic więcej zdziałać bez pomocy Monsieur. Przepraszam za kłopot.

Dobranoc.

Dianne de Poitiers.

Minnie, tutejsza femme de chambre, powiedziała mi dziś, że madame A. nastawiała, iż sama będzie otwierała drzwi frontowe w niedzielę rano. Ze względu na moje straszliwe podejrzenia uważam to za niepokojące.

D. de P.

Od dnia, gdy jeździł z Edytą Horton na Tereny Piknikowe, nauczycielka francuskiego cieszyła się świetną opinią Bumphera. Nie należała ona, jego zdaniem, do tego typu młodych kobiet, które bez powodu tracą głowę. Z rosnącym niepokojem przeczytał list ponownie. Schludny drewniany domek Bumpherów stał w pobliżu komisariatu przy sąsiedniej uliczce i tam posterunkowy niebawem zaskoczył swoją żonę, ukazując się na werandzie i prosząc o filiżankę porannej herbaty.

– Wypiję w kuchni... właśnie przechodziłem obok i mam wolną chwilę. – Czekając na zagotowanie się wody, zapytał od niechcienia: – Idziesz dziś po południu do kogoś na herbatę?

Pani Bumpher prychnęła pogardliwie.

– A odkąd to ja chadzam na herbatki? Jeżeli chcesz wiedzieć, będę robiła porządki przedświąteczne.

– Ja tylko pytałem – odparł potulnie jej mąż. – Bo ostatnim razem, jak byłaś na przyjęciu na plebani, przyniosłaś mi ptysie, które tak lubię... i mnóstwo płoteczek.

– Wiesz doskonale, że nie przepadam za plotkami. A czego chcesz się dowiedzieć?

Uśmiechnął się.

– Bystra z ciebie kobietka. Zastanawiałem się, czy któraś z twoich przyjaciółek nie mówiła ci czegoś o pani Appleyard, tej z pensji? – Bumpher wiedział z doświadczenia, że zwykła gospodyni domowa potrafi instynktownie poznać sprawy, na których odkrycie policjant musiałby stracić tygodnie.

– Zaraz, zaraz. Słyszałam, jak mówiono, że starsza pani to istny Tatarzyn, gdy wpadnie we wściekłość.

– A ona wpada we wściekłość?

– Mówię tylko to, co słyszałam. Dla mnie jest gładka jak jedwab, ilekroć ją spotkam w miasteczku.

– Znasz kogoś, kto widział, jak wpadła we wściekłość?

– Pij swoją herbatę, a ja tymczasem pomyślę... Znasz Comptonów, tych, co mają pigwy i sprzedają dżem dla pensji? Comptonowa mi mówiła, że strasznie się boi, żeby się nie pomylić w rachunkach, bo jak kiedyś jej mężulka nie było i sama musiała zanieść dżem na pensję, pomyliła się o funta, a wtedy pani Appleyard posłała po nią i zrobiła piekło. Comptonowa aż się bała, żeby staruszka nie dostała jakiegoś udaru.

– Coś jeszcze?

– Tylko tyle, że dziewczyna, Alicja, która pracuje na pensji, mówiła tej kobiecie z owocarni, że ona trochę pije. Ta Alicja nigdy nie widziała, żeby ona się zataczała czy coś,

ale wiesz, jak ludzie w miasteczku gadają! Zwłaszcza odkąd zaczęto się pasjonować Tajemnicą Pensji.

– Pewnie, że wiem! – Nad drugą filiżanką herbaty próbował wyciągnąć jakieś wiadomości o nauczycielce francuskiego mówiąc, że w przyszłym tygodniu wychodzi za mąż.

– No, no! Ja tam nie przepadam za żabojadami, jak wiesz – pamiętasz tamtego, co grywał na flecie? – ale muszę przyznać, że ta mi się naprawdę podobała, kiedy ją zobaczyłam z bliska.

– Gdzie to było?

– W banku. Ta Mademoiselle realizowała czek i Ted... wiesz, ten kasjer z rudą czupryną... wydał jej za dużo pieniędzy. Przeszła z pół ulicy, zanim się zorientowała, ale zaraz odniosła je z powrotem. Pamiętam to, bo Ted powiedział wtedy do mnie: „Słowo daję, pani Bumpher, to jest uczciwa kobieta! Musiałbym zapłacić te pieniądze ze swojej własnej kieszeni”.

– Dziękuję za herbatę... Muszę już iść – rzekł Bumpher odsuwając krzesło. – Wrócę, jak wrócę. Mogę wrócić bardzo późno. – Pani Bumpher miała śliczny kawałek krzyżówki na befsztyk, ale była zameżna od piętnastu lat, więc o nic nie pytała.

Zapowiedź pięknej pogody na Wielkanoc utrzymywała się przez cały Wielki Czwartek. W południe zrobiło się niemal gorąco i Bumpher, robiący notatki w swojej dusznej kancelarii, zdjął kurtkę. Pan Whitehead też zdjął kurtkę pracując przy daliach. Po wczesnym obiedzie wszedł do szopy na narzędzia i wyciągnął gumowego węża, który był już zwinięty na nadciągającą zimę, żeby podlać hortensje, nim grządka za bardzo wyschnie. Tom spytał, czy mu nie pomóc, w przeciwnym razie pójdzie z Minnie na spacer gościńcem. Ogrodnik podziękował, miejsce to bowiem było dość zadbane, by można je pozostawić w spokoju przez następny dzień, ale czy Tom nie mógłby podlać hortensji jutro, gdyby słońce świeciło równie mocno jak dziś? Tom obiecał to zrobić i wzięwszy Minnie pod ramię oszczędził sobie udziału w przykrych wypadkach następnych kilku godzin.

Grządka hortensji, szeroka na ponad dwa metry i biegnąca niemal przez całą długość tyłu domu, była oczkiem w głowie pana Whiteheada. Tego lata niektóre z kwiatów wyrosły na blisko dwa metry nad ziemię. Pan Whitehead właśnie zamocował węża do jednego z ogrodowych kranów, gdy nagle jego nozdrza uderzyła natarczywa, nieprzyjemna woń, która dochodziła jakby od strony hortensji. Postanowił zbadać sprawę przed odkręceniem kranu, aby kucharka nie narobiła wrzawy o ów smród tak blisko kuchennych drzwi. Ostatnio był zbyt zajęty jesiennym przycinaniem roślin, aby zachwycać się, jak to często robił, gęstymi krzewami hortensji z ich lśniącymi liśćmi zwieńczonymi pękami granatowych kwiatów. Teraz ku swemu poirytowaniu zobaczył, że jedna z najwyższych i najpiękniejszych roślin w tylnym rzędzie, kilka stóp od ściany domu, tuż pod wieżą, jest zgnieciona i połamana, a jej piękne kwiaty zwisają bezwładnie na łądygach. Oposy! Te przekłete zwierzaki zawsze uganiały się po dachówkach. Tom nawet znalazł w zeszłym roku w wieży ich gniazdo. Tom z pewnością zaraz wlaźłby w buciorach między krzewy w poszukiwaniu zdechłego oposa. Ogrodnik jednak zdjął kamizelkę, wyjął sekator z kieszeni spodni, aby poucinać złamane łądygi i zaczął pełznąć między krzewami na czworakach, aby nie uszkodzić młodych pędów przy korzeniach. Był

zaledwie o kilka stóp od zniszczonego krzewu, gdy nagle zobaczył na ziemi coś białego. Coś, co kiedyś było dziewczynką w nocnej koszuli, przesiąkniętej zakrzepłą krwią. Jedną nogę miała zgietą pod ciałem, drugą zaklinowaną w rozwidleniu gałązek hortensji. Była bosa. Głowę miała roztrzaskaną tak, że by jej nie rozpoznał, choćby nawet potrafił się zmusić, aby się jej bliżej przyjrzeć. Mimo to wiedział, że to Sara Waybourne. Żadna dziewczynka na pensji nie była tak drobna i nie miała takich cienkich ramionek i nóg.

Wypełzył na ścieżkę przy grządce i zwymiotował. Zwłoki w tym miejscu były niewidoczne za gęstą zasłoną listowia. Zarówno on sam, jak Tom i służące musieli przechodzić tędy po wielekroć w ostatnich dniach. Wszedł do łazienki i obmył sobie ręce i twarz. W pokoju miał butelkę whisky. Usiadł na skraju łóżka i nalał sobie szklaneczkę, żeby uspokoić szarpany skurczami żołądek, i poszedł prosto do bocznych drzwi, a następnie przez hall do gabinetu pani Appleyard.

A oto wyjątek z zeznania Edwarda Whiteheada, ogrodnika na pensji pani Appleyard, złożonego posterunkowemu Bumpherowi w Wielki Piątek rano, dwudziestego siódmego kwietnia:

To był dla mnie okropny wstrząs, a jeszcze okropniejsza była konieczność powiadomienia o wszystkim pani Appleyard po tym, co ostatnio przeszła. Zdaje się, że właśnie chodziła od ściany do ściany po pokoju, kiedy zapukałem. W każdym razie nie odpowiedziała, więc wszedłem. Mało nie wyskoczyła ze skóry, kiedy mnie zobaczyła. Wyglądała paskudnie... nawet jak na nią. To znaczy wszyscy mówiliśmy w kuchni, że ze zdrowiem coś u niej nietęgo. Nie prosiła, żebym usiadł, ale nogi tak bardzo mi się trzęsły, że musiałem paść na krzesło. Nie przypominam sobie dokładnie, co mówiłem o tym znalezieniu zwłok. Z początku tylko stała i patrzyła, jakby nie słyszała ani słowa. Potem kazała mi to wszystko bardzo powoli powtórzyć, więc powtórzyłem. Kiedy skończyłem, zapytała:

– Kto to był? – Odpowiedziałem: – Sara Waybourne.

– Wtedy spytała, czy jestem całkowicie pewien, że panienka nie żyje. Odpowiedziałem: – Tak, jestem pewien. – Nie tłumaczyłem jej, czemu. Wydała z siebie coś jak zdławiony krzyk, bardziej jak dzikie zwierzę niż człowiek. Nie zapomnę tego krzyku, choćbym miał dożyć stu lat.¹

Wyjęła butelkę i nalała sobie i mnie trochę koniaku, ale ja odmówiłem. Zapytałem, czy pójść po kucharkę, która była wtedy jedyną osobą w całym domu poza nami. Lecz ona powiedziała: „Nie, ty głupcze. Umiesz powozić koniem?”

Odpowiedziałem, że nie bardzo, ale potrafiłbym zaprząć kuca do dwukółki. „Więc zatwiesz mnie na komisariat. Pospiesz się, na miłość boską, ale jeżeli zobaczysz kogokolwiek, nie puszczaj pary z ust”.

W jakieś dziesięć minut później już stała na podjeździe przed frontowymi drzwiami i czekała na dwukółkę. Miała na sobie długi granatowy płaszcz i brązowy kapelusz z piórkiem, który nakłada, gdy się wybiera do Melbourne. Poza tym miała czarną skórzaną torebkę i czarne rękawiczki. Pamiętam te rękawiczki, bo się dziwiłem, po co komu rękawiczki w takim czasie. Pomknęliśmy do Woodend tak szybko, jak szybko kuc chciał bieć, i przez całą drogę nie zamieniliśmy ani słowa. O kilkadziesiąt metrów od komisariatu, przy Stajniach Husseya, kazała mi się zatrzymać. Wysiadła i podeszła do ławki, gdzie pasażerowie Husseya czekają na dorożki. Bałem się, że się przewróci. Zapytałem, czy chce, żebym z nią poszedł na komisariat, czy woli, abym zaczekał na zewnątrz. Powiedziała, że posiedzi kilka chwil, a potem pójdzie na komisariat sama. Mówiła, że później będzie

¹Uwaga autorki: Edward Whitehead dożył dziewięćdziesięciu pięciu lat.

wiele pytań do mnie, a teraz mam jechać prosto do domu. Nie chciałem jej zostawiać samej na ulicy, bo wydawała mi się chora i w ogóle. Wyglądało jednak, że wie, co robi, tak jak zawsze, więc pomyślałem, że najlepiej będzie posłuchać. Zwłaszcza że wciąż mnie mdliło po tym, co widziałem po południu. Zanim odjechałem, pani Appleyard powiedziała, że po złożeniu meldunku policji przyjedzie dorożką. Kiedy nawróciłem kuca i ruszyłem do domu, wciąż siedziała prosto na ławce, jakby połknęła kij. Więcej już jej nigdy nie widziałem.

Podpisano: Edward Whitehead
Woodend, 27 marca 1900 r.

Oświadczenie złożone tego samego dnia posterunkowemu Bumpherowi przez Bena Husseya ze Stajni Cugowych Husseya:

Byliśmy bardzo zajęci w Wielki Czwartek z powodu ferii wielkanocnych. Siedziałem właśnie w mojej kancelarii sprawdzając zamówienia, gdy nagle weszła pani Appleyard i zażądała natychmiast dorożki. Nie widziałem jej od dnia pikniku pod Wiszącą Skalą i byłem wstrząśnięty zmianą w jej wyglądzie. Zapytałem, jak daleko pragnie jechać, odparła, że jakieś dziesięć mil. Mówiła, że właśnie dostała złą wiadomość od przyjaciół mieszkających przy drodze do Wiszącej Skąły i że pozna ich dom, gdy go zobaczy. Ponieważ wszyscy moi woźnicy byli zajęci, bo oczekiwali na stacji na klientów i tak dalej, powiedziałem, że chętnie sam ją zawiozę, jeżeli zechce z łaski swojej zaczekać, aż zaprzęgnę klacz, którą właśnie ujeździłem i z którą nikt poza mną nie potrafi sobie poradzić. Zauważyłem, że pani Appleyard jest bardzo zdenerwowana, co było dziwne u kogoś, kto tak jak ona nie zdradza swoich uczuć. Prosiłem, aby usiadła w moim domu i napiła się herbaty, póki nie zaprzęgnę klaczy, ale ona nie chciała i cały czas stała przy mnie, kiedy to robiłem. Wyruszyliśmy za dziesięć trzecia. Wiem dobrze, bo musiałem zapisać czas odjazdu w książce stajni. Gdy przejechaliśmy kilka mil w milczeniu, powiedziałem, że mamy miły słoneczny dzień. Pani Appleyard odparła, że nie zauważyła. Później nic więcej nie mówiliśmy, póki nie dojechaliśmy do zakrętu drogi, skąd widać Wiszącą Skalę, jak wznosi się nad drzewami w dali. Pokazałem ją pani Appleyard, a ona burknęła coś, że Wisząca Skala narobiła mnóstwa kłopotów mnóstwu ludzi od dnia pikniku. Wyciągnęła nade mną ramię, pogroziła pięścią skale. Mam nadzieję, że już nigdy nie będę musiał oglądać takiego wyrazu na czyjejś twarzy. Zdenerwowało mnie to i ucieszyłem się, kiedy zobaczyłem małą farmę z bramą przy drodze, ale bez śladów kół, a pani Appleyard kazała mi się zatrzymać. Spytałem, czy tona pewno ten dom. „Tak – odparła – i nie musi pan na mnie czekać. Przyjaciele odwiozą mnie później”. Stała tam za wygonem waląca się chałupa, a przed chałupą zobaczyłem mężczyznę i kobietę z dzieckiem na ręku. „Dobra – powiedziałem – moja klacz jeszcze nie nauczyła się stać w miejscu, więc jeśli jest pani pewna, że da sobie radę, to już pojedę i mam nadzieję, że nie jest tak źle, jak pani myśli”. Klacz ruszyła z kopyta i nie oglądałem się za siebie.

Podpisano: Ben Hussey
Stajnie Cugowe, Woodend, 27 marca 1900 r.

Pasterz i jego żona, którzy później zeznali w sądzie, że widzieli kobietę w długim płaszczu wysiadającą z jednokonnej dwukółki przy ich bramie, stali i patrzyli, jak owa kobieta odchodzi drogą w kierunku Terenów Piknikowych. Bardzo niewielu ludzi przechodziło tamtędy piechotą. Kobieta szła szybko i wkrótce zniknęła im z oczu.

Pani Appleyard zobaczyła Wiszącą Skalę po raz pierwszy dopiero tego popołudnia z dwukółki Bena Husseya, ale aż nadto dobrze orientowała się w jej położeniu i różnych ważnych punktach Terenów Piknikowych dzięki planom, rysunkom i fotografiom zamieszczonym w melbournskiej prasie. Oto u końca wijącej się drogi po stosunkowo

równym terenie ujrzała pochyloną bramę, w którą wówczas Ben Hussey wjechał swoim pięciokonnym powozem. Dalej płynął strumień, chwytający ostatnie popołudniowe blaski w lustra spokojnych rozlewisk. Na lewo i trochę dalej w przedzie zobaczyła często fotografowane miejsce, gdzie grupka wycieczkowiczów z Lake View obozowała przy swoim breku. Z prawej strony pionowe ściany skały były już pogrążone w głębokim cieniu, a z krzaków u jej podnóża dolatywał stęchły zapach zgnilizny. Dłonie w rękawiczkach zaczęły majstrować przy zamku bramy.

– Kochanie, masz tęgą głowę – zwykł mawiać Artur – ale ręce do niczego.

Zostawiła bramę otwartą i poszła wyjeżdżonym szlakiem w stronę strumienia.

Oto wreszcie po całym życiu stąpania po asfalcie, linoleum i dywanach tęga, płaskostopa kobieta kroczyła po sprężystej ziemi. Urodzona pięćdziesiąt siedem lat temu w podmiejskim pustkowiu zadymionych murów, miała nie większe pojęcie o przyrodzie niż strach na wróble sterczący na kiju nad łanem falującego na wietrze zboża. Ona, która mieszkała tak blisko lasu przy drodze do Bendigo, nigdy dotąd nie czuła pod stopami miękkiej murawy. Nigdy nie spacerowała wśród strzelistych pni drzew o spękanej korze. Nigdy nie przystanąła, aby rozkoszować się radosnymi powiewami wiosny niosącymi woń akacji i eukaliptusów aż pod drzwi jej pensji. Nigdy podmuchy północnego wiatru niosące drobinki popiołu z górskich ognisk nie wywoływały w niej złych przeczuc. Gdy teren u podnóża skały zaczął się wznosić, wiedziała, że musi skrócić w prawo w wysokie do pasa paprocie i piąć się w górę. Grunt pod dużymi miękkimi stopami w zapinanych na guziki butach z koźlącej skóry był twardy. Usiadła na kilka chwil na zwalonym pniu i zdjęła rękawiczki. Czuła, jak pot spływa jej po karku pod sztywną koronkę przy szyi.

Teraz znów wstała i spojrzała na niebo leciutko zaróżowione nad rzędem poszarpanych szczytów. Po raz pierwszy uprzytomniła sobie, co to znaczy wspinać się na Wiszącą Skałę w upalne popołudnie, tak jak dawno, dawno temu uczyniły zaginione dziewczęta w obfitych letnich sukienkach i pantofelkach na cienkich podszewkach. Pnąc się mozolnie w górę i potykając w gąszczach dereni i orlicy, myślała o nich bez współczucia. Nieżywe. Obie nieżywe. A teraz jeszcze Sara leżąca u stóp wieży. Gdy wkrótce jej oczom ukazał się monolit, poznała go od razu dzięki fotografiom, które oglądała przedtem. Z bijącym pod paltem sercem gramoliła się ku niemu po usuwających się spod stóp kamieniach. Po jej prawej ręce była wąska półka nad przepaścią, w którą nie śmiała spojrzeć. Po lewej, nieco wyżej, stos kamieni... a na jednym z nich zobaczyła wielkiego czarnego pajaka, rozcapierzonego i śpiącego w słońcu. Zawsze bała się pajaków. Rozejrzała się więc za czymś, czym mogłaby go zabić, i zobaczyła Sarę Waybourne, w nocnej koszuli, z jednym nieruchomym okiem patrzącym z rozkładającej się twarzy.

Orzeł zawisły wysoko nad złocącymi się w słońcu szczytami usłyszał jej krzyk, gdy pobiegła ku przepaści i skoczyła. Pająk czmychnął w bezpieczne miejsce, kiedy niezdarne ciało spadając w dół obijało się o głazy. Póki w końcu głowa w brązowym kapeluszu nie nadziała się na wystającą skałę.

Wyjątek z gazety melbournskiej z dnia 14 lutego 1913 roku.

Aczkolwiek dzień świętego Walentego kojarzy się nam zwykle z dawaniem i otrzymywaniem drobnych prezentów oraz ze sprawami sercowymi, mija dokładnie trzynaste lat od owej fatalnej soboty, kiedy to grupka złożona z około dwudziestu dziewcząt, a także dwóch nauczycielek z pensji pani Appleyard, udała się na piknik pod Wiszącą Skalę. Po południu trzy dziewczęta i jedna nauczycielka zniknęły w tajemniczy sposób. Odnaleziono tylko jedną z nich. Wisząca Skala jest malowniczym masywem wulkanicznym na równinach u podnóży góry Macedon, niezwykle ciekawym dla geologów ze względu na jedyne w swoim rodzaju formacje skalne, włącznie z monolitami, jakoby bezdennymi czeluściami i jaskiniami, dopiero ostatnio (1912) zaznaczonym na mapie. Sądzono, że zaginione próbowały wspiąć się na niebezpieczne stromizny w pobliżu wierzchołka, gdzie przypuszczalnie spotkała je śmierć. Jednakże nigdy nie ustalono, czy owa śmierć nastąpiła wskutek nieszczęśliwego wypadku, samobójstwa czy też morderstwa, ponieważ ciał nie odnaleziono.

Prowadzone przez policję oraz osoby prywatne intensywne poszukiwania na tym stosunkowo niewielkim obszarze nie dostarczyły żadnego klucza do tajemnicy. Dopiero w sobotę rano 21 lutego pan Michał Fitzhubert, młody Anglik przebywający na wakacjach pod górą Macedon (obecnie zamieszkały na swej stacji hodowlanej w Queensland) odnalazł jedną z trzech zaginionych dziewcząt, Irmę Leopold, leżącą u stóp olbrzymiego głazu. Nieszczęsna dziewczyna niebawem wróciła do zdrowia, jednakże uraz głowy spowodował, że nie pamięta ona, co się stało, kiedy wraz z towarzyszkami zaczęła się wspinać na wyższe partie skały. Poszukiwania trwały jeszcze kilka lat z wielkim nakładem sił z powodu tajemniczej śmierci przełożonej pensji, pani Appleyard, w kilka miesięcy po owych tragicznych wypadkach. Sama pensja została następnego lata kompletnie zniszczona na skutek pożaru buszu. W 1903 roku dwaj łowcy królików obozujący pod Wiszącą Skalą znaleźli poszarpany skrawek perkalu, który zdaniem policji, mógł być częścią halki zaginionej nauczycielki.

W tej niezwyklej opowieści pojawia się na chwilę dość mętna postać: dziewczynka nazwiskiem Edyta Horton, czternastoletnia uczennica pensji pani Appleyard, która początkowo towarzyszyła trzem starszym dziewczętom we wspinaczce. Potem o zmięczeniu wróciła do reszty wycieczkowniczek nad strumieniem w stanie hysterii, nie pamiętając ani wtedy, ani nigdy później, co się w czasie owej wspinaczki wydarzyło. Mimo wciąż ponawianych pytań w ciągu tych lat panna Horton zmarła ostatnio w Melbourne nie dostarczwszy żadnych dodatkowych informacji.

Hrabina de Latte-Marguery (z domu Irma Leopold) obecnie zamieszkuje w Europie. Nie skąpi ona od czasu do czasu wywiadów różnym zainteresowanym, nie wyłączając Towarzystwa Badań Psychiatrycznych, lecz nie zdołała sobie przypomnieć nic ponad to, co pamiętała po odzyskaniu

przytomności. W ten sposób Tajemnica Pensji, podobnie jak sławetna sprawa Marie Celeste, zapewne już na zawsze pozostanie tajemnicą.